

JANUSZ KORCZAK

HANNA MORTKOWICZ-OLCZAKOWA

JANUSZ KORCZAK



KRAKÓW 1949

WYDAWNICTWO J. MORTKOWICZ

1457/2



Druk ukończono w czerwcu 1949 r.

Nakład 5.100 egzempl. Papier dzielowy V klasy, 61×86, 80 gr

M-49183

Drukarnia Przemysłowa w Krakowie, ul. Sarego 7.

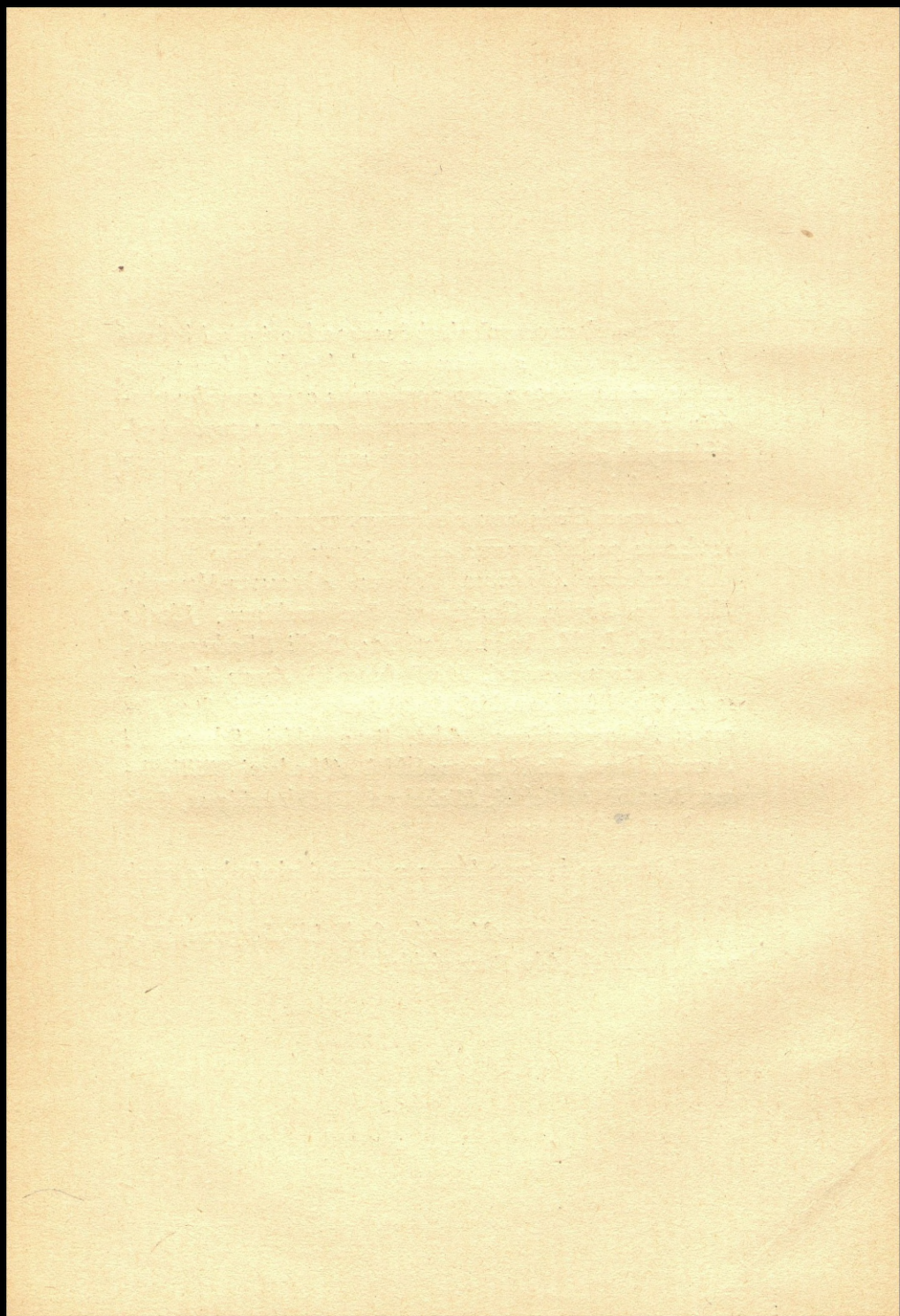
W moich wspomnieniach i uwagach o życiu i śmierci Janusza Korczaka starałam się podać tylko fakty prawdziwe, zaczerpnięte z jego pamiętnika oraz innych utworów, z własnych moich wspomnień oraz z ustnych i piśmiennych relacji ludzi bliskich mu za życia w pracy i przyjaźni.

Za wszelkie informacje i pomoc wyrażam na wstępie serdeczne podziękowanie następującym osobom:

Barbarze Abramow, Igorowi Abramow-Newerly, Karolinie Beylin, Gustawowi Bychowskiemu, Józefie Bergruen, J. W. Dobrowolskiemu, Stelli Eliasbergowej, Marii Grzegorzewskiej, Marii Junowej, Annie Margolisowej, Zofii Natkowskiej, Marii Podwysockiej, Stanisławowi Podwysockiemu, Adzie Poznańskiej, Edwardowi Poznańskiemu, Zofii Szymańskiej, Alfredowi Wiślickiemu, Natalii Wiślickiej, Michałowi Wróblewskiemu, Leonardowi Zglińskiemu.

Poza tym korzystałam z notatek i niedrukowanych prac:

Igora Abramowa-Newerly, Stelli Eliasbergowej, Teresy Osińskiej, Ady Poznańskiej.



WSTĘP

Legenda urodziła się rankiem w środę dn. 5 sierpnia 1942 roku. Rosła gwałtownie w przeciągu paru godzin na przestrzeni kilku ulic warszawskiego getta.

Ulice były następujące: Śliska, Sosnowa, Twarda, Żelazna, Nowolipie, Karmelicka, Zamenhofska, Stawki. Dzieliły sobą dom przechodni przy ul. Śliskiej 9 na Sienną 16 od dawnego punktu przeładunkowego jarzyn przy ul. Stawki. W domu na Śliskiej mieścił się czasowo zakład „Pomocy dla Sierot“ wysiedlony przez władze niemieckie z własnej siedziby przy Krochmalnej 92 do getta. Punkt przeładunkowy na Stawkach niemiecka „Vernichtungs Kommando“ zmieniła w okresie likwidacji getta w lipcu 1942 roku w tak zwany „Umschlagplatz“, skąd wagonami transportowano ludność żydowską do obozów śmierci.

Tą drogą i tymi właśnie ulicami Warszawy przeszedł po raz ostatni w karnym i spokojnym szyku zespół dwustu dzieci z „Domu Sierot“ pod wodzą swych wychowawców: doktora Henryka Goldszmita, znanego ogólnie pod pseudonimem Janusza Korczaka, oraz Stefanii Wilczyńskiej.

Przestrzeń jest więc wiadoma i podlega ścisłej ocenie.

Czas określić trudniej. Ile minut pozostawili dzieciom i personelowi na zebranie się i wyruszenie ci, którzy rankiem wtargnęli do domu z rozkazem: „Raus“? Ile godzin trwał upiorny, powolny marsz w długiej i tłocznej kolej-

ności innych domów opieki, sierocińców, szpitali? Jak długo czekano na „Umschlagplatzu“ aż postawią wagony?

W każdym razie wejście ostatniego z chłopców i dziewczynek po pochyłej desce do zachlorowanego wagonu i następnie zasunięcie i zaplombowanie drzwi zakończyło ten czas, podległy jeszcze obserwacji tych, co pozostali i przeżyli.

Nie wiemy już nic o dystansie ani przebiegu dalszej tak krótkiej, a niepowrotnej podróży, wiedząc o niej właściwie wszystko. Tych szczegółów, których nikt nie podpatrzył ani nie dosłyszał, domyśliła się zresztą właśnie legenda.

Legenda objęła od tej chwili niepodzielną władzę nad tą sprawą. Odbiwszy się od zamkniętych drzwi wagonu śmierci rozniosła się po całym świecie echem i żalobnym lamentem.

Urodziła na przestrzeni kilku lat mnóstwo poematów i wierszy. Wcieliła się w mnogość odmiennych wizji i wersji. Podszepnęła dzieciom i wychowawcom w chwili męczeństwa słowa wyimaginowane i przypuszczalne. Rozsławiła nazwisko dotychczas nie dość głośne, chrzcząc nim nowe teorie, eksperymentalne osiedla i bezdomne, bezimienne dzieci żydowskie na całym świecie.

I w rezultacie przesłoniła sobą bohatera tego tragicznego i słynnego zdarzenia, drobnego, trochę pochylonego człowieka, który miał jasną, siwiejącą bródkę, szaroniebieskie oczy o powiekach tak często czerwieniejących od wzruszenia i łagodne usta, na których żartobliwy uśmiech zmagął się ze smutkiem.

Niebezpieczna jest taka kolizja legendy z prawdą o żywym człowieku. Szczególnie wtedy, gdy legenda jest tak wspaniała jak historia śmierci Janusza Korczaka i jego dwustu dzieci... Tym bardziej, gdy żywy człowiek zginął

w kataklizmie, który wraz z nim pochłonął większość świadków i dokumentów.

Henryk Goldszmit, czyli (jak go mianuje literatura i legenda) — Janusz Korczak, ginąc stracił prawie wszystkie dzieci, których wychowaniu się poświęcił, oraz część młodzieży, którą już wychował. Pożar środowiska i miasta, w którym żył, strawił całe nakłady książek, które napisał, oraz cały olbrzymi materiał dokumentarny, gromadzony przez niego od lat. Pozostały książki w nielicznych egzemplarzach i pozostali także, bardzo nieliczni, do dziś żyjący przyjaciele i towarzysze pracy.

Te książki i ci ludzie mogą dziś podjąć trudny i odpowiedzialny dialog z legendą. I mają obowiązek to zrobić nawet z pewnym świadomym uszczerbkiem tej legendy.

Legenda bowiem z reguły odczłowiecza i fałszuje tego, kogo wślawia. W bezwzględnym żądaniu pożytki dla swej stugębnej famy omija szczegóły, wypacza kształty. Chce zastępnąć i ustalić się w najbardziej syntetycznej formie.

Istotna treść ludzkiego życia jest natomiast tak trudno osiągalna i tak bardzo uchyla się wobec rozumienia, że nawet jej naoczne świadectwo ma czasami charakter zbyt intymny i wstydlivy, by go powtórzyć, a całkiem już niewspółmierny z umowną wielkością.

Zbierając materiały do wspomnień o Korczaku spotkałam się w jednym tygodniu z dwoma biegunowo różnymi stanowiskami w tej sprawie.

Ktoś, kto nigdy nie znał osobiście Henryka Goldszmita, dowodził mi, że dosłowna prawda o tym jaki on był, jak wyglądał, co zrobił za życia, nie jest wcale ważna. Prywatne wspomnienia kilku przyjaciół i znajomych nie zaważą na formie, w jakiej się ustali i przetrwa sława Korczaka w opinii tych, którzy go nigdy nie znali.

Trudno się zgodzić z tym poglądem. Od śmierci Korczaka upłynęło zaledwie siedem lat. Klębią się one od niepokojnych gorzkich wspomnień. W świetle tych wspomnień postać Korczaka zyskuje na plastyce i głębi i dlatego też trzeba go zapamiętać i wspominać przede wszystkim jako człowieka, takiego, jakim był za życia.

Jednocześnie ktoś inny, bliski przyjaciel Korczaka, pytany o szczegóły współżycia z nim, zawahał się i wyraźnie starał się uniknąć zeznań na ten temat. — Nie jestem pewien, czy Pan Doktor zgodziłby się na to, abym to opowiadał — powiedział. — Może byłoby mu przykro? Może to niedyskrecja?

Ten drugi punkt widzenia jest również niesłuszny. Zbyt dobrze pamiętamy, jak bardzo cenił Korczak słowo, dokument obserwacji i wzruszenia. Jaką wagę przywiązywał nawet do sentymentalnych pamiątek, starych listów, zasuszonych kwiatków. Jak sam — pisarz i liryk — podkreślał swą rolę badacza i kronikarza. Jak starał się nie niszczyć żadnego świstka papieru i gromadził w archiwach swego sierocińca statystyki, sprawozdania, krzywe wzrostu i wagi, olbrzymie stosy materiałów przeznaczonych do późniejszego zużytkowania, opracowania i opublikowania. Jakie znaczenie przypisywał publicystyce wychowawczej, gazecie szkolnej i internatowej, listom i pamiętnikom dzieci.

W maju roku 1942, już w getcie, w obliczu ostatecznej klęski rozpoczyna pisanie własnych pamiętników, planuje większą autobiografię i mówiąc o niej określa swoją osobę jako „małą, ale i ważną“...

Trwożyła go wówczas możliwość zmarnowania ogromnego, półtysięcznego materiału wykresów wzrostu i wagi jego wychowawców, niezliczonych bloczków z zapiskami i uwagami.

Dziś właśnie on sam — Korczak — żądałby świadectwa swej pracy i pamiętki istnienia swych dzieci, aby je zachować wbrew faktowi zniszczenia i katastrofie, w której spalono ciała ludzkie oraz karty rękopisów i książek.

Lekarka, która przybiegła do domu Sierot w kilka godzin po wywiezieniu Korczaka, Stefanii Wilczyńskiej i dzieci, opowiadała mi dokładnie jak wyglądało to opróżnione wnętrze, w którym otwarte szafy i nieład rozrzuconej pościeli świadczyły o pośpiechu, podobnie jak dymiące garnki z nieostygłą i niewypitą jeszcze kawą. W małym pokoiku, przyległym do sypialni chłopców, w tak zwanej izolatce, gdzie żył i pracował do końca Janusz Korczak, ktoś kłęczał nad walizką pełną papierów. Był to jeden z dawnych kierowników bursy, chwilowo zamieszkały w „Domu Sierot“. Wrócił rankiem wraz z kilkoma starszymi bursistami z nocnej pracy w warsztatach i zastał dom pusty. Ten młody człowiek, na pewno szarpany w tej chwili przez rozpacz i strach — pomyślał przede wszystkim o jednym, o pierwszym swym obowiązku. Wyciągnął spod ubogiego składanego łóżka walizkę Doktora i ładował do niej papiery, notatki, rękopisy, roczniki „Gazety Domu Sierot“ w nadziei, że uda mu się je wynieść, schować i ocalić.

Tę samą myśl powziął już poprzednio sam Korczak, przesyłając swe pamiętniki do przyjaciela i ucznia, po „aryjskiej stronie“, gdzie je zamurowano w „Naszym Domu“ na Bielanych.

W jednym z najpóźniejszych utworów Korczaka, nowelce „O trzech wyprawach Herszka“ — obłąkany rebe opowiada małemu żydowskiemu dziecku bardzo ponurą legendę o zagładzie Żydów.

„Była wojna i Tytus spalił świątynię. Tak, tak. Pożar był. Paliły się książki Boga. Tak, tak. Ale nie. Palił się tylko papier, a litery frunęły do nieba i żyją.

— Tak, tak. Bóg rozgniewał się na Żydów. Zabić ich chce. Bóg bierze papier i pióro, chce napisać wyrok. Tak, tak — chce napisać, że Żydów zabije...

— Wszystkich? (pyta przerażone dziecko).

— Tak, tak, wszystkich zabić, wytracić, zagładzić. Tak, tak, żadnego nie zostawić... — Ale litery nie pozwoliły. Uciekły i pochowały się...“.

Prawda okazała się okrutniejsza od bajki. Litery nie uratowały ludzi od śmierci w epoce Hitlera. Pozostały jednak, aby świadczyć.

Ciąży na nich wielka historyczna i moralna odpowiedzialność. Mają przekazać wiecznej pamięci postać wielkiego pisarza, lekarza, wychowawcy, człowieka, jakim był Janusz Korczak.

Intuicja, pietyzm i dyskrecja dopomogą w tej pracy. Odślonią i powtórzą treść tego życia tak żarliwą, mądrą i odważną, prace i wzruszenia, których głęboki sens maskowały przez lata samotność, nieśmiałość i przekorny żart.

Nie możemy bowiem pozwolić, aby to długie, bogate życie przesłoniła wizja tragicznej i heroicznej śmierci.

Janusz Korczak zginął w pierwszych dniach sierpnia 1942 roku, wywieziony przez Niemców wraz ze wszystkimi swymi dziećmi do komór gazowych Treblinki. Nie opuścił ich do końca mimo propozycji zwolnienia i możliwości osobistego ratunku. Umarł odważnie i pięknie jak bohater.

Sława pośmiertna rości sobie zazwyczaj większe tytuły do wieczności niż przelotne i trudne do wyrażenia chwile życia. Tutaj jednak można odwrócić te ustalone proporcje trwałości. I aby to zrobić, wystarczy zacytować samego Korczaka. On to bowiem, zapytany groźnie

w r. 1940 przez niemieckiego urzędnika, dlaczego będąc Żydem nie nosi na ramieniu przepisowej opaski z gwiazdą Sjonu — odpowiedział spokojnie, z właściwym mu ironicznym uśmiechem, że istnieją prawa ludzkie — przemijające i prawa boskie — wieczne. On sam, uznaje tylko prawa boskie i im podlega. Obawia się natomiast, że prawo noszenia opasek przez Żydów jest ludzkie, przemijające i nie ma zamiaru go honorować.

Śmierć Janusza Korczaka i jego wychowalców była wynikiem nie przemijających praw ludzkich, ale najbardziej nieludzkiego bezprawia. Korczak uległ brutalnemu okrucieństwu, objawiając światu w katastrofalnym mgnięciu, tę samą piękność ducha i serca, która cechowała go przez całe długie, wytrwałe i ciche życie.

I dlatego trzeba mówić jak najwięcej o tym minionym życiu człowieka, z którego jego postawa wobec śmierci wynikała konsekwentnie i pięknie. Trzeba wygrywać to twórcze i odważne życie tak bogate w swej treści przeciw efektownej i krwawej błyskawicy popełnionego na nim morderstwa.

Ta śmierć była tylko chwilą, ponurym aktem przemocy w czasach powszechnej zagłady. Sześćdziesiąt trzy poprzedzających je lat twórcy, myśliciela i wychowawcy służyło natomiast życiu, wiecznemu w swych dążeniach i przejawach, życiu odradzającemu się w każdym nowonarodzonym dziecku do miłości i do pracy.



RAMY CZASU

Dnia 21 lipca 1942 roku, a więc w chwili, gdy akcja wysiedlania ludności z warszawskiego getta została zdecydowana, a tym samym zapadł wyrok śmierci na Doktora i jego dwieście dzieci — pisze Korczak w swym pamiętniku:

„Jutro kończę 63 albo 64 lata. Ojciec przez parę lat nie wyrabiał mi metryki. Przeżyłem z tego powodu kilka ciężkich chwil. Mama nazwała to karygodnym niedbalstwem. Jako adwokat powinien był ojciec sprawy metryki nie odwlekać“.

Nie będziemy się targować z historią o ten jeden rok. Chodzi o istotne granice życia, a nie o daty. Nie jest to ważne czy dziecko przyszło na świat 22 lipca 1878 czy 1879 roku. Lata tamtej epoki były do siebie bliźniaczo podobne w mieszczańskiej Warszawie. Dokładna data śmierci nie figuruje również w żadnym protokóle ani akcie zgonu. Aktu zgonu w ogóle nie ma. Nie ma także jego świadków. Chwila końca zaginęła w chaosie zagłady, który nie jest oznaczony dniem, a stanowi jednak granicę pewnej epoki.

Ciekawy jest natomiast fakt, że Korczak, właśnie 21 lipca 1942 w przededniu swych ostatnich urodzin i swej śmierci, robi jak gdyby rachunek życia, przebiegając okresami jego dzieje i przypominając sobie kolejne jego etapy. Stwierdza przy tym, że znajduje się na przełomie dziewiątego siedmioletnia tego życia.

Dlaczego podzielił to życie na okresy siedmioletnie? 7×9. Dlaczego starał się wkomponować zdarzenia i wspomnienia w jednakowe trwaniem cykle? Sam przyznaje: „Wiem, można życie podzielić na pięciolecia i też by się zgadzało. — Wiem: warunki, bogactwo-bieda, powodzenie-troski. Wiem — wojna, wojny, katastrofy. A i to względne. Cygańska siódemka, siedem dni w tygodniu. Dlaczego nie zwykła dziesiątka owego czasu?“

Taki schematyczny obrachunek życia wedle lat ma w sobie zawsze coś infantylnego. Toteż Korczak rozpoczął swe obliczenia wcześniej, aby je powtórzyć w przededniu śmierci.

W pamiętniczku uczniowskim notuje: „Podobno co siedem lat zmienia się cały organizm, sposób myślenia i wszystko. Co przyniesie mi owe czternaście lat?“

Oczekuję z niecierpliwością, badam stan mojej duszy“.

Ten podział stosował widocznie przez całe swe życie, jeśli zastosował go w końcu w ostatnich zapiskach.

Przebieg życia ludzkiego można dzielić i wyznaczać rozmaicie. Nawet w samych dziejach Korczaka mamy na to kilka metod i sposobów. Niezależnie od schematu siódemek, który wyznaczył sobie sam, można uczynić punkty graniczne ze zdarzeń politycznych, z wojen i rewolucji, których nie poskąpiła temu życiu historia. Można podzielić czas datami ukazania się jego licznych książek.

Pozornie nie jest to nic trudnego — iść tak od narodzin w stronę śmierci jednokierunkowym z samej swej istoty biegiem czasu. W wypadku Korczaka jakoś ta tradycyjna kolejność chwilami zawodzi, sprawy życia odbiegają od historycznego toku, przeplatają się, nawracają gmatwając rzeczywistość i literaturę, wspomnienia i marzenia.

On sam, rozpoczynając swą biografię, postanowił to inaczej, po swojemu. Przystąpił do segregacji wspomnień, do trudnej pracy przenikania w przeszłość, jak do kopania studni: od najostatniejszych, zewnętrznych warstw.

„Gdy kopiesz studnię, zaczynasz robotę nie od głębokiego dna, poruszasz szeroko zrazu górną warstwę, odrzucasz ziemię łopatę za łopatą, nie wiedząc co niżej, ile splątanych korzeni, jakie przeszkody i braki, ile uciążliwych, zakopanych przez innych i przez siebie zapomnianych kamieni i różnych twardych przedmiotów...

...Szukam podziemnych źródeł, czysty, chłodny żywiol, odgarniam i rozgarniam wspomnienia...” (Pamiętnik).

Nie dokończył tej ostatniej swojej roboty. Śmierć męczeńska i nagle przywaliła ciężkim kopcem sławy niewykopaną studnię. Coraz głębsze nawarstwienia poprzednich doznań, myśli, prac, leżą pod tym nagrobkiem sławy, ustalając się i krzepnąc w zależności od wagi i sensu tego patetycznego finału.

I dlatego dziś nikt, kto zechce pisać o Korczaku — nie może ominąć tego legendarnego końca, musi wciąż przymierzać i uzależniać od niego sprawy wcześniejsze, poprzednie.

W ten sposób wszelkie nurty, pokłady, wątki zbiegają się do tego szczytowego punktu jak do sprawdzianu i supła krzyżujących się zagadnień.

Traktowanie życia Korczaka i segregowanie jego wątków kolejnymi etapami, sposobem chronologicznym jest jeszcze z jednego powodu utrudnione.

Normalne życie człowieka — pobieżnie mija dzieciństwo, wzmaga się na głębi i treści w epoce dojrzewania, wybucha energią młodości, a potem już w dalszym, postępującym tempie wkracza w okres dojrzałych prac, w pospiech urzeczywistnień. I wtedy zostawia daleko poza

sobą tematykę doznań i konfliktów dziecięcych. Pierwsze drgnięcia świadomości, odczucia i doświadczenia rzadko już potem i raczej w chwilach słabości bywają pożywką rozczuleń, tęsknot i poezji.

„W życiorysach lata dziecięce są górami, z których rzeka życia bierze swój początek, rozpęd i kierunek. Jak śmiemy je lekceważyć? Nie dostrzegamy lat dziecięcych, lekceważącym frazesem zbywamy lata młodsze. Zdumiewająca, oburzająca ignorancja i nonszalancja wypływa z ogólnego naszego stosunku do dzieci i młodzieży“ (Wstęp do rozprawy Śniadeckiego „O filozoficznym wychowaniu dzieci“).

Tak pisał już w latach dojrzałych Korczak — teoretyk wychowania. Cóż więc dziwnego, że i w praktyce linia jego życia ma inny wykres. Że osobisty stosunek do lat dzieciństwa i młodości wygląda inaczej. Życie młodsze, już świadome i twórcze, od szczytowego punktu pasji, z epoki buntu i twórczości zagina się i cofa raptownie wstecz, celując z powrotem ku pierwotnym źródłom życia. Wielki bogaty zbiornik pierwszych uczuć i myśli tak długo niezauważany przez psychologów, pierwotny rezerwat instynktów, zapomniany, lekceważony świat dzieciństwa — przyjmują ten powrotny nurt jego energii. I ulegając na porowi jego burzliwej rewolucyjnej siły, jednocześnie nasycają go i wspomagają bezustannie swą własną treścią. Nie tylko temat i tytuł jednej z późniejszych książek Korczaka: „Kiedy znów będę mały“ mówi o losach i odczuciach dorosłego, zapędzonego z powrotem w dzieciństwo z własnej chęci i za sprawą czarodziejskiego zaklęcia. To właśnie zainteresowania i pasje samego Korczaka jak bumerang biegnęły przez całe jego życie celnym łukiem od pierwszych goryczy, strachów i uniesień do tych samych

spraw organizowanych, naświetlanych, reformowanych i opisywanych świadomie i po dorosłemu.

Mentalność i uczuciowość dziecka jest wciąż obecna, czynna w odczuciu odkrywcy, badacza i artysty. Dzieciństwo jest nie tylko podwaliną i ekspozycją późniejszych prac, ale terenem działań, wszechobecną rzeczywistością. Motywy, myśli, obrazy przenikają się i powtarzają w rozmaitych wersjach i czasach. Aby opisać to życie trzeba iść aż do końca za jego biegiem, a potem znowu zawracać, wybiegać wstecz lub przymierzać do siebie dwa odmienne momenty. I wtedy odnajduje się to samo drganie odczucia w bawialni adwokata Goldszmita, z której okna mały chłopiec patrzył na dzieci bawiące się na podwórzu, w pałacu króla Maciusia, w sali rekreacyjnej „Domu Sierot“ przy Krochmalnej i w więzieniu getta... Urywki z pamiętnika czternastoletniego chłopca i przeszło sześćdziesięcioletniego człowieka są podobne, mówią o tych samych ludziach — cytują tych samych poetów.

Odkrycia dziecka i filozofa, rojenia dziecka i poety, bunt dziecka i reformatora — wszystko to uzupełnia się, wygrywa, krzyżuje, wnosząc twórczy ferment i niespożyta świeżość odczuć w każdy czas. I nigdy właściwie nie można ustalić, czy projekt urzeczywistniony w czynie lub książce ma za źródło wczesne wzruszenie, czy późniejszą obserwację, jak ściśle pierwotność zahacza tu o odkrywczość, infantylną graniczy z rewelacyjnością...

W książce o życiu Korczaka nie można więc ulegać nakazom surowej i bezwzględnej chronologii. Aby je objąć i rozumieć, musimy biegać w ślad za jego myślą i spojrzeniem, po rozległych terenach jego wzruszeń, buntów i prac. Od granicy do granicy — od epoki mieszczańskiego liberalizmu lat osiemdziesiątych do krwawego roku największego w dziejach ludzkości zbiorowego morderstwa.

RODOWÓD

Rozpoczynamy zazwyczaj życiorys od genealogii. Formę skrupulatnego rodowodu przejęła ostatnio od historii nawet powieść. Wielkie romanse pokoleń opatruje się w wyimaginowane drzewa genealogiczne ich bohaterów. Komentarz historyczny, decydujące czynniki dziedzictwa i wychowania wyznaczają ramy nawet fikcji — cóż dopiero mówić o postaciach prawdziwych. Tak więc kwestia pochodzenia, obraz środowiska, charakter dziadków i babek otwiera zwykle drogę do poznania jednostki.

Janusz Korczak bardzo dużą wagę przywiązywał do tej sprawy.

We wstępie do rozprawy Śniadeckiego podkreśla znaczenie wieku, w którym się urodził wielki człowiek i terenu, na którym działał:

„Herby i konie wyścigowe mają genealogię, nie mają jej uczeni“. „Jak z łaski półgębkiem mówią nam o rodzi-
cach i dziadach, jak gdyby nie było zbiorowym czynem narodu, że dał wyjątkową wartość, przybrał w dostojną treść. Niechby wiedziano ile pokoleń zbiera mozolnie soki w ci-
szy, zanim do słońca wychyli się kwiat rodu“.

Jeszcze gdzie indziej, w dedykacji ofiarowanej rodzicom na zakończenie książeczki „Sam na sam z Bogiem“, wraca Korczak do kwestii przodków, mówi do nich z miłością i wdzięcznością:

„Matus, Ojczulku. Ze wszystkich skamieniałych tęsknot i bólów waszych i moich przodków pragnę wznieść wysoką, strzelistą, samotną wieżę dla ludzi. Liczba tych pod ziemią szkieletów, których głosem pod wasze dyktando przemawiam — jest tylko za ostatnich lat trzysta — aż tyśiąć i dwadzieścia i cztery. Jak różne nosili imiona...”

Imiona były zaiste różne. W wypadku ludzi pochodzenia żydowskiego problem genealogii ulega bowiem komplikacji. Trudno jest wysledzić ową linię oddziaływania i ciągłość klimatu tam, gdzie niedawno zaszła decydująca odmiana języka, obyczaju, tradycji, gdzie syn minął rodziców wkraczając na inny teren zainteresowań, na inny poziom umysłowy, podążył ku innym celom.

Wyszędłszy świadomie czy przypadkiem z ram jednego społeczeństwa, aby wejść w inne jako „homo novus” — ów nowy obywatel odcinał się od zasług przodków, nie mógł legitymować się ich czynami. Wspomnienia nasycone inną atmosferą zacierały się szybko, hamowane przez urazy i obcość. Fakt odmiany, spolszczenia się, zerwania z tradycją religijną miał nieraz posmak zdrady dla tych, co zostali po tamtej stronie, często akcent wstydu dla tych, co chcieli zapomnieć o poprzedniej przynależności religijnej czy społecznej, czasem nawet ukryć ją i zakłamać. Nie sprzyjało to lirycznej kontynuacji wspomnień.

Pietyzm Korczaka w stosunku do przodków pozbawił go tych wszystkich zahamowań i kompleksów, pozwolił mu z dumą przyznawać się do ciągłości. W pamiętnikach swych pisze: „Pradziadek był szklarzem. Rad jestem. Szkło daje ciepło i światło”. Kiedy indziej mówi: „Winiem wiele miejsca poświęcić ojcu. Realizuję to, do czego on dążył, do czego dziadek tak dręcząco dążył tyle lat. I matka. Później, kiedyś. Jestem ojcem i matką. Wiem i wiele dzięki temu rozumiem”. Na grobie matki umieścił Korczak cytat

z Pięcioksięgu: „Nie zapomniałem przykazań Twoich, anim je przestąpił“.

Poza stroną uczuciową tego rodzinnego pietyzmu istnieją tu także i inne wytłumaczenia.

Henryk Goldszmit urodził się i wychował w czasach, zanim jeszcze powstały wielkie nacjonalizmy, kiedy antysemityzm nie był oficjalnym hasłem światowej reakcji. Urodził się w środowisku już od dawna spolszczonym, kulturalnym, a do tego zamożnym. Ojciec jego, Józef Goldszmit, był znanym i cenionym adwokatem w Warszawie, autorem dzieła o prawie rozwodowym, dziadek był lekarzem w Krasnymstawie, w Lubelskim, Matka Cecylia z Gębickich, pochodziła również z rodziny najzupełniej spolszczonej.

„Nazywam się po dziadku, a imię dziadka Hersz (Hirsz). Ojciec miał prawo nazwać mnie Henrykiem, bo sam otrzymał imię Józef. I inne dzieci nazwał dziadek chrześcijańskimi imionami: Maria, Magdalena, Ludwik, Jakub, Karol. A jednak wahał się i zwlekał...“ pisze Korczak

Jeżeli zważymy, obliczywszy lata Korczaka, że ten proces kolejnego nazywania dzieci odbywać się musiał nie później jak w latach pięćdziesiątych ubiegłego stulecia — dotrzemy do epoki, w której ideologia wielkiej emigracji, atmosfera niedawnej Wiosny Ludów, sprzyjały braterstwu ludzkości, a mesjanizm odnajdywał braci w ludziach odmiennych ras.

Asymilacja odbywała się wówczas szybko i gruntownie, szczególnie tam, gdzie zarówno skłonności kulturalne jak dobrobyt materialny pozwalały na łatwiejsze przenikanie w sferę wpływów europejskich.

Ostatni krok, z którym zwlekał dziadek — przyjęcie chrztu, była to wówczas sprawa łatwa i powszechna, przesądzająca o jeszcze ściślejszym zespoleniu się z resztą spo-

łeczeństwa. Dziadek Henryka Goldszmita nie ochrzcił się. Mimo to w epoce ojca powstanie styczniowe rozbudziło braterską egzaltację wspólnej walki, pogłębiło stopień asymilacji. Gdy w roku 1878 czy 1879 urodził się pierwszy syn mecenasa Goldszmita w Warszawie, pamiętano dobrze symboliczną postać młodego Landego, który padł z krzyżem w rękę na czele powstańczej manifestacji. Wiersz Norwida: „Do Żydów polskich“ zdawał się nie być frazezem.

Cóż więc dziwnego, że dziecko w domu o obyczaju czysto polskim, bez tradycji religii możeszowej rosło w nieświadomości swego pochodzenia, dalekie od jakichkolwiek lęków i kompleksów.

Ciągłość kulturalna trzech pokoleń, łącząca je miłość i dążenia były wystarczające, by wzbudzić poczucie tradycji rodzinnej i godności w przedstawicielu ostatniego pokolenia, pozwolić mu na swobodę i szczerłość traktowania spraw swego wyznania czy rasy.

A jednak kiedy w roku 1946 potrzeba było bardziej szczegółowych danych o rodzicach i dziadkach Henryka Goldszmita, koniecznych do prowadzenia formalności spadkowych — nikt nie mógł dotrzeć do dat urodzenia i śmierci, do nazwiska panieńskiego babki. Metryki i akty zejścia spłonęły w Archiwum. Dzika dżungla roślinności zagroziła dostęp do grobów na cmentarzu warszawskim przy ulicy Okopowej i nikt nie zdołał ich odszukać.

Tak więc katastrofa, która dotknęła rodzinne miasto i jego żydowską ludność, położyła także na dokumentach pochodzenia Korczaka swe niszczące piętno.

Dzieciństwo, nastrój domu, wychowanie nadal kontynuowały polskość kultury i obyczaju. Wychowawczyni do dzieci, Katarzyna w kuchni, czy niania, ojciec prowadzący syna w okresie Bożego Narodzenia na Jasełka i Szopkę,

pierwsze baśniowe widma złego Heroda, chciwego dziadka z torbą, czarnych diabłów i łaskawych aniołków, świadczą o tym wymownie.

We wspomnieniach dziecięcych Korczaka nie odnajdujemy nic różniącego je od wspomnień chrześcijańskiego dziecka owych czasów. Szkoła, współzycie koleżeńskie, lektura, pierwsze próby pracy społecznej pogłębiają i motywują ten stan rzeczy. W zaraniu swej twórczości Henryk Goldszmit przyjmuje czysto polski pseudonim Janusza Korczaka (zapożyczony przypadkowo z tytułu powieści Kraszewskiego), tak prosto i spontanicznie, jakby nie było kwestii, że jego literatura polską mową służyć będzie polskim odczuciom i zagadnieniom.

Legenda rodzinna mówiła jednak, że nadrabbin Paryża, pozostający w jakichś stosunkach znajomości z mecenasem Goldszmitem, wieszował mu urodzenia syna Henryka, przepowiadając, że będzie to wielki mąż w Izraelu.

Tymczasem życie poczęło dawać Korczakowi dość wcześnie okrutne lekcje.

Oto jedno z pierwszych wspomnień dzieciństwa, zapisane w pamiętniku. Mały Henryś Goldszmit ma zaledwie lat pięć. Chce pochować na podwórzu w blaszanym pudełku od landrynek swego „ukochanego, oplakanego, pierwszego zmarłego“ kanarka. Chce na jego grobie postawić krzyż.

Ale służąca nie pozwoliła twierdząc, że to grzech. A syn dozorczy domu orzekł, że kanarek był Żydem.

„I ja. Ja też Żyd, a on Polak-katolik. On w raju, a ja natomiast, jeśli nie będę mówił brzydkich wyrazów i będę mu posłusznie przynosił wykradzione z domu cukierki, dostanę się po śmierci do czegoś, co wprawdzie piekłem nie jest, ale tam jest ciemno. A ja bałem się ciemnego pokoju.

Śmierć, Żyd, piekło. Czarny żydowski raj. Było co rozważać“.

Tak się zaczęła sprawa żydowska w życiu Janusza Korczaka. Było to już u progu tych czasów, gdy w Niemczech, Francji, Rosji organizowały się potężne szowinizmy antysemityczne, gdy kształtowało się jako rezonans credo syjonistyczne Herzla.

Potem, po wielu latach, jako młody wychowawca-wolontariusz na koloniach letnich, usłyszy Korczak z bliska, może po raz pierwszy, żargon z ust małych żydowskich chłopców. Zdziwi się wtedy:

„Cichy, szary wyraz polski: smutno — jest po żydowsku też — smutno. I kiedy dziecku polskiemu czy żydowskiemu źle się dzieje na świecie — tym samym wyrazem myśli, że mu jest smutno“.

W tym jednym słowie mieści się cała treść stosunku Janusza Korczaka do zagadnienia żydowskiego, które musiało mu być obce, wtedy gdy się wychowywał i gdy zaczął myśleć.

Korczak był Polakiem z urodzenia, z wychowania, z sentymentu — tam, gdzie być Polakiem znaczyło — kochać, walczyć, dążyć, w okresie najcięższym politycznie, w czasach konspiracji, wojny, odbudowy. Ale jednocześnie wraz z poczuciem rosnącej nienawiści, bojkotu, prześladowań czuł się coraz bardziej osaczony i zatruty przez ów smutek żydowski. I to śmiertelne, ciężkie poczucie nieszczęścia zobowiązywało go coraz tragiczniej, zgodnie z impulsem współczucia i dumy, do ciężkiej pracy społecznej i do nie wrodzonej, ale postanowionej solidarności żydowskiej.

To nieszczęście rosnące z biegiem lat spychało go coraz głębiej i dalej w ramy żydowskiej wspólnoty, w służbę dziecka żydowskiej nędzy.

Historia rozwoju antysemityzmu europejskiego wyznacza terminy losom Janusza Korczaka. Ona to sprawiła,

ze życie jego potoczyło się w innym kierunku, niż to bywa zazwyczaj, wbrew normalnemu ustalonemu procesowi asymilacji, który z gett żydowskich wyprowadzał ludzi na szerokie tereny działalności międzynarodowej.

Urodzony w czasach liberalizmu i tolerancji, daleko od żydowskiego getta — zginął bowiem w ogniu jego okrutnej zagłady.

SMUTNE DZIECIŃSTWO

Prawdziwa historia dzieciństwa Korczaka nie przypomina w niczym treści jego książek. Przypomina je tylko fragmentami wewnętrznych przeżyć. Jeśli chodzi o fabułę, jest od nich o wiele mniej nowoczesna. Książki Korczaka o dzieciach i dla dzieci są ambitną lub fantastyczną transpozycją marzeń, albo znakomitym psychologicznie i mistrzowskim artystycznie podpatrzeniem życia. Natomiast powieść dzieciństwa małego Henryka Goldszmita przypomina nieoczekiwanie i do złudzenia te staroświeckie i niezgodne z pedagogiką współczesną powieści XIX wieku, w których los strąca okrutnie małego bohatera z bogactwa na dno nędzy.

Pierwsze rozdziały takich książek podają nam opisy dostatków, wytwornych wnętrz, licznej służby, a potem wszystkie klęski, jakie bywają udziałem dorosłych ludzi, zbiegają się, aby gnębić bezbronne dziecko wychowane wśród zbytków i złudzeń. Następuje choroba, bankructwo, śmierć ojca, nędza, potem trudna praca i triumfująca szlachetność. Czy nie brzmi to jak schemat zeszlowiecznego romansu?

Henryk Goldszmit naprawdę urodził się w bogatym, wytwornym domu, pełnym służby i pięknych mebli, lśniących posadzek i gości. Ojciec jego był wziętym adwokatem, zarabiał dużo, lubił wystawne życie i zbytek, uosabiał w sobie fantazję i rozmach życia. Jakaś bolesna i wzrusza-

jąca wspólnota odczuć i szaleństw łączyła małego chłopczyka z tym wspaniałym, pełnym inicjatywy ojcem. Oto ustęp z pamiętnika:

„Sądzę, że obaj czuliśmy, że ostatecznie nie one: mama, babcia, kucharka, siostra, służąca i panna Maria (do dzieci), cały ten babiniec rządzi, ale my, mężczyźni.

My panami domu. Ustępujemy dla świętego spokoju...“.

I gdzie indziej: „Dreszczem zachwytu i porywem radości witaliśmy i wspominaliśmy — siostra i ja — nawet najbardziej forsowne, męczące, nieudane, opłakane w skutkach przyjemności, jakie z przedziwną intuicją wynajdywał nie nazbyt zrównoważony pedagog — tatuś“.

Tatuś darł boleśnie za uszy, w zimie zgrzanemu dziecku fundował lody i wodę sodową, podczas choroby podchodził do łóżeczka i chłodną ręką dotykał czoła. Mama denerwowała się, zabraniała, przeganiała go z dziecinnego pokoju. Ale ojciec był wspaniały, nieobliczalny, ukochany...

W tych warunkach, przy takim dojmującym natężeniu dziecięcych uczuć tym tragiczniejsza była katastrofa, która nadeszła. Choroba — obłąd ojca. Kilkakrotny jego pobyt w zakładach dla umysłowo chorych, głównie w Tworkach, wreszcie śmierć. Następnie czy nawet jednocześnie, lekkomyślne wyprzedawanie przez ojca wszelkich cennych rzeczy, bankructwo, utrata domu, mebli przez licytację, wszystkie zwyczajowe i ponure okoliczności materialnej katastrofy, które rozprzęgły dotychczasowe życie i przeniosły matkę i dwoje dzieci, Annę i Henryka, w najuboższe warunki.

Zupełnie jak w banalnej i niemodnej powieści.

Potem mały Henryk Goldszmit musiał od bardzo wczesnych lat zarabiać korepetycjami na życie, utrzymując wraz z siostrą siebie i matkę. Wiele przecierpiał i bardzo

usilnie pracował. Po latach opowiadał, że nigdy nie miał czasu odrobić piśmiennych zadań. Miał z nich z reguły niedostateczne stopnie. Ratowały go tylko celujące z ustnych odpowiedzi. Z tych trudnych lat znamy tylko jedno zdarzenie. Kiedyś w oknie handlarza starożytności pojawił się stary zegar, który stał dawniej w ich domu i zlicytowany poszedł w obce ręce. Anka i Henryk postanowili go odkupić. Dowiedzieli się o cenę. Była wysoka. Gorączkowo zaczęli gromadzić pieniądze, zarabiać je w usilny sposób. Codziennie chodzili pod okno antykwarni, aby sprawdzić, czy ich wymarzony zegar jeszcze stoi. Gdy wreszcie potrzebna suma, uciulana tak mozolnie, znalazła się w posiadaniu rodu, zegar znikł... Kupił go ktoś inny.

Ta historia jest tak wzruszająca, jak fragment powieści Dickensa.

Korczak niechętnie wspominał te przejścia, a już nigdy nie dał im wyrazu w swej twórczości. W „Prawidłach życia“ mówi tylko krótko: „Ja byłem bogaty, kiedy byłem mały, a potem już biedny, więc znam i to, i to. Wiem, że można być i tak i tak porządnym i dobrym, że można być bogatym i bardzo nieszczęśliwym“.

Stwierdzenie to służyć może jako klucz dla wielu spraw jego dzieciństwa. Wątle i nerwowe „dziecko salonu“, patrzące przez okno na bawiących się na podwórzu łobuziaków lub marzące o tym, aby mu pozwolono pobyc w kuchni, miało także swe smutki i pragnienia. Bądźmy sprawiedliwi. Te pierwsze lata przeżyte w dostatku pod czułą opieką babci, mamy, służby nie zawsze były wesołe. Cechowała je tęsknota i samotność, nuda i strachy nocne, wstyd, zawód i urazy. Z niespełnionych marzeń dziadka, z dyspozycji nerwowych ojca, z inteligenckiej, przerafinowanej wrażliwości wynikała uczulona fantazja, ferment twórczy, ale buntowniczy i bolesny.

Na kartach książek Korczaka odnajdujemy wiele refleksów tych dziecięcych zmartwień i zastanowień. Uczucie psychicznej niewygody, uczucie poniżenia płynące z własnej bezradnej słabości, częste zawstydzienia, paraliżujące odruchy, występują już w tych pierwszych czasach jako rezultat wrażliwości, samotnictwa i jakiegoś głębokiego wewnętrznego zamyślenia nad sobą i światem.

„Byłem dzieckiem, które godzinami bawiło się samo, dzieckiem, o którym nie wie się, że dziecko jest w domu. Klocki, cegielki otrzymałem mając lat 6 — przestałem się nimi bawić mając lat 14.

— Jak ci nie wstyd, taki stary chłop, wziąłbyś się do czegoś, czytaj! Klocki, też...” (Pamiętnik).

To, co tak często w życiu dziecka żywego, impulsywnego bywa źródłem wyzycia, śmiechu, gwałtownej uciechy, tutaj wyobraźnia i obawa przemieniały nieraz w udrękę. Stąd wspomnienia dzieciństwa są raczej smutne. Fantastyczne wyprawy z ojcem na Jasełka przy ul. Freta, na Szopkę przy ul. Miodowej, tłoczne przedstawienia w salach sierocińca z planowanej uciechy przemieniały się w koszmary pełne nieuchwytnych i groźnych cieni. Chciwy dziadek z torbą urastał w symbol. Ojciec odchodził, gubił się w tłumie. Gasło światło, ludzie kaszlali. Mały chłopiec bał się, łyzy go dusiły. „Było źle, bardzo źle...”.

Aż wreszcie zaziębienie, schronienie w ciepłym łóżku przynosiło ulgę rozedrganym nerwom, odgradzało dziecko od udręk i zmór życia.

Szkoła była także perspektywą wielu nieprzyjemnych możliwości.

„W ogóle za moich czasów niedobre były szkoły. Surowo było i nudno. Nic nie pozwalali, tak było obco, zimno i duszno, że kiedy się później śniła, zawsze się spocony bu-

dziłem i zawsze szczęśliwy, że to sen a nie prawda...“ („Kiedy znów będę mały“).

Lękliwe, zaledwie ośmioletnie dziecko bało się różeg, które dawali w szkole Szmurły na Freta, straszyla je ohydna, raz widziana scena egzekucji — bicia kolegi, wzbudzająca obrzydzenie i dreszcz. Obsesja przetrwała całe życie, wyraziła się w wielu opisach, wywołała bezwzględnie wrogi, nienawistny stosunek Korczaka-pedagoga, do kary cielesnej.

Obraz szkoły psuły także możliwości utarczek i sprzeczek z bardziej dokuczliwymi lub złośliwymi kolegami, przemoc brutalniejszych i silniejszych, fałsz i intryga zaznane na wstępie, przy pierwszym zetknięciu ze zbiorowością ludzką.

Poza tym czułe i ambitne dziecko drażnił lekceważący i nadrzędny stosunek rodziców do dzieci. Wrażliwy na słowa odczuwał je jak przezwiska. Obrażająca była: „niesforność“ — podobna do sfory psów, „karność“ od słowa karać, pasem bić, rzemieniem, „dzieciarnia“ rymująca się z psiarnią, paskudne słowo: „malec“.

Gimnazjum na Pradze z jego przykrym rygiorem, narzuconym językiem, suchym i obcym programem, dopełniało obrazu udreki.

W domu śmieszyły i zawadzały konwenanse życia towarzyskiego, obłuda salonowa i wychowawcza, sztuczne przegrody sfery.

„Powiadasz: Biedne dzieci są brudne, mówią brzydkie wyrazy, na głowie mają robaki. Biedne dzieci chorują, można się od nich zarazić. One się biją, kamienie rzucają, oczy wybijają. Na podwórko nie wolno chodzić, do kuchni nie wolno, tam nie ma nic ciekawego.

A życie głosi: Wcale nie chorują, cały dzień biegają wesoło, wodę ze studni piją, kupują smaczne, farbowane

cukierki itd. Brzydkie wyrazy są śmieszne, a w kuchni sto razy przyjemniej niż w pokoju“.

Tak nadeszła chwila zastanowienia. Mały Henryś z dziecinnego pokoju już nie tylko lękał się, smucił, wstydził. Nie tylko układał klocki i bał się cudzej siły. Zaczął myśleć i pragnąć odmiany.

Słabość i bezradność okazały się tylko pozorem. To prawda, że wydawał się niezręczny i zahamowany.

„Nie darmo tatulo nazywał mnie w dzieciństwie gapą i cymbałem, a w burzliwych momentach nawet idiotą i osłem. Jedna tylko babcia wierzyła w moją gwiazdę. A tak; leń, beksa, mazgaj (mówiłem już), idiota i do luftu.— Mieli słuszność po równo — pół na pół.. Babunia i papa. Babcia dawała mi rodzynki, cukierki i mówiła: filozof...“.

W starych zeszlowiecznych romansach bywa tak, że dopiero klęska i utrata majątku uszlachetnia bohatera, otwiera mu oczy na bolączki społeczne i pozwala poznać z bliska świat ubogich.

Ale pod tym względem prawdziwe życie Henryka Goldszmita dość wcześnie przestało być banalnym szablonem.

Ten mały chłopczyk, wąty i nerwowy, nie musiał czekać na utratę majątku, aby jako zubożały panicz wejść w kontakt z niższymi sferami społeczeństwa i ocenić ich wartość i potrzeby. Bardzo wcześnie, jeszcze w białym kołnierzyku i aksamitnym ubranku „dziecka salonu“ potrafił sformułować chęci i plany, które potem realizował przez wiele lat.

„Matka mówiła: „Ten chłopiec nie ma ambicji. Jemu wszystko jedno co je, jak się ubierze, czy bawi się z dzieckiem swojej sfery czy ze stróżakami. Nie wstydzi się bawić z małymi“. (Pamiętnik).

Pragnienia i wola odmiany zaznaczyła się bardzo wczesnie. „Podobno już wtedy zwierzyłem babci w intymnej rozmowie mój plan przebudowy świata. Ni mniej, ni więcej, tylko — wyrzucić wszystkie pieniądze. Jak i dokąd wyrzucić i co potem robić — jeszcze na pewno nie wiedziałem. Nie należy sądzić zbyt surowo. Liczyłem wtedy pięć lat, a zagadnienie żenująco trudne, co zrobić, żeby nie było dzieci głodnych, obdartych i brudnych, z którymi nie wolno się bawić na podwórku...“.

W wieku około lat czternastu skryształizowały się pierwsze plany reformy wychowawczej. Ale wcześniej skomplikowało się życie. Prysnęła przegroda sfery. Okazało się, że brak pieniędzy bywa jednak bardzo niewygodny i nie upraszcza zagadnień. Zniknęła cieplarniana atmosfera izolacji. Surowe prawa egzystencji biedaków, stały się źródłem wielu gorzkich i poważnych wtajemniczeń. Impuls współczucia i ofiary cechujący bogate dziecko umocniła solidarność biedaków. Dystans i zależność materialna od warstw posiadających i płacących zaostrzyły widzenie i kształtowały poglądy.

U progu osieroconego dzieciństwa, w poczuciu odpowiedzialności za siebie i swych bliskich mały Henryk Goldszmit rozpoczął trudną drogę przez życie.

Ale swych planów, powziętych w wieku lat pięciu, nie porzucił. Mama miała rację. Bawił się ze stróżakami. Bawił się z małymi. Przez całe życie. Aż do końca.

PROGRAM MARZEŃ

„Więc kiedy byłem taki, jak na tej fotografii, sam chciałem zrobić to wszystko, co tu napisane... A fotografię taką dałem, bo ważne jest to, kiedy naprawdę chciałem być królem, a nie, kiedy o królu Maciusiu piszę“. („Król Maciuś“).

Spójrzmy naprzód na fotografię umieszczoną w pierwszym wydaniu: „Króla Maciusia Pierwszego“. Autor sam zaproponował wydawcy jej umieszczenie w książce. Ze wzruszeniem wyjmował z portfelu twardy błyszczący kartonik z złoconą firmą „Rembrandt“ wyciśniętą u dołu.

Ładny, wytworny, może ośmioletni chłopczyk — siedzi na fotografii poważnie i prosto w ciemnym ubranku, w białym wyłożonym kołnierzu z szeroką kokardą jedwabnego krawata, związaną ówczesną modą pod bródką. Ma delikatne, proste rysy, gładko uczesane włosy z równym przedziałkiem na boku i śmiałe, jasne spojrzenie inteligentnego dziecka.

Ten właśnie chłopczyk chciał... Chciał żywo, mocno, namiętnie... Chciał rzeczy osiągalnych, które zdobędzie, gdy dorośnie i marzył o fantastycznych i nierealnych, które zawsze będą tylko barwną fatamorganą. Chciał być wodzem, królem, czarodziejem, bohaterem...

Czy myślał wtedy, że spełnią się te jego marzenia? Nie wiadomo...

„Jak byłem mały, często myślałem, co będę robił, jak dorosnę. Różnie układałem... Sam nie wiem, czy wierzyłem w to wszystko. Ale przyjemnie było tak sobie w głowie układać“.

Przecież w czasach dzieciństwa ważne jest raczej samo chcenie, niż jego późniejsza realizacja.

„Pytałem raz w klasie czym kto chce być — pisze Korczak w „Prawidłach Życia“. Jeden chłopiec powiedział: — czarnoksiężnikiem. Zaczęli się śmiać.

Chłopiec zawstydził się i dodał: — Będę pewnie sędzią, jak mój tatuś, ale pan się przecież pytał czym chcę być“.

Różne są gatunki chceń i marzeń — wstydlive i rewolucyjne, najbardziej powszednie i zupełnie abstrakcyjne, te, które spełni pierwszy termin imienin i te, których nie urzeczywistni cały wiek, jedne, które życie prześcignie, inne, które wyszydzi.

Dziecko pragnie i marzy, układa sobie, wyobraża, roi: w chwilach smutku i tęsknoty, po wyczerpaniu płaczem, wieczorem w łóżku, w poufnym zbliżeniu z przyjacielem.

„Bo ile razy zbyt ciężko jest żyć na świecie, zawsze przychodzi pocieszenie w przyjemnej jakiejś myśli. Zacznie się tak. Jakby to dobrze było, gdyby... I już dalej, dalej, jakby naprawdę tak było... Więc niby“...

Książki Janusza Korczaka o dzieciach i dla dzieci są obfitym komentarzem jego dzieciennych odczuć. Na ich kartach, w wielu relacjach i zastosowaniach odnajdujemy niby w wielkim katalogu wszystkie chcenia i marzenia z czasów, gdy był małym chłopcem.

Obserwacja psychologa i pedagoga, niezawodne słowo artysty starały się później to bogactwo marzeń zaklasyfikować i wytłumaczyć.

Korczak wie bowiem dobrze, że „marzenie jest programem życia“, „jest udramatyzowanym snem o potędze“. A bezsilność często kompensuje się fantazją. „Nie mogąc wyjść, dziecko często odbywa podróże po wyspach bezludnych i oceanach, nie mając psa — chętnie dowodzi pułkiem“.

Na samym początku książki: „Kiedy znów będę mały“ — mamy całe pięć stron takich drobiazgowych dziecięcych „układań sobie“ o tym, co będzie... Powtarzają się one rozmaicie i w innych książkach. Od tych najbardziej dziecinnych — o obiecanych przez wujka zegarku, rowerze, ołówkach kolorowych i pieczęcie, breloku z trupią czaszką — poprzez sny o własnym domku, psie i kucyku aż do projektu wycieczki łódką do Gdańska i podróży w stalowej kuli naokoło księżycy.

Korczak jako kronikarz i komentator tych bogatych marzeń jest wyrozumiały. Aprobuje i te najdrobniejsze, materialne, powszednie pragnienia i te fantastyczne, nie-realne, których transpozycją może być tylko bajka i te wreszcie dość realne i ambitne, by w miarę lat nasiąkać coraz głębszą i piękniejszą treścią samego życia i domagać się urzeczywistnień.

I załatwiając się z tymi pierwszymi uśmiechem, żartem, rozculeniem, przerzucając następne na fantastyczny teren swych powieści o Maciusiu i Kajtusi — na ostatnich kładzie cały nacisk swych żarliwych twórczych ambicji. Ich świadectwo potwierdza zresztą najbardziej niezwykłą i tak namiętną w chceniach — osobowość małego Henryka Goldszmita.

Ten wrażliwy i cichy chłopaczek, który tak bardzo chciał być w dzieciństwie czarodziejem i królem, dość szybko zapragnął być także czymś innym. „Chciałem być aktorem, poetą, wodzem, podróżnikiem, adwokatem, Kmi-

cicem... A przede wszystkim chciałem być dorosłym, być sobą — pisze w „Dziecku salonu“...

Czy to cały program? Ale skądże... Każdy nowy dzień, każda nowa książka, obserwacja, rozmowa nasyczała życie nową treścią, burzyła kocioł gotujących się, kłębiących chęci.

Z chaosu wyłaniały się kolejno najbardziej w tej chwili atrakcyjne, godne uwagi i podziwu role: przyrodnika, lekarza, redaktora wielkiego pisma, dramaturga, nauczyciela i wielu innych.

Trzecioklasista marzy, aby nauczyć się mówić po hiszpańsku, włosku i innymi językami, oraz podróżować. Czwartoklasista chce zgromadzić zbiory minerałów i zebrać zielnik. Piątoklasista chce badać naturę, być pożytecznym ludziom, przynosić chlubę rodakom. („Spowiedź motyla“).

Tak więc epoka, ideały pozytywistyczne pracy i nauki, tendencje ścisłej wiedzy kładą z roku na rok wyraźniejsze piętno na tych marzeniach dziecka. I w gmatwaninie przesciągających się, krzyżujących ambicji tkwią już wyraźnie motywy późniejszych zamiłowań.

Pięcioletni reformator z pokoju dziecinnego, rosnąc, roi jeszcze naiwnie, aby być wodzem, podróżować lub mieszkać w latarni morskiej, a jednocześnie zastanawia się poważnie nad postępowaniem i nowymi celami wychowania. Wraz z przyjacielem, owym Stachem (którego wspomina zarówno w „Dziecku salonu“, „Spowiedzi motyla“, jak i pamiętniku przedśmiertnym) postanawia Korczak przeprowadzić swe pierwsze reformy. „Chorym nie wolno się żenić. Zamiast wódki pieniądze dla biednych. Instytucja sprawdzania talentów. Zamiast wojska wielkie warsztaty. Marzenie naczelné: On ksiądz, ja lekarz w małym miasteczku...“ (Pamiętnik).

Późniejsze utwory literackie, a przede wszystkim „Sława” — świadczą o tym, jak bardzo uzależniał Korczak fakt urzeczywistnień od namiętnych tęsknot i upartej woli z lat dziecińczych.

Troje robotniczych dzieci z warszawskiego podwórka, wpatrzonych nocą w gwiazdy i mówiących sobie ambitnie: „chcemy być sławne”, po to, by w rezultacie osiągnąć także sławę, ale inną, mozolną i powszednią — są artystycznym obrazem tego przekonania.

Mały Ludwik Pasteur w ujęciu Korczaka staje się tym upartym i wytrwałym chłopcem, który za wszelką cenę, mozolnie, z zaciśniętymi zębami dąży i osiąga cel. „Trzeba chcieć silnie i wytrwale. Trzeba wolę hartować, trzeba być pożytecznym” — oto konkluzja książki o czarodzieju Kajtusiu.

U schyłku życia mówi Korczak w swym pamiętniku: „Życie moje było trudne, ale ciekawe. O takie właśnie prosiłem Boga w młodości. Daj mi, Boże, ciężkie życie, ale piękne, bogate, górne. Kiedy dowiedziałem się, że tak samo Słowacki, było mi przykro, że nie mój wynalazek, że miałem poprzednika...”

Nie darmo w programowym zakończeniu do „Sławy” zwracał się autor do dzieci z wezwaniem: „Dzieci, dumne miejcie zamiary, górne miejcie marzenia i dążcie do sławy. Coś z tego zawsze wyniknie”.

„Trzeba być ostrożnym w czynach, a śmiałym i nieobliczalnym w marzeniach”. („Listy” 1935) — taką wskazówkę daje Korczak młodym pedagogom i ambitnym dzieciom.

SPOWIEDŹ MOTYLA

W ostatnich, odkrywczych uwagach zawartych w pierwszym tomie książki: „Jak kochać dziecko“, Korczak mówi o wieku dojrzewania, protestując przeciwko jego nazwie i jego granicom. Mówi o nim teoretycznie, raczej jako pedagog i obserwator. Wiek rozwojowy włącza w ciągłość przemian człowieka, jego dojrzewania stopniowego, raz szybszego, kiedy indziej wolniejszego niezależnie od terminów i dat.

W przedśmiertnych swych pamiętnikach wspomina na nowo swój własny czas dorastania i stawania się człowiekiem. Zbieżność tych wspomnień osobistych z odnośnymi ustępami „Dziecka salonu“ i z nowelą pt. „Pamiętnik motyla“ — pozwala nam i te dwa utwory uważać za źródła autobiograficzne do życiorysu Korczaka.

Autentyczny pamiętnik starego człowieka i materiał pamiętnikowy uczniaka, interpretowany później literacko przez dorosłego pisarza, mówią nam o tych samych zdarzeniach, o tych samych uczuciach i stanach ducha w sposób bardzo podobny. Opierają się raz na faktach dopiero co przeżytych, kiedy indziej zapamiętanych przez wiele lat.

I dają jednak wbrew teoriom pewne ramy młodzieckiemu życiu. Są to przede wszystkim przełomowe terminy lat. W wieku lat czternastu bohater: „Spowiedzi motyla“ stwierdza dumnie: — „mam lat czternaście. „Cogito, ergo sum“. Sześćdziesięcioletni Korczak wspomni-

na te same czternaście lat: „Rozglądam się, dostrzegam, widzę...”

W wieku lat piętnastu uczeń ze „Spowiedzi motyla” notuje: „Czytam, czytam, czytam. Jedną książkę kończę, drugą zaczynam, pożyczam, zamieniam...” Korczak w roku 1942 znowu wspomina: „Mając lat piętnaście wpadłem w szaleństwo, w furję czytania. Świat znikł przed oczu, tylko książka istniała”.

Takie są więc te lata: czternaście, piętnaście, szesnaście... Trzy kolejne klasy gimnazjum, dom rodzinny jako tło. W ramach ich przymusów, w skrupulatnym planie dni szkolnych i swobodzie dni wakacyjnych mieści się całe bogactwo dojrzewania, pojmowania, rośnięcia, burzy się i mnoży ogromna treść myśli i pragnień.

Korczak zgodnie ze swymi zasadami jest rewelacyjnie szczery we własnych zwierzeniach. Wszelkie tajemnice fizjologiczne dojrzewającego organizmu, naiwności myślowe, bunty i zgryzoty, prymitywne a śmiałe porywy ducha, zachwyty i rozpacz — oddaje wiernie, skorygowane jedynie umiarem i intuicją artysty.

Ten mozolny czas pokwitania i rośnięcia, wyczerpujące konflikty z własnym ciałem, z własnym umysłem a równocześnie z wielkim i niezrozumiałym światem — to zarys przyszłego życia a jednocześnie ogromne bogactwo na dziś. Jest w nich wszystko: „A więc siła i poczucie niemocy, poryw i niepewność, szalona, na nic niepomna odwaga i dziecięca obawa, więc bezprzykładna buta i korne poddanie się, więc radość niemal obłąkana i łzawa tęsknota, bezgraniczna ufność i nieufność pełna obłądnego lęku. Więc wiara i niewiara, miłość i nienawiść, tyle uczuć, ile obrazów we wszechświecie”.

Młodziutki Henryk Goldszmit sądząc z tych zapisek i wspomnień musiał być niezwykle indywidualnością.

Tak bardzo chciał, marzył i cierpiał już jako małe dziecko, wszystkie te dyspozycje i skłonności spotęgowały się wraz z latami. Przyszły nowe podniety. „Brzydkie zagadki, złe tajemnice ukryte pod pojęciami: śmierć, zwierzę, kobieta, Bóg, rozum, pieniądze“, poczęły rozstrajać pozorną harmonię świata, kazały cierpieć, pytać, buntować się, pisać...

Niezależnie od typowych kłopotów z lekcjami, scysji z kolegami i profesorami, awantur domowych, podnieceń, wyładowań, wstęptów i snów — towarzyszących rozwojowi organizmu, owych dziecinnych jeszcze walk ze sobą, ze swymi wadami i pragnieniami — wyróżnić możemy to, co stanowiło charakterystyczne właściwości Henryka Goldszmita.

Na plan pierwszy wysuwa się tu — miłość, tym bardziej godna uwagi, że tak zatajona i nieistotna w przebiegu dojrzałego życia Korczaka. Tutaj na przelomie dzieciństwa i młodości jest ona silna, bogata w sentymentalną treść, różnorodna, oryginalna.

„Od siedmiu do czternastu lat byłem zakochany raz po raz w innej dziewczynce. Ciekawe, że wiele z nich pamiętam: dwie siostry ze ślizgawki, kuzynka Stacha (dzia- dek Włoch), ta w żałobie. Zosia Kalhorn, Anielcia, Irenka z Nałęczowa, Stefcia, dla której zrywałem kwiatki z klombu koło fontanny w Ogrodzie Saskim. Ta mała linoskoczka, oplakiwałem jej ciężką dolę. Kochałem tydzień, miesiąc, czasem po dwa, trzy. Jedną chciałbym mieć za siostrę, drugą za żonę, siostrę żony. Miłość do Mani od czternastego roku życia (w Wawrze, w lecie)...“ (Pamiętnik).

Gromada tych adorowanych dziewczynek wyszła potem z granic życia małego, sentymentalnego i nieśmiałego gimnazysty, aby zaludnić sobą karty książek Janusza Korczaka. Spotykamy je tam wszystkie, blade dziewczynki

w żałobie i małe modystki mijane po drodze do szkoły, biedną linoskoczkę narażoną na niebezpieczeństwo, Anielkę, która wyszła potem za mąż za aptekarza aż gdzieś w dalekiej Rosji.

One to spowodowały tę głęboką pełną zrozumienia czułość, jaką Korczak obdarzał wczesną miłość dziecięcą, tak źle rozumianą i tak wyśmianą i pohańbioną, a godną w istocie najwyższej dyskrecji i szacunku.

Inną cechą tej wczesnej epoki życia była u Korczaka współrzędność zainteresowań przyrodniczych, naukowych związanych z nastrojem epoki i spontanicznych umiłowań literackich.

Szał czytania, który przyszedł w wieku lat piętnastu był pożywką i podniecią. Młody bohater „Dziecka salonu“ „miał pod gramatyką polską powieść, na policzkach rumieniec, w oczach iskry lub łzy, a w duszy burzę zapału, obawę, ból i wyrzuty sumienia“...

Literatura Korczaka daje wyczerpującą odpowiedź na to co czytał w ostatnim dziesiątku ubiegłego wieku taki egzaltowany, wybujały literacko chłopak.

„Pisałem listy do pisarzy: „Do Belmonta: — Panie, czytałem twoje arcydzieło. „W wieku nerwowym“: — Boże, jakie to arcydzieło!“ Do Jeske-Choińskiego: — Pan taki wielki. Ale przecież „Tłumione iskry“ to potężne dzieło. Och, jak pan zna duszę ludzką“.

Lektura jest dokumentem czasu i cenzurą na stopień artystycznego uświadomienia. Chaos grafomaństwa i najcenniejszych podniet dopiero z biegiem lat wyłoni z siebie sprecyzowane poglądy na artyzm dzieła literackiego. Na razie panuje tu jeszcze przemieszanie wartości, naiwne, pozbawione sądu: Mickiewicz, Żuławski, Laskowski, Gawalewicz i Żeromski, Tołstoj i Rodziewiczówna, Bałucki, Świętochowski, Andersen i Przybyszewski, Nowaczyński

i Klementyna z Tańskich Hoffmanowa... Z czasem w tę fantastyczną mieszaninę zacznie się wkładać ambitna próba selekcji.

„Trzeba się zająć historią literatury. Dante, Szyl-ler, Szekspir“ — zamarzy młodociany konsument książek. — „Kształcić umysł póki czas...“.

Poczucie humoru Korczaka-pisarza pozostawiło te spisy autorów i te zapowiedzi bez komentarza. Bez komentarza obyć się mogą również własne pomysły literackie i tematy pierwszych nowelek, znaczące wstępne etapy na-
iwniej i egzaltowanej twórczości.

Przykładem może tu być opowiadanie Bronka pt. „Młodość“ z „Dziecka salonu“, tytuły i treść wierszy ze „Spowiedzi motyla“:

„Kocham Cię nie dla blasku ócz i hebanu włosów,
lecz dla umysłu i serca.

Czemu płaczesz dziecię?

Śmierć na szpitalnym łożu.

Nemezys.

Nostalgia.“

I znowu Korczak-humorysta stawia obok tych łzawych projektów na poetę krótkie stwierdzenie: „Odpowiedź na mój fragment: Drukowane nie będzie. Dla nich zranić serce poety to nic.“

Z tych czasów datuje się prawdopodobnie wizyta u Aleksandra Świętochowskiego, o której opowiadał Korczak swemu przyjacielowi Igorowi Abramowowi-Neverly. Młodziutki uczeń, zażenowany własną śmiałością przeczytał drżącym głosem imponującemu redaktorowi swój poemat.

„Ach, pozwól umrzeć,

Ach, pozwól nie żyć,

Ach, pozwól w ciemny zejść mi grób“.

„Pozwalam...“ odpowiedział ponuro Świętochowski.

Efekt był druzgocący. Korczak nie napisał już odtąd ani jednego wiersza w życiu.

Tematyka tych naiwnych pierwszych utworów dojrzewającego chłopca jest znamienne. Miłość i przyjaźń występują w niej równie silnie, jak i uczuciowo a zarazem krytyczny stosunek do Boga.

W pamiętniku stwierdza Korczak, że czternasty rok życia przyniósł mu dojrzałość religijną. „Dziecko salonu“ i „Spowiedź motyla“ dają ilustrację tej dojrzałości w naiwnych i emfaticznych wyznaniach oraz zwrotach do Boga, dysputach z Nim i modlitwach.

I to jest czynnik bardzo charakterystyczny w rozwoju młodego Goldszmita.

Ten chłopiec chłonny, twórczy i oryginalny wychował się bowiem, trzeba to pamiętać, poza zasięgiem wpływów religijnych. Zasymilowany, wolnomyślny dom wypełnił tylko kratkę w rubryce wyznania, nie poparł jej natomiast ani tradycją, ani jakąkolwiek formą kultu. A jednak w tym cichym egzaltowanym chłopcu burzyły się bez współudziału czynników zewnętrznych jakieś potrzeby i wątpliwości, którym musiał dawać ujście żarliwe, liryczne, dalekie od dogmatycznej martwoty.

Są w tych zapiskach także zadatki tego wszystkiego, co będzie potem realizować i uszlachetniać dalsza praca Korczaka.

„Zreformować świat, to znaczy zreformować wychowanie“ stwierdza ten niezwykły szóstoklasista, marząc o tym, by napisać wielkie dzieło pt. „Dziecko“.

Tak więc z chaosu namiętności i zwątpień wyłaniać się poczyna oblicze człowieka. Dziecinna, nie zrównoważona miłość, twórczość, wiara dochodzą do bardziej sprecyzowanych form.

Na przełomie młodości daleki spacer wzdłuż torów uświadamia wyrostkowi w szczerzej rozmowie z przyjacielem istotną treść życia: „Mówiliśmy o muzyce i poezji, o doli i niedoli ludzi, o walce ze złem, o braterstwie ludów, miłości bliźniego, o dniu jutrzejszym ludzkości“.

W pamiętnikach przedśmiertnych ujmuje Korczak ten młodzieńczy przełom mniej sloganowo i prościej. Powiada:

„Ciekawy świat nie był już poza mną. Teraz jest we mnie. Jestem nie po to, by mnie kochali i podziwiali, ale po to, bym działał i kochał. Nie obowiązkiem otoczenia pomagać mnie, ale ja mam obowiązek troszczenia się o świat, o człowieka“.

I taki był właśnie w jego życiu początek młodości.

LEKARSTWA NA ROZPACZ

W „Dziecku salonu“ egzaltowany, chory chłopiec: Broniek „tworzy“ nowelę pod tytułem: „Młodość“. Nowela jest bardzo źle napisana, pełna patosu i przesady, jęków, zgrzytów i przekleństw:

„Mówicie, szczęśliwa młodość!!! — jęczy zbuntowany, niezrozumiany chłopiec. — Co za burza, orkan, bestie wewnętrzne“.

Nie chodzi o to, że nowela jest zła. Istotna i znamienna jest ta ponura burza przeżyć.

„Gdyby to kto przeczytał, myślałby, że jestem obłąkany. A może młodość jest naprawdę obłądem?“ — zastanawia się bohater: „Spowiedzi motyla“. A Korczak dojrzały, Korczak już na granicy starości mówi w jednej z audycji radiowych: „Wyrwałem się z młodości, jak z domu wariatów“.

Ekspozycja młodości zawarta w zwierzeniach wieku dojrzewania pokazała nam bogactwa wątków, siłę uczuciowej egzaltacji.

Pierwsza młodość przyszła nie tylko z uświadomieniem sobie szczytnych celów i idei, ale także z rozterką, upadkiem ducha, myślami samobójczymi.

Obciążenie dziedziczne i nastrój epoki zrobiły swoje. Henryk Goldszmit nie byłby dzieckiem swego ojca i swego czasu, gdyby nie uległ infekcji panujących nastrojów i nie zawahał się na granicy nihilizmu.

„Mając 17 lat zacząłem nawet pisać powieść pt. „Samobójstwo“. Bohater znienawidził życie w obawie obłądzenia. Bałem się panicznie szpitala wariatów, do którego ojciec mój był parokrotnie kierowany. A więc ja — syn obłąkanego, a więc dziedzicznie obciążony“ (Pamiętnik).

Tak się właśnie kształtował pod sugestią zgubnej dziedziczności, w fermentie rozigranych nerwów, w trujących i rozkładowych wyziewach fin de siècle'u, nastrój negacji, zwątpienia, tak mocny w swym destrukcyjnym nasileniu.

„Chcę zrobić to, co ten z „Nory“ Ibsena“ krzyczy Bronnek w rozpacz. A obok i Janek z „Dziecka salonu“ chwytła rewolwer i przykłada do skroni.

Okres przełomu XIX-go i XX-go wieku to czas psychozy samobójczej. Depresja i bunt uśmierca w tym czasie szereg najbardziej wrażliwych jednostek zarówno w środowiskach inteligenckich, burżuazyjnych, jak artystycznych.

Młodzież, zwątpiwszy we własne siły, popełnia często samobójstwa w pasji buntowniczej, z młodzieńczej fantazji, w psychozie samoudręki, w paroksyzmach nudy. Zawiedziona w nadziejach protestuje w ten sposób przeciw realnym i znienawidzonym prawom życia.

„Dusze ziewały“, zmysły podniecały się alkoholem i rozpustą, wybujały indywidualizm pozwalał szaleć uczuciom i instynktom.

„Halucynacje“ i „Pamiętnik włóczęgi“ L. S. Licińskiego — ówczesnego przyjaciela Korczaka, przewodnika i towarzysza jego tragicznych wykolejeń i nocnych wędrówek na granicy śmierci i obłądzenia — dają nam sugestywny obraz tamtych nastrojów. Te opowiadania świadczą nie tylko o stanie nerwów i zdeformowanej wyobraźni młodego autora, ale i o ohydzie świata nędzy i poniżenia, fałszu i zbrodni widzianych w oparach wódki, w trującym czadzie pesymizmu.

Spelunki staromiejskie, knajpy nożowników, morderstwa i gwałty, gnijąca i cuchnąca nędza i podłość — to świat, który swą ponurą wizją, swym ohydny bezsensurzeką i wykoleja młodych ludzi, wytrąca ich z ram mieszczańskiego konwenansu i kompromisu.

Wobec hipokryzji warstw posiadających, zakłamania ideowego i rozkładu moralnego ta jawna zbrodnia i jawne kłamstwo wydaje się przez instynkt przekory bardziej pociągające dla rozigranej fantazji młodych buntowników, schizofreników i alkoholików. „Dziecko salonu“ Korczaka jest miejscami bliźniaczo podobne do widmowych urojeń i księżycowych pejzaży Licińskiego.

Nie darmo pociągnięty przez jego destrukcyjną siłę — porzucił on spokojny, schludny dom matki, pełen ciepła i uczucia, aby w świetle krzywych gazowych latarni włóczyć się po szynkach nożowców, sutenerów i złodziei, i oglądać wszelkie najniższe objawy ludzkiego upodlenia i poniżenia.

Dwie bliźniacze wizje tych samych scen zespoliły się raz w jedną postać. Janusz z „Dziecka salonu“ wszedł na karty noweli Licińskiego „Dziwne rzeczy“. Autor „Halucynacji“ opowiada, jak to Janusz nocą podczas morderczej bójki dwóch bandytów rzucił się między noże i nagłym pocałunkiem zadziwił i rozdzielił walczących. Miał w sobie wówczas coś z apostoła i ze świętego.

Nie wiem jak dalece prawdziwa może być ta scena, czy nie stworzyła jej egzaltowana wyobraźnia przyjaciela-fantasty. Zarówno Liciński, jak i trzeci przyjaciel i towarzysz Korczaka — Leon Rygier — uwielbiali w nim siłę i czystość uczuć.

Prawdą jest także to, że Janusz Korczak, przyszły reformator i ofiarnik, nie otrzymał na dnie nędzy warszawskiej i własnego wykolejenia owego morderczego ciosu

w serce, który poraził tak wcześnie Licińskiego. Gdy tamten umilkł zabity przez gruźlicę, nie wyszedłszy poza krąg zgryzot i obsesji — Korczak, musnąwszy pocałunkiem zapitą bandycką twarz, dokonał tym spontanicznym gestem jakiegoś aktu wyzwolenia.

Dekadencka i chwilami bezpłodna negacja, moralny upadek słabego i wykolejonego człowieka opowiedziane były na kartach „Dziecka salonu“, z uśmiechem ironii, a miały i w życiu, i w powieści Korczaka jeszcze inne uboczne motywy. Janek z „Dziecka salonu“ nie tylko drażni, upija się i złorzeczy. On także całkiem realnie zamieszkuje izbę dorożkarza Grosika na Solcu i uczy z poetyckim polotem proletariackie dzieciaki — gramatyki.

Jeżeli w perspektywie całego późniejszego życia Korczaka zastanawiamy się, dlaczego ten chłopiec wątki i nerwowowy, obciążony dziedzicznie, łączący przeczuloną fantazję i wrażliwość z wybuchowym, niezdolnym do kompromisów temperamentem, a zarazem zewnętrzną nieśmiałością, nie uległ chorobie epoki, nie załamał się psychicznie, nie zdemoralizował i nie zginął jak tylu innych — to odpowiedź znaleźć możemy tylko w bogactwie duchowych źródeł i w rygorze przymusów moralnych.

Wyjście poza granice domu i środowiska, przedstawione jako bezcelowa ucieczka zdemoralizowanego synka burżuazji, nie było nowelą jego własnego życia.

Sam, osierocony i zubożały, wcześniej musiał ponosić odważną odpowiedzialność za matkę, za siostrę, za siebie. Osiem lat uciążliwej korepetytorki, dni pracy ostro kratkowane terminami godzin, głodne lata studiów uniwersyteckich odbytych najintensywniej i w najkrótszym czasie, służba wojskowa w 21 roku życia — to były rzeczywiste ramy, trzymające w obroży obowiązków i przymusów rozigrane nerwy i uczucia. Bieganie po piętach i suterynach

w poszukiwaniu lekcji, na lekcje i z lekcji, nocne i ranne kucie anatomii i receptury, osobiste pasje naukowe i zamięłowania pedagogiczne, niezwykła pracowitość mająca się wrodzonego instynktu, miłość synowska, ofiarna i pełna względów — to wszystko były silne odtrutki na zaraźliwą i destrukcyjną psychozę desperackich nastrojów.

Pomagał im także inny odrębny rodzaj widzenia i reagowania. Mimo młodzieńczego pesymizmu, neurastenicznych depresji właściwych jego latom i jego epoce — Korczak posiadał czujny, realistyczny zmysł obserwacyjny i niezwykle poczucie humoru. One to przemieniały widma i zmyły w żywych, rubasznym czy brutalnym ludzi. Sarkastyczny chichot upiórów i tragiczny śmiech błazna, który w cyrku śmieje się i płacze nad bankructwem ludzkich ambicji, charakterystyczne dla nowel z cyklu „Koszalki opałki“ — pierwszych utworów Korczaka — zmieniają się z czasem w uśmiech pełen mądrości i zrozumienia.

Nawet w modnej naówczas, pełnej westchnień i wykrzykników, młodopolskiej przesadzie tkwi już impuls i możliwość widzenia życia i charakteru ludzkiego w jego żywej i prostej prawdzie. Bohater „Dziecka salonu“ zapomina o swych cierpieniach i zwątpieniach w zaduchu izby proletariackiej, wobec codziennego dnia ludzkiego — jego powszednich radości i trudów.

Może, gdyby nie ferment buntu, krytyki, gdyby nie ta atmosfera uśmiechów przez łzy, nie urodziłby się z brutalności życia i chaosu cierpień artyzmu Korczaka.

Tym stwierdzeniem odsłaniamy jeszcze trzecią deskę ratunku — żywiołowy, samorodny talent.

Henryk Goldszmit zaczyna pisać. Szalona powieść pisana wspólnie z dwoma przyjaciółmi, humoreski drukowane w „Kolcach“, ironia i gryząca satyra „Koszalek-opalek“, dramat pt. „Którędy“ w 4 aktach wyróżniony

w r. 1899 na konkursie im. Paderewskiego, to pierwszy etap... „Dziecko salonu“ jest również powieścią humorystyczną. Potrafi w satyryczne skrótory ująć zarówno nastrój epoki jak obraz proletariackiego środowiska — atmosferę salonowo burżuazyjną i egzaltację młodzieńczą. Umie także zasilić sarkazm tych kolejnych obrazów krwią i łzami istotnego cierpienia.

Nic dziwnego, że przy takim nasileniu buntu i rozpaczony najmocniej zagrała w tej literaturze nuta społeczna. Poza tematem, ideą, wpływem epoki reguluje ją głęboka uczuciowość.

Korczak koryguje surowo przesadne tendencje modnego stylu. Skreśla całe ustępy pierwszej wersji „Dziecka salonu“. Stara się nie wzruszać w słowach, nie przesadzać, nie unosić. Spokojnie notuje swe obserwacje i uwagi z życia proletariatu. A jednak najgłębszym maskowanym wzruszeniem nasyca każdą opowieść o dziecku.

Szeregi zbiedzonych, bezradnych postaci, bitych i szturchanych przez rodziców, pędzonych i przeklinanych przez obcych przesuwają się przez karty jego książek...

Na podwórkach Powiśla, na poddaszach i w suterynach robotniczych ruder jest tak wiele dzieci — nie „milusińskich“. Nerwowy, zmęczony student, biegający od rana do wieczora na lekcje i wykłady napotyka je wszędzie na swej drodze wśród codziennej pracy i w rzadkich chwilach wytchnienia. Są to mali chłopcy, którym udzielał korepetycji i wbijał w tępe nieraz mózgi nudne zasady pisowni lub reguły trzech. Chore dzieci w szpitalu, załężnione i pełne zahamowań. Nadmiernie utrudzone opieką dzieci salonu i głodne skrofuliczne dzieci ulicy.

Dopiero w zetknięciu z nimi wyzwala się w młodym studencie całe bogactwo jego duszy, czułość i poczucie humoru, ustępuje zgryzota i rozpacz. Sama najczystsza esen-

cja poetyczności objawia się w tych nieporównanych zeknięciach.

Wśród wielu codziennych uczniów na codziennych lekcjach, na tyłu piętrach warszawskich kamienic, są dzieci pełne polotu i inteligencji, dzieci mądrych liberalnych rodziców. Im nie musi się wbijać przemocą w głowę arytmetyki i gramatycznych reguł. Z nimi można usiąść poufnie pod stołem albo na stole i roić o wielkich bohaterach ludzkości i mówić najpiękniejsze wiersze poetów. W Czytelniach Towarzystwa Dobroczyńności są chłoini, pełni fantazji chłopcy. Jakaż to rozkosz wydawać im książki; w wolnych chwilach doradzać, trafiać tą drogą do ich umysłów, pobudzać i kształcić. Na podwórku domu, w którym się mieszka, jest gromada dzieciaków starszych i młodszych. W święto można je wszystkie zapraszać do siebie, częstować cukierkami, opowiadać im bajki, pokazywać obrazki, uczyć liter i rachunków, tych, którzy nie chodzą do szkoły.

Ten młody pan ze złotawą bródką i jasnymi, dobrymi oczyma jest trochę dziwny, czasem smutny, czasem śmieszny i wesoły, tak jak gdyby sam był jeszcze dzieckiem. Dorośli mówią o nim: student. Ubrany jest w niebieski mundur uniwersytecki ze srebrnym kołnierzem i uśmiecha się tak ślicznie i tak świetnie umie żartować... Z czasem urasta na podwórkach i w dziecinnych pokojach w legendę.

Oto jest popołudnie świąteczne. Z ciemności wybiega jasny ostrosłup światła, dzieci wzdychają i sapią z przejęcia. To on, student w niebieskim mundurze, zręczny i tajemniczy jak czarodziej, żongluje kolorowymi szkiełkami i rzuca na ekran zmienne obrazy. A wszystko co robi i co mówi jest jak najprawdziwsza baśń Andersena.

Potem bywa i smutny dzień powszedni. W szpitaliku na łóżku chorego dziecka siada znowu on — „student“. Gła-

szcze rozpaloną małą rękę, gładzi włosy, czasem przynosi duże smaczne ciastko z kremem, a czasem tylko opowiada do snu piękną, długą bajkę.

I kiedy tak patrzy schylony na małe, bezbronne usta, na włoski sklezione gorączką, myśli sobie może, że w tej jego niezrozumiałej głębokiej czułości do dziecka można wyzwolić i twórczość, i miłość, że w niej jest prawdziwa obrona przed śmiercią, zwątpieniem i obłędem.

BUNT

„Młodość, jeżeli nie drwi, nie wyklina, nie pogardza, zawsze pragnie zmienić wadliwą przeszłość“ pisał Korczak.

I jego własna młodość jest pod tym względem bardzo typowa.

Jak każdy neurastenik w chwilach depresji stwierdzał wprawdzie u siebie Korczak brak bliskiego związku z życiem, które płynęło obok niego, poczucie zbędności i oddalenia od spraw ludzkiej zbiorowości. Ale jeżeli kiedy, to właśnie w epoce swej młodości, rewolucyjnej i pełnej reformatorskiego zapału, zaprzeczał prawdzie tych depresyjnych nastrojów...

Buntownicze lewicowe nastawienie wynika zarówno z ducha epoki, jak i z jego własnego usposobienia.

W pamiętniku pisze o sobie Korczak: „Zawsze tam, gdzie łatwo o sińce i guzy, szczenięciami byłem, gdy pierwsza rewolta i pukanina. Były noce bezsenne i tyle kozy, ile trzeba młodziakowi pokazać, by z gruba bodaj utemperować“.

Dziecinnie wygląda ta wojownicza skłonność przetłumaczona na wymowę chwili i młodzieńczego wieku. Swą ideologię, formułuje uczeń ze „Spowiedzi motyla“ z naiwną powagą:

„Ustrój kapitalistyczny musi runąć, tylko nie wiem w jaki sposób...“

Rok 21 życia — dojrzałość — to już lata tysiąc dziewięćsetne... „Było mi ciasno już dawno, wtedy więziła mnie szkoła. Teraz jest mi ciasno w ogóle. Chcę zdobywać, walczyć o nowe przestrzenie“.

Korczak nie jest frazeologiem społecznym mimo skłonności literackich. Walki swej nie rozumie przez pięknie brzmiące hasła, ale tłumaczy ją na trudne zagadnienia socjologiczne i wychowawcze.

Wybiera sobie drogę rzetelną i poważną. Niezależnie od swych studiów medycznych i doraźnych zatrudnień pedagogicznych praktykuje jako publicysta w lewicowym „Głosie“ redagowanym przez J. Wł. Dawida. Jego cotygodniowy przegląd prasy prowincjonalnej pt. „Na widnokręgach“, to skrót i komentarz tragicznej i tępej codzienności. Píše z tygodnia na tydzień ciągle o tych samych zgrzyotach, objawach zacofania i projektach reform. Świadczy to o tym, jak mocno, jak głęboko wiązał się młody działacz z życiem.

Teoria wynikała tu z praktyki bezpośrednio, kwestia urlopów, ubezpieczeń chorobowych, praw robotniczych i ochrony kobiet, serwitutów, parcelacji, kas pogrzebowych, pomocy lekarskiej, strajków, poznawane były do gruntu. Towarzystwo rolnicze, kooperacja, reformy oświatowe — były to najważniejsze zagadnienia dnia...

Dużą rolę w życiu Korczaka odegrało zetknięcie osobiste z Ludwikiem Krzywickim na terenie jednej celi więziennej. Krzywicki pracował naukowo przez cały czas uwięzienia. Przedmiot badań był Korczakowi obcy, za imponowała mu pasja i pracowitość uczonego. Potem po latach, siedząc w więzieniu w getcie wspominał ten piękny przykład i starał się na nim wzorować, studiując i pisząc.

Artykuły czołowych publicystów lewicowych epoki:

Brzozowskiego, Świętochowskiego, Nałkowskiego, Dawida, Krzywickiego były lekturą kształtującą światopogląd.

Wspierała je programowa obserwacja. W tym czasie młody student porzucał często dom matki, aby poznać w codziennym współżyciu nędzę proletariatu. Toteż w rezultacie nie z legendy, ale z własnych doświadczeń, przyjaźni i walki zna rany i wrzody życia, które trzeba leczyć.

Z najgłębszego, krwawego przekonania krzyczy w pasji do niesumiennego lekarza w bezpłatnej przychodni:

„Ja żądam, by lekarz, który decyduje się w naszych warunkach praktykować, był bardzo pokorny, kiedy widzi bezpłatnego pacjenta, bo ten bezpłatny chory w osiemdziesięciu wypadkach na sto, jest ofiarą kamienicznika, fabrykanta „kapitalisty“. („Dziecko salonu“).

„Okrutnie śmieszna“ historia w „Koszałkach-opałkach“ o tym, jak pewien właściciel kamienicy chcąc kształcić syna i wydać za mąż córkę — na dodatkowe koszty podwyższył komorne w swej kamienicy, i o łańcuchu krzywd, cierpień, niesprawiedliwości, nędzy, występków wynikających z tego prostego faktu, jest arcydziełem i świadczy jak gorzko i skrupulatnie młody pisarz obserwował życie.

Krytyka burżuazyjnego wychowania, głupoty, snobizmu i przesądów rodziców idzie bezpośrednio po gryzącej satyrze na obyczaje i stosunki społeczne. Bo dziecko wysuwa się powoli na plan pierwszy zainteresowań. Korczak poczyna rozumieć, że „zreformować świat, to znaczy zreformować wychowanie“.

Toteż na szczytowym punkcie wzburzenia rewolucyjnego właśnie w okresie walk politycznych 1905 roku następuje zarówno w całym życiu Korczaka, jak i w jego lewicowych poglądach, jakieś decydujące przesunięcie. Ciężar zagadnień z ogólnego pola działania przesuwają się na

dziecko i wnosi na ten teren tę samą pasję i zaciekłość walki, które praktykował w rozgrywkach społecznych.

Wyzwolenie dziecka spod przemocy dorosłych uważa Korczak za następną fazę rozwoju ludzkości po wyzwoleniu i równouprawnieniu chłopca i robotnika, Murzyna, Żyda i kobiety. Satyrą, wzruszającą opowieścią, teorią zaczyna bronić to dziecko przed głupim i tępym nauczycielem, szkołą, ambicjami i okrucieństwem rodziców.

Tłumaczy to Maciusiowi-Reformatorowi — smutny król, jego przyjaciel:

„Kobieta wyzwoliła się w naszych oczach“ — stwierdza Korczak. A dziecko jest jeszcze wciąż niewolnikiem, przedmiotem niewoli i pańszczyzny. Nad jego istnieniem ciąży ten sam egoizm męski, który nie widział pracownika w kobiecie. Duchem jego wychowania rządzi gwizdek fabryczny i koszarowy.“

Korczak, młody gwałtowny, rozpoczyna więc walkę o prawa dziecka do szacunku i wolności. W ogniu swych przekonań czyni to namiętnie i niesprawiedliwie. W fantazji i książkach dzieli ludzkość na dwa obce i wrogo zwrócone ku sobie światy pokoleń, tak jakby nie łączyły ich miłość i wspólnota krwi. Chce obalić tradycyjne formy przewagi, brutalności, schematycznego rygoru, zapory nieporozumień dzielących obóz dzieci i dorosłych.

Potem z biegiem lat ten wojowniczy afekt ucisza się i równoważy. Korczak zamiast protestować zaczyna przekonywać słowem i czynem:

„Przecież to największe szczęście żyć, pracować, walczyć, żeby lepiej było na świecie“ — mówi Król Maciuś.

„Czy partie polityczne w miarę jak uzyskują wpływ na bieg spraw publicznych nie zamieniają zamków na lodzie na razowiec realnych zdobyczy“. Ale Korczak coraz

mniej bojowy w miarę osiągnięcia wpływów dalej prowadził swą ideę — roli dziecka w dziejach ludzkości.

Miał zamiar napisać dzieje świata widziane z perspektywy dzieciennego pokoju, pod kątem sprawy dziecka, przemilczanej przez oficjalną historię. Dziecko wychodziło z ukrycia, na szerszą arenę dziejów tylko w rzadkich momentach krucjaty dziecięcej, czy strajków szkolnych, a przecież w cieniu, niewidziane współdziałało w dziejach świata.

I żadna przewalczona przez postępową niewola pariasów, niewolników i chłopów pańszczyźnianych nie dorówna poniżeniu dziecka bitego przez rodziców bezkarnie, bo żadne prawo i żaden kodeks nie ujmie się za nim. Dzieci to najdawniejszy proletariatus świata. O ich prześladowaniach świadczy ofiara Izaaka, Hagar z Ismaelem, mord betlejemski. Dopiero Chrystus-reformator powiedział: „Pozwólcie dzieciom przyjść do mnie“.

Korczak rewolucjonista przekształca się szybko w reformatora. Z areny publicznej przenosi walkę na teren szpitala i sierocińca. Przedmiotem jego troski jest zawsze i głównie dziecko proletariatus. I dlatego twórcza, wytężona jego działalność łączy się i jednoczy z wielką sprawą reform społecznych i postępu ludzkości. Na każdym etapie swej wieloletniej pracy i walki konfrontuje zatem zdobycze socjalne, nurt twórczej odmiany i marzy tak samo gorąco jak wtedy wśród namiętności rewolucyjnych 1905 roku:

„Może zjawi się cud, rycerz o stu głowach, o stu po sto rąk czarnych w guzach, garbach i bliznach od ciężkich narzędzi pracy i dla wszystkich i dla was lepsze jutro kupi.

Mroczny sen śni historia...“

LEKARZ

„Czytelniku-doktorze. Gdyby mama twoja była w swoim czasie pierwszą naiwną na scenie „Rozmaitości“, czy nie skakałbyś teraz w balecie zamiast opukiwać brzuchy, nie śpiewał: „Szumią jodły“, zamiast zapisywać: oleum ricini?...“ pytał Korczak w swych Koszałkach-opałkach, stwierdzając, że zawód często bywa wynikiem okoliczności i środowiska, a nie powołania.

I dowodził dalej: „Rodzice, jeżeli wasz Janek od lat najmłodszych nie będzie leczył much, rybek złotych, kotów, jeżeli nie będzie krajał swoich majteczek, karaluchów i książek, jeżeli ani razu nie zatruje grzybami, wilczymi jagodami lub innym specjałem swego młodszego rodzeństwa, nie pchajcie go na medycynę...“

Jak było we własnym wypadku Henryka Goldszmita? Okoliczności czy powołanie? Chyba po trosze jedno i drugie. Medycyna? Ma się rozumieć. Ten wybór zawodu był do przewidzenia.

Już naczelnym marzeniem czternastolatka było: zostać lekarzem w małym miasteczku. „I tak nie będę literatem, tylko lekarzem. Literatura to słowa, a medycyna to czyny“ odgrażał się dotknięty do żywego szóstoklasista, gdy mu nie przyjęli nowelki w redakcji.

Wrodzone zamiłowania skłaniały do gruntownych studiów, nie sprzyjały dyletantyzmowi. Pozytywizm **zaszczepił** już tak wcześniej i głęboko kult ścisłej wiedzy, że nie

zdołały zburzyć tych podstaw późniejsze wstrząsy krytycyzmu, negacji, rozpaczy.

Nie trzeba przy tym zapominać, że w sytuacji życiowej Henryka Goldszmita, przy jego ciężkich obowiązkach, w mieszczańskiej epoce, w której wzrastał, rozsądek mógł zaproponować tylko taką drogę. Zawód literata był zbyt ryzykowny, dziennikarstwo nie dawało gwarancji utrzymania się, nauczycielstwo w ogóle nie wchodziło w rachubę. Kariera lekarza wypełniała w pewnym sensie aspiracje społeczne, zadośćczyniła potrzebom sentymentu, a jednak mogła dać stanowisko i chleb.

Medycynę ukończył Henryk Goldszmit na Uniwersytecie Warszawskim. Dość szybko uporał się ze studiami i egzaminami, pracując przecież poza tym społecznie, literacko i zarobkowo.

Studia w Warszawie uzupełnił następnie dwukrotnym pobytem za granicą, dokąd jeździł wedle własnych słów „po światło, po wiedzę”. Rok cały spędził w Niemczech, a następnie pół roku niespełna w Paryżu. Był wtedy w najcięższych warunkach materialnych. Nieraz wspominał potem, że dwie szklanki mleka i kromka chleba stanowiły jego całe pożywienie dzienne. I gorzko ważąc rezultaty swej kariery medycznej — stwierdzał z bólem, że przecież nie po to „szwendał się niegdyś o głodnym pysku po klinikach trzech stolic Europy”. „Szwendał” się jednak, i to uparcie...

W książce „Jak kochać dziecko” pisze:

„Berliński szpital i niemiecka literatura lekarska nauczyły mnie myśleć o tym, co wiemy i powoli, systematycznie posuwać się naprzód. Paryż nauczył mnie myśleć o tym, czego nie wiemy, a wiedzieć pragniemy, musimy, będziemy. Berlin to dzień roboczy, pełen drobnych trosk i zabiegów. Paryż to święto jutra z jego olśniewającym przecuciem, potężną nadzieją i nieoczekiwanym trium-

fem. Siłę chcenia, ból niewiedzy, rozkosz poszukiwań dał mi Paryż. Technikę uproszczeń, wynalazczość drobiazgów, ład szczegółów wyniosłem z Berlina“.

„Wielka synteza dziecka — oto co mi się śniło, gdy w bibliotece paryskiej czytałem z rumieńcem wzruszenia dawne dzieła francuskich klasyków-klinicyстів“.

Wielokrotnie w praktyce lekarskiej i wychowawczej wspominać będzie Korczak nazwiska swych profesorów. Jeszcze w getcie, w ostatnich tygodniach życia powoła się na autorytet Marfan'a, Hutinel'a, Bagińskiego z Berlina. Na kartach swych książek wspomina podręczniki czasów studenckich: „Atlas anatomiczny“ Holzmana i „Anatomie patologiczną“ dr. Przewońskiego, cytuje wielkie nazwiska i teorie Virchova czy Charcota.

Jeden z tych jego profesorów, zdaje się, że jeszcze w Warszawie, orzekł podobno na wstępie studiów, stukając palcem w wewnętrzną stronę dłoni: „Tu mi włosy wyrosną, jeśli Pan będzie lekarzem“.

Miał rację. Henryk Goldszmit był na pewno za bardzo humanistą i filozofem i dlatego wykraczał na każdym kroku poza ramy zakreślone kanonami wiedzy medycznej — swą fantazją, swą rozpaczą, swym protestem.

Już w czasie studiów obrał sobie młody lekarz specjalność: pediatrię. Około roku 1903 objął swą pierwszą posadę lekarską jako lekarz miejscowy szpitalika dziecięcego im. Baumanów i Bersonów na Śliskiej. Musiała być ona ważnym osiągnięciem materialnym i pierwszym etapem stabilizacji po latach wysiłków i biedy, jeżeli jeszcze w starości, tak obojętny przez całe swe życie na sprawy zarobkowe i warunki praktycznej egzystencji — wspomni Korczak dokładnie, jak przedstawiała się ona finansowo.

„Jako miejscowy otrzymywałem mieszkanie z dodatkami i 200 rubli rocznie w czterech ratach. Gospodarstwo

prowadziła poczciwa matula za 15 rubli. Z praktyki sto rubli miesięcznie, z pisania artykułów też jakieś grosze. Dużo wydawałem na dorożki.

— Na Złotą bierzecie dorożkę? Dwadzieścia kopiejek? Marnotrawca“. (Pamiętnik).

Młody lekarz, tak nagle wsławiony sarkazmem, oryginalnością, ostrym humorem swych literackich utworów, mógł wówczas pozwolić sobie na gest rozrzutności. Humoreski w „Kolcach“ i artykuły w „Głosie“, pierwsze książki pt. „Koszałki-opałki“ i „Dziecko salonu“, chłoseząc z taką pasją i goryczą mieszczańską, sytą i egoistyczną powszedniość, nie tylko oburzały, ale i podrażniały ciekawość. Pewne sfery Warszawy, przede wszystkim inteligencja i burżuazja, snobująca się na postępowość, zainteresowały się młodym obiecującym pediatrą i pisarzem. Pod pretekstem porady lekarskiej chciano go obejrzyć z bliska, porozmawiać... W rezultacie to zainteresowanie tłumaczyło się na wysokie stawki honorariów. „Za dzienne konsultacje u bogatych na bogatych ulicach kazałem sobie płacić po trzy i pięć rubli. Bezczelność — tyle ile Anders, więcej od Kramsztyka, Bączkiewicza — profesorskie honorarium. Ja — miejscowy lekarz, kopciuch, popychadło szpitala Bersonów“.

Dokładnie wspomina te czasy w „Pamiętniku“. „Taki gruby tom wspomnień“.

„Lekarze-Żydzi nie mieli chrześcijańskiej praktyki — tylko najwybitniejsi mieszkańcy pryncypalnych ulic. I ci nawet z dumą:

— Mam dziś wizytę u rewirowego — u restauratora, woźnego banku, nauczyciela progimnazjum na Nowolipkach, pocztmistrza. To było już coś. A do mnie telefony, jużci nie codzienne:

— Panie doktorze, pani hrabina Tarnowska prosi do

telefonu. Prokurator Izby Sądowej. Dyrektorka Tygajło. Mecenasi Makowski. Szyszkowski...

Na ogryzku kartki notuję adres.

— Czy nie można jutro? Po szpitalu o pierwszej. — Jaka temperatura? Można dać jajeczko.

Raz nawet było:

— Generałowa Gilczenko.

Cóż wobec tego: kapitan Hopper! Telefon po każdym stołeczku dziecka, czasem dwa razy.

Takie bywały wizyty autora „Dziecka salonu“, gdy Goldszmit szedł w nocy do suteryn na Śliską 52, na poddasze, Pańska 17“.

„Wezwali mnie raz Poznańscy do swego pałacyku w Alejach Ujazdowskich. Koniecznie dziś. Pacjenci niecierpliwą się.

— Trzy ruble — mówi znający całą Warszawę dr Julek (Kramsztyk). — Skąpi.

Idę.

— Pan doktor chwilę zaczeka. Poślę po chłopców.

— Wyszli?

— Niedaleko, bawią się w parku. Tymczasem wypijemy herbatę.

— Nie mam czasu czekać.

— Ale dr Julian zawsze... Co pan doktor pisze teraz?

— Niestety, recepty tylko.

Nazajutrz:

— Bójcie się Boga, kolego — oburzeni, — wrogowie.

— Gwizdź!

— No, no“.

Istotnie gwizdał. Z całą łobuzerską przekorną pasją zbuntowanej młodości. Gwizdał na wielkie zarobki, na uznanie, na konwenanse, na tak błyszcząca, łatwo rozpoznającą się własną karierę.

Wiemy dobrze w imię czego. Pierwszy punkt konfliktu to kwestia społeczna. Znamy już jej aspekty i tło w życiu Korczaka. Czy można się dziwić, że człowiek jego typu męczył się w ciągłej grawitacji między nędzą jednych a przesytem innych, że jątrzący dylemat: „*medicina aurea*“ i „*medicina pauperum*“ doprowadzały go do wybuchów protestu i rozpacz. Bohater „*Dziecka salonu*“ wobec chamstwa i ignorancji w bezpłatnej przychodni odpowiada lekarzowi, który go pyta „czym się pan zajmuje?“ równie po chamsku: „*Gówna wożę...*“

Korczak był lekarzem — nie zrozpaczonym dekadentem. Obowiązany był leczyć mimo wszystko. Zawział się więc, żeby leczyć. Leczył inteligencję, biedotę..

„Leczyłem bezpłatnie dzieci socjalistów, nauczycieli, dziennikarzy, młodych adwokatów — wszystko postępowcy. To były światła.

A cienie?

Zapowiedziałem. Ponieważ starzy lekarze niechętnie fatygują się w nocy i juści do biedaków — ja młody muszę biec z pomocą.

Rozumiecie. Szybka pomoc. Jakżeby inaczej. Bo co będzie, jeśli dziecko rana nie doczeka“.

Felczer Blucharski, mówił więc na przykład kobiecie nie w chustce, która nocą zgłosiła się do niego po świadectwo zgonu dla konającej starej matki.

„Moje kobiecisko, mnie musieliście zapłacić rubla, bo to nocna wizyta. A w szpitalu jest doktor, on pójdzie za darmo i jeszcze zostawi na lekarstwo“.

Miał rację. Henryk Goldszmit zazwyczaj szedł. Czasem brał pół rubla. Czasem dopłacał — na lekarstwo. Czasem przyjmował dwadzieścia kopiejek, bo podobno w talmudzie napisano, że bezpłatny lekarz nie pomaga choremu.

„Felczerzy wypowiedzieli wojnę do spółki ze składami aptecznymi i dwiema wrogimi aptekami.

Zgodna opinia, że wariat. Różnice w wyrokowaniu czy uleczalny“. (Pamiętnik).

W tej walce toczzonej z nieuczciwą konkurencją, z ignorancją, z chciwością, z chamstwem, w walce prowadzonej nocami po suterynach i poddaszach nędzarzy, w przychodni szpitalnej — młody, zwariowany doktor nie zawsze okazywał się barankiem.

Potrafił wybuchać. W zetknięciu ze złą wolą czy głupotą zarówno współzawodniczących z nim felczerów i aptekarzy jak chcących go wyzyskać nieuczciwych pacjentów potrafił pokazać całą swą prowokacyjną przekorę, młodzięcżą wybuchowość. Uparł się, by podpisywać recepty bez Dr., drażnić tym oburzonych farmaceutów i wymagających chorych. Dawał ostrą szkołę nieznośnym pacjentom.

Z czarującym, celnym poczuciem humoru wspomni po latach te burzliwe dialogi z czasów młodości.

Jest zaspany po trudnej nocy w szpitalu. Wzywają go do dziecka.

„Co mu jest? — Zapalenie po szkarlatynie. — Kto je leczył? — Różni. — To niech Pani wezwie różnych. — A jak ja chcę Pana? Mogę zapłacić. — Ja w nocy nie chodzę. — Szósta rano to noc? — Noc. — To pan nie idzie? — Nie idzie...

Zamykając z hałasem drzwi, rzuca na pożegnanie: — Hrabia! Stracił trzy ruble. Byłaby dała bez targu dwadzieścia kopiejek i trzy kopiejki na stróża. Chciała mnie ukarać. — Nie zaśnie teraz, będzie palce gryzł z żalu“.

A oto inna rozmowa i inne podłoże konfliktu.

„Co mu jest? — pyta przesadna matka. — Bo ja wiem — odpowiada Korczak. — Może jest zaziębione, może

je boli brzuszek? — Może jest zaziębione, może je boli brzuszek. — A czy nie dawać mu jakichś lekarstw? — Może mu pani dać trochę wody z cukrem“.

Lekarz, który w praktyce prywatnej w tak nonszalancki sposób traktował dolegliwości dziecięce, który stale opowiadał o prawdziwych chorobach swoich dzieci w sierocińcach i szpitalach, nie udawał autorytetu w sprawach diagnozy, nie zabiegał o względy rodziców, nie mógł także liczyć na ciągłość praktyki. Śmiał się z mitek zanudzających go szczegółami diety dla swych wypasionych, grymaśnych jedyneków, z przesadnej opieki, z mieszczkańskich przesądów, porównywał gruczoły i wygrywał infekcje i obciążenia dziedziczne swych sierot przeciw wyimaginowanym anemicznym przypadkom „dzieci salonu“, drażnił, zawstydział i zrażał.

Przestawano go wzywać i polecać.

Stosunek Korczaka do pacjenta płacącego i zamożnego w pierwszym rzędzie był przez lata całe oddźwiękiem procesu rozwodowego z medycyną, rozejścia się, którego poszczególne etapy przedstawił potem w książce: „Jak kochać dziecko“.

U podstaw tego rozwodu tkwi nie tylko ferment i bunt społecznika, ale wątpliwości uczonego.

Czujny i krytyczny, zasłuchany w nieprzeniknione tajemnice ludzkiego organizmu — Korczak jako lekarz zmuszany był na każdym kroku do roli proroka lub szarlatana. Pacjenci żądali za swe pieniądze recept i wyroków tam, gdzie uczciwość kazała badać, dociekać, wątpić. Partactwo, nieszczerzy, powierzchowny stosunek do choroby i pacjenta, charakterystyczny dla większości lekarzy, był nie do przyjęcia.

Korczak lata całe uchylał się od trudnej odpowiedzialności, wycofywał, zarzekał. Psuł sobie sam świadomie

świetnie zapowiadającą się praktykę, omijał bogatych pacjentów, uciekał między biedaków.

Potem przyszedł jeszcze i taki moment, gdy zniechęcony i bezsilny zapragnął działalności innej. Od dzieci chorych fizycznie odciągnął go problem dzieci zdrowych a pozabawionych opieki. Wtedy porzucił szpital, aby zamknąć się w sierocińcu.

Wiele razy wspominać będzie z żalem tę decyzję, jeszcze w roku 1942.

„Rzuciłem szpital — powie — dla „Domu Sierot“. Mam poczucie winy. Szpital dał mi tak wiele, a ja mu, niewdzięczny, tak mało. Brzydka dezercja“.

I gdzie indziej powtórzy w tym samym pamiętniku:

„Toć pierwszych siedem lat byłem właśnie takim skromnym lekarzem miejscowym w szpitalu. Przez całą resztę lat towarzyszy mi przykre uczucie, że zdezertowałem. Zdradziłem dziecko chore, medycynę i szpital. Uniosła mnie fałszywa ambicja: lekarz i rzeźbiarz duszy dziecięcej“.

Przeszedłszy na teren innych prac i doświadczeń, nie porzucił jednak sprawy leczenia. Przez wiele negacji i wiele wtajemniczeń zobaczył tylko problem choroby od innej strony.

W tym przełomowym momencie życia, „gdy mu się zwalił na łeb cały olbrzymi ciężar niepokojów, rozczarowań i niespodzianek“ zrozumiał Korczak-lekarz, że kiedy już wie, że nic nie wie i dlaczego nie wie, może w myśl naczelnego postulatku nie szkodzić choremu i wpływa na nieznane wody.

„Panem Doktorem“ został jednak na zawsze. Zawsze bandażował i jodynował skaleczone palce, zaglądał do gardła i kłopotał się o gruczoły i infekcje.

Zawsze też przyznawał lojalnie:

„Medycynie zawdzięczam technikę badania i dyscyplinę naukowego myślenia“.

„Medycyna pokazała mi cuda terapii i cuda wysiłków w podpatrywaniu tajemnic natury. Dzięki niej widziałem po wielekroć jak człowiek umiera i z jaką bezlitosną siłą, rwąc łono matki, przedziera się do życia na świat płód, dojrzwały owoc, by stać się człowiekiem.

Dzięki niej nauczyłem się wiązać mozolnie rozproszone szczegóły i sprzeczne objawy w logiczny obraz rozpoznania. I bogaty w doświadczoną świadomość o potędze praw natury, o geniuszu badawczej myśli ludzkiej, stoję wobec niewiadomej: dziecko“. („Jak kochać dziecko“, t. II).

PODRÓŻE I POWROTY

Chęć podróży staje się intensywnym pragnieniem już w wieku dojrzewania. Plany i trasa drogi powstają w trzeciej klasie gimnazjum, precyzują się w następnych. Bohater „Spowiedzi motyla“ wyobraża sobie i obiecuje, że zwiedzi: Kraków, Wiedeń, Pragę, Peszt, Meran, Rzym, Neapol, Monaco, Paryż, Londyn, Berlin... Mieszanina dość charakterystyczna dla epoki. Życie w części wypełniło ten bogaty program, w części zmieniło kierunek drogi. W pierwszych siedmiu latach praktyki lekarskiej Korczak wyjeżdża dwukrotnie na dłuższe studia za granicę, do Niemiec i Francji, zahacza o Anglię i Wiedeń. Kampanię rosyjsko-japońską 1904—1905 roku odbywa jako lekarz wojskowy na dalekim Wschodzie. Potem jeszcze raz Wielka Wojna zapędza go do Kijowa.

W sumie młody lekarz i pisarz ma możność przyjrzenia się dalekim horyzontom i różnorodnym sprawom świata. Patrzy, obserwuje, porównuje.

Nie ma mowy o zaściankowości i o wąskiej skali doświadczeń.

Ale teraz postarajmy się wyszukać w literaturze i wspomnieniach Korczaka oddźwięk tych ciekawych i barwnych wrażeń podróżniczych. Są, owszem, rezultaty badań naukowych i sprawozdania korespondenta wojennego drukowane w „Głosie“. Ale nie o to nam chodzi.

Są także wyznania o ogromnej bolesnej tęsknocie. W Charbinie, w Mandżurii, w Kijowie szalał z tęsknoty za Ojczyzną... Przyznaje to po latach w pamiętniku i listach do przyjaciół. I to już jest znamienne.

Jakimi jeszcze wrażeniami wzbogacały te podróże jego życie?

Szukając wojny daleko, za górą Uralską, za morzem Bajkalskim, poprzez Tatarów, Buriatów, Kirgizów, aż do Chińczyków, znalazł tam Korczak i „zapamiętał na całe życie małą biedną, czteroletnią Juo-Ja, która cierpliwie uczyła niezdolnego ucznia po chińsku“ i oburzał się na linię, którą nauczyciel bije dzieci w chińskich szkołach.

Co wspominał z pobytu w Niemczech? Małą Erne, która uczyła go po niemiecku. „Już Walter i Frieda byli za gramatyczni, książkowi, podręcznikowi, szkolni“.

A teraz poszukajmy wspomnień z Wiednia. Oto są „...Mój, a więc ulubiony, św. Janek Murilla na ścianie galerii“. Wprawdzie tym razem dzieło sztuki, ale znowu na wieczny, nieodstępny temat — dziecka...

Dziecko, dziecko, dziecko...

Ta obsesja trwała, potęgowała się, ściągała ku sobie jak magnes promienie wszelkich zainteresowań. I nie trzeba było dla niej szukać pożywki w ramach dalekich perspektyw.

Z Paryża, Berlina, z Mandżurii wraca Korczak z radością, z ulgą, na ulicę Śliską w Warszawie. Jeżeli z niej zapragnie wyjechać — to w charakterze dozorca-wolontariusza na dwa kolejne turnusy wakacyjne Towarzystwa Kolonii Letnich.

Można zaryzykować twierdzenie, że nie będzie to tylko akt ofiarności społecznej i ciekawość obserwatora-psychologa, ale także ujście dla dwóch istotnych umiłowań — dziecka i przyrody.

W stosunku do wsi polskiej odczuwa Korczak namiętne, czule i trochę poetyckie przywiązanie, zabarwione tęsknotą dziecka miasta. Króciutka podróż z Warszawy do Goworowa, a potem wozami do Michałówki i Wilhelmówki daje mu wzruszenia i odkrycia bogatsze w rezultaty niż zwiedzanie najpiękniejszych obcych krajobrazów.

Idealistyczny pogład na pokrewieństwo dziecka z przyrodą, na wzajemne ich oddziaływanie dochodzi tu po raz pierwszy wyraźnie do głosu.

„Kto dłużej pracował wśród dzieci, musiał odczuwać bliskie pokrewieństwo świata roślin i ludzi. Ciche bytowanie z listkiem, z patyczkiem, gdy płyną łagodne chwile“. (Artykuł „Dzieci występne w wieku przedszkolnym“ w czasopiśmie „Szkoła specjalna“).

Małe chłopaczki warszawskie, żydowskie z Pawiej i Nalewek, chrześcijańskie z Solca i Wolskiej, po raz pierwszy oglądają pole i las, bociana na drzewie, kierat przy stodole, kartofle, które rosną w ziemi, i małego konika, który jest dzieckiem dużego konia. Cieszą się, dziwią i pytają. Młody, trochę nieśmiały wychowawca odpowiada i wzrusza się. Chciałby wyrazić nieświadomymi ustami tych dzieci słowa wdzięczności dla pogodnego świata.

„Dziękujemy ci dobre słońce i lesie zielony, i ty łąko wesola...“.

Ma łagodne, jasne oczy i niezręczne ruchy, „w palanta grać nie umie, a że pisze książki, więc zdaje mu się, że jest bardzo mądry“. Ale za to bardzo pięknie opowiada bajki wieczorem w sypialni.

Tymi niebieskimi łagodnymi oczami widzi teraz wszystkie uroki i cuda przyrody odbite w zdziwionym spojrzeniu małego proletariackiego chłopca, ubranego w szarą płócienną bluzę i okrągłą czapkę kolonisty. Ma wrodzony, pełen uwielbienia i intymnego porozumienia

stosunek do natury, nieśmiałą czułość dla dziecka. Chce być tutaj, na krótko optymistyczny, doznaje w otoczeniu dzieci jakiejś młodzieńczej egzaltacji, chce się uczyć, bogacić w codziennym współżyciu z gromadą łobuzów pod wysokim protektoratem słońca i nieba.

Patrzy na wybladłe żydowskie dzieci i chce wierzyć, że tutaj one nie są prześladowanymi bachorami z ciasnych podwórek i suteryn, ale dziećmi równouprawnionymi w zabawie i miłości. Chce wierzyć, że „tutaj mowa polska uśmiecha się do nich zielenią drzew i złotem zboża, tu mowa polska splata się z wesołym śpiewem ptaków leśnych, mieni się perłami gwiazd, oddycha powiewem leśnego wietrzyka. Wyrazy polskie podobnie jak kwiaty same układają się w łąki radosne lub wznoszą promienne i czyste jak słońce na zachodzie“.

A potem patrzy także na polskich urwisów: Józków, Jaśków i Franków. I czuje, że tutaj — „jeżeli są chmury, to uśmiechnięte, jeżeli gniew, to łagodny, na żarty tylko. Bo płynie tu śliczna praca — cudna nauka. Dozorcy uczą dzieci, dzieci uczą dozorców, a wszystkich razem uczy słońce, pole, zboże złote“.

Te dwa turnusy kolonijne, pierwsza próba pracy wychowawczej, wyrażona następnie w dwóch świetnych książkach dla dzieci („Mośki, Joski, Srule“, „Józki, Jaśki, Franki“) dały wyraz panteistycznemu uczuciu Korczaka do natury.

Potem skończyły się wakacje. Chłopcy po trzech wesołych, swobodnych tygodniach wrócili do miasta. Razem z nimi wrócił niezgrabny i sentymentalny „dozorca“, który przez całe lato nie nauczył się grać w palanta. Wrócili najprzód na Świętokrzyską, gdzie znajduje się biuro Tow. Kolonii Letnich. Stamtąd na inne ulice: Gęsią, Krochmalną, Smoczą, Twardą, Karolkową, Śliską...

„To rodzinne moje strony“ westchnie po latach stary człowiek — wspominając przeszłość.

Śliska, Pańska, Komitetowa, Mariańska...

Nazwy ulic wskazują dokładnie, co to za miasto. Miasto, które było miejscem narodzin i śmierci Janusza Korczaka, dokąd wracały wszystkie drogi jego życia, gdzie pracował i mieszkał. Młodziutki uczeń wyznawał sentymentalnie, że nie zamieniłby szarości Wisły na Tamizę, tajemniczą Zambezi ani magiczny Ganges. Czarodziej „Kajtuś“ po surrealistycznych harcach przez cały świat, starał się wygrać na skrzypcach tęsknotę do jednego jedyne go miejsca na świecie:

„Widzi Kajtuś rzekę szeroką a nad rzeką miasto na wzgórzu. Co to za miasto? Ach, Warszawa! Co to za rzeka: Wisła szara...“

A po wielu latach pracy i rozczarowań przyzna sam Korczak w ostatnim swym pamiętniku:

„Nie wzrusza mnie Lwów, Poznań, Gdynia, jeziora Augustowskie, ani Zaleszczyki, ani Zaolzie. Nie byłem w Zakopanem (taki potworny), nie pasjonuje mnie Pole sie, morze polskie, puszcza Białowieska. Ale kocham Wisłę warszawską i oderwany od Warszawy odczuwam żrącą tęsknotę.

Warszawa jest moja i ja jestem jej. Powiem więcej, jestem nią. Razem z nią cieszyłem się i smuciłem. Jej pogoda była moją pogodą, jej deszcze i błoto moimi też. Z nią razem wzrastałem. Oddaliliśmy się ostatnio. Powstawały nowe ulice i dzielnice, których nie rozumiałem. Wiele lat czułem się cudzoziemcem na Żoliborzu...

Warszawa była terenem czy warsztatem mojej pracy. Tu miejsca postoj u, tu groby“.

W świetle tych wyznań Korczak wydaje się nam bardzo uczuciowy. Nieśmiały i drażliwy, dumny i zamknięty

w sobie, rzadko pozwalał przemawiać intymnym uczuciom. Nawet stosunek do dziecka, tak bardzo przesycony miłością, ujmował w karby bezstronnej wiedzy, maskował wesołością i żartem.

W stosunku do przyrody i do rodzinnego miasta stawał się szczery w swym gorącym, wiernym przywiązaniu.

Wybuchy liryzmu, uśmiech tak czuły jak pocałunek ofiarowywał rozwijającym się pąkom kasztana, małym wątląm trawkom i bladym dzieciom warszawskich ulic. W intymności tego, tak pozornie bezosobistego stosunku pozwalał sobie na literacki patos, na łzę wzruszenia, na romantyczny zachwyty.

Po okresie lat „wędrowki i nauk“ — zacieśnił się i umocnił ten związek człowieka z miastem.

Zajrzyjmy do „Dziecka salonu“. Jest rok 1904, 1905... Zamglony, szary poranek warszawski. Zima albo jesień. Ulicą Marszałkowską idą dzieci do szkoły: starsze i młodsze, bogate i biedne... chłopcy i dziewczynki... Niewysoki, szczupły, trochę przygarbiony młody człowiek w wytartym palcie idzie wraz z nimi i zagląda im w twarz swym roz-targnionym a jednak czujnym spojrzeniem. Obserwuje drobiazgowo — opis tego pochodzenia w stronę życia zajmuje w książce kilka stron druku.

Młody Korczak musiał obserwować i rozumieć. Bo właśnie z tymi dziećmi rozpoczynał swą własną drogę życia, na smutnych ulicach nadwiślańskiej Warszawy.

Minęły lata. Jest już rok 1934.

Zajrzyjmy do „Kajtusia Czarodzieja“. Na kartach tej nielogicznej i fantastycznej książki można znaleźć rzeczy zastanawiające.

Oto New York. Wielka sala teatru, wielka wizja, która nawiedzała Korczaka w snach przez całe jego życie i której urzeczywistnienia cierpliwie czekał (jak przyznaje w pa-

miętniku). Kajtuś zaczarowany i czyniący czary gra zdumionym ludziom swoją melodię o mieście nad Wisłą.

Ten obraz wydaje się dziś przecuciem.

I jest tak, jak gdyby to poza czasem, poza rzeczywistością sam Korczak jeszcze raz przesyłał nam ostatnie tchnienie z za niewiadomego grobu.

„Gra walki i boje, zwycięstwa i porażki, najazdy i pożary, niewolę ponurą, wojnę, zmartwychwstanie...

— Skąd jesteś? — pyta się ktoś cichym szeptem strun.

— Z Polski — Kajtuś odpowiada.

— Moje miasto, moja rzeka, ja...“.

DOBROCZYNNOŚĆ

Jest rok 1906 w Warszawie. W dużym salonie znanego lekarza dr Maksymiliana Hertza, przy ul. Królewskiej odbywa się zebranie, w którym uczestniczą przedstawiciele ówczesnej zasymilowanej inteligencji i burżuazji żydowskiej.

Zebranie to zostało spowodowane apelem „Polskiego Towarzystwa Opieki nad Dzieckiem“ („Gniazd sierocych“), które zwróciło się do Żydów o współpracę i porozumienie, a zarazem objęcie opieki nad dzieckiem żydowskim. Jako plan na najbliższą przyszłość wynikła stąd konieczność rozszerzenia działalności towarzystwa opiekuńczego „Pomoc dla Sierot“.

Mówców było wielu, między innymi Peretz, Weissblatt, dr Poznański, dr Eliasberg. Dyskutowano, spierano się, wyraźnie zaznaczyły się różnice przekonań starszego, jeszcze ortodoksyjnego i młodszego — asymilatorskiego pokolenia. Wreszcie stary prezes Berkman wskazał zgromadzonym konkretny cel działalności na najbliższy czas. „Schronisko dla Sierot“ przy ul. Dzikiej 5 znajdowało się w stanie upadku i rozprzężenia z powodu braku funduszków.

Nazajutrz komisja udała się na zwiedzenie owego schroniska, nad którym postanowiono roztoczyć opiekę.

Wtargnięto znieńcka w tę dziedzinę nędzy, poniżania, żerowania na krzywdzie małych i bezbronnych. Gwałtownie otworzono okna na świat.

Stan schroniska był rzeczywiście skandaliczny. Zastano kierowniczkę w chwili, gdy wracała właśnie z wesolego spaceru, rumiana, zażywna, w długim karakułowym palcie i kapeluszu ze strusimi piórami. W jej kuchni na kominie perkotała smakowita tłusta gęś i piątkowa ryba. Strojna dama zaskoczona wizytą poczerwieniała jeszcze bardziej i spotniała z przykrości.

W przytułku było ciasno, duszno i niewiarygodnie brudno: łóżka bez pościeli, kał w piecach. Dzieci jak zdziczałe wychudzone zwierzątka, z ogolonymi i pełnymi strupów i robactwa główkami, ubrane w podarte gałgany, wypełzły z kątów spod łóżek i zbiegły się łapczywie do zgnitych kartofli w łupinach, które im rzucano na stół i na podłogę.

Na ulicy stały tłumy obdartych wyrostków czekając aż dobre panie wyjdą i dadzą im jałmużnę. Czekali długo: debaty trwały do drugiej w nocy.

Rozpoczęła się teraz praca. Kilka osób zgrupowanych w towarzystwie „Pomoc dla Sierot“, oddało się jej z zapałem. Dr I. Eliasberg przeparł decyzję, aby starsze dzieci, już zdemoralizowane i trudne do ujęcia w jakikolwiek system pedagogiczny, rozpuścić, młodsze wywieźć na wieś, zanim nie zorganizuje się „Domu Dziecka“ w nowym lokalu, na nowych zasadach. Do pracy przystąpiło kilka pań, między innymi dr Eliasbergowa.

Od jesieni 1907 r. wynajęto obszerny lokal poklasztorny na ul. Franciszkańskiej pod Nr 2. Tam umieszczono niebawem pięćdziesięcioro dzieci. Z niezwykłą starannością zorganizowano opiekę pedagogiczną. Leczone, uczono, ubierano dzieci wedle najnowszych systemów wychowawczych. Zastosowano nawet nowy wynalazek elektryzacji do odwswienia dzieci i wyleczenia chorób skórnych.

Oddźwięk społeczeństwa był żywy i ofiarny. Wspomagała tę gotowość umiejętnie przeprowadzona „karota“ i celowe rozbudzenie w bogatych sferach ambicji społecznych. Wszelkie formy dobroczynności sekundowały jej zgodnie z obyczajem owych czasów: bale i koncerty dobroczynne, loterie fantowe, wenty i kwesty, nie mówiąc już o ofiarach i zapisach w testamentach. Dr Hertz i dr Eliasberg sami zebrali w ten sposób na cel budowy „Domu Sierot“ 110.000 rubli.

Dzisiaj owa przestarzała forma filantropijnej działalności musi się nam wydawać dziwaczna i ponizająca. A i wtedy problem dobroczynności i ofiarności warstw możnych w pryzmacie złośliwych sądów felietonistów pism postępowych „Prawdy“ czy „Głosu“ nie wyglądał ponętnie i wesoło. Owe przysłowiowe „tańczenie na sierotki“, skromne fundusze płynące dla biednych z odsetek od wosku startego na parkietach balowych i śmiechu w czasie spektaklów teatralnych, owe snobistyczne i pyszałkowane ogłaszanie ofiar w gazetach, które tak wyśmiewał Korczak w „Koszalkach-opałkach“, nie były požądaną, godną celu formą pomocy społecznej.

Ale w czasach, gdy ta pomoc unormowana, zorganizowana nie mogła prawnie istnieć, cały postęp, oświata, praca społeczna zależały od pomysłowości, dobrej woli i odwagi jednostek. Ich inicjatywa organizowała towarzystwa opieki, ich presja na snobizm sytego a obojętnego kupiectwa, ziemiaństwa czy sfer przemysłowych dawały pokaźne rezultaty pieniężne.

W ten sposób kolonie letnie założone przez dr Markiewiczą w r. 1881 istniały 16 lat jako co rok wznawiana inicjatywa „Kółka filantropów“ do chwili oficjalnego ich zatwierdzenia w r. 1897.

Kasy rzemieślnicze, Pogotowie Ratunkowe czerpały

swe fundusze nie z podatków, ale z ofiar. Szkoły fundowała łaska wielkich fortunatów: Roeslera czy Wawelberga i Rotwanda, szpitale wznosiła dobra wola Baumanów czy Szlenkierów, fundacje Kierbiedziowej i energia Rajchmana przyczyniły się do powstania Szkoły Sztuk Pięknych i Filharmonii.

Wysiłek indywidualny kilku osób ogniskował wkoło siebie pracę i fundusze na jeden cel. — Tajna akcja kulturalna szła od datku do datku, od szkoły do szkoły. Każda ochronka, czytelnia bezpłatna Towarzystwa Dobroczyńności były szczeblem w drodze postępu i nie wolno było ich lekceważyć. Nic więc dziwnego, że drobna pozornie sprawa nowoczesnego wzorowego domu dla stu żydowskich sierot tak bardzo pobudziła, zelektryzowała po prostu inicjatywę postępowych sfer asymilatorskich w ówczesnej Warszawie. Antagonizm z ortodoksyjnymi środowiskami, z zafaniem konserwatystów żydowskich, program podnoszenia, ukulturalniania, polszczenia ciemnych i ubogich mas — znalazł tu, na tym terenie, pole realizacji. Tam gdzie nie było impulsu szczerzej woli reformatorów, działał snobizm, chęć odegrania roli fundatorów i dobrodziejów. Na nowy „Dom Sierot“ poczęły płynąć datki ze wszystkich zamożniejszych domów.

Henryk Goldszmit był w tym czasie lekarzem Szpitala im. Baumanów i Bersonów.

Miał już wtedy za sobą lata działalności felietonowej, w której tak intensywnie walczył o reformy społeczne. Przeszedł okres pracy w „Czytelniach Tow. Dobroc.“ i dwukrotny pobyt na Koloniach Letnich w charakterze dozorczy-wychowawcy.

Prawdopodobnie już wtedy potrzeba pracy społecznej, opieki nad dzieckiem dojrzała w nim do ostatecznej decyzji. Drobny fakt uświadomił mu i wyzwolił tę potrzebę.

Dr Eliasbergowa namówiła któregoś dnia młodego lekarza, kolegę męża, by przyszedł do przytułku na Franciszkańską na wieczorek poświęcony twórczości Konopnickiej.

Przyszedł. To przyjście zdecydowało o jego losie. Stał w drzwiach na uboczu, i tak stojąc słuchał słów egzaltowanych i dźwięcznych, które patronowały tyłu opiekuńczym i społecznym przedsięwzięciom tamtych lat. Patrzył na ostrzyżone główki i schludne perkalikowe czy flanelowe ubranka dzieci, na ich twarze uśmiechnięte i ufnie szczęśliwe w tak odmienionych warunkach bytu. Był przecież czuły, wrażliwy, chciał walczyć z gryzącą trucizną zwątpienia — czynem realnym, choćby najprostszym i najskromniejszym.

Wtedy zdecydował się. Całym sercem przylgnął do tego miejsca i tych dzieci.

Kiedy w roku 1911 przytułek z Franciszkańskiej przeniósł się do nowego domu na Krochmalnej 92 — Korczak zamieszkał w nim razem z gromadą żydowskich sierot.

Dobrowolnie oddał swe życie działalności zależnej od funduszy i pomocy bogatych dobrodziejów burżuazyjnych. Z rewolucjonisty i reformatora stał się jałmużnikiem.

W opowiadaniu „Dobroczyncy“, z cyklu „Koszalki-opałki“ wypowiedział Korczak-pisarz i satyryk swój sąd o obłudnej ofiarności sytych posiadaczy. Wyśmiewa listy ofiar w Kurierku, gdzie „Powódź, pożar, nieszczęście, suchoty, maszyna do szycia, student, wpis, filar, chluba narodu, wieszcz, pomnik, aktorka, trojaczki, mieszają się tak łatwo z „dwoma łzami i rublem“... Odsłania interesowność czy złośliwość zapisów w testamentach, na których wiszą i ciężą klątwy zawiedzionych spadkobierców.

Porównywa sumę wydatków na balowe suknie, cygara, wina i karty z grosikiem odrachowanym dla biednych, skąpym datkiem na szwalnię czy ochronkę...

A jednak sam, mimo tak trzeźwego i gorzkiego poglądu na filantropię, przez lata całe pozostaje w zależności od prywatnej inicjatywy szlachetnych ofiarodawców, dobrze sytuowanych łaskawców. Najprzód w „Domu Sierot“, potem i w „Naszym Domu“, nad którym opiekę sprawował komitet pań sanacyjnych „Osiedle“. Musi zabiegać o środki utrzymania, prosić, nawet żebrać jak ksiądz Boduen lub Brat Albert.

W książce „Jak kochać dziecko“ rozważa Korczak za i przeciw tej zależności, która go więziła i męczyła przez wiele lat.

W czasach, kiedy już mógł z radosną dumą podkreślić udział samodzielnego państwa w rozbudowie opieki społecznej i postępy organizacyjne tej opieki, pisze:

„Obok państwowej wszędzie istnieje i prywatna opieka nad sierotami, bywa ona lepsza: gmachy okazałsze, dieta obfitsza, budżet swobodniejszy, kierunek elastyczniejszy. Jednakże tu tyranię biurokratycznego regulaminu może zastąpić nieobliczalny i groźny kaprys możnego dobroczyńcy. Jeżeli zważymy, że niekiedy cała inicjatywa, wszystkie wysiłki kierowników sprowadzają się do dogodzenia smakom opiekunów, nie doświadczonych, nie znających ani trudności, ani tajemnic zbiorowego wychowania dzieci, zrozumiemy dlaczego do pracy w dobroczynnych instytucjach wychowawczych z trudem naginają się osobniki bardziej wartościowe, a lgną męty i nieużytki“.

W wypadku „Domu Sierot“ było jednak inaczej. Przede wszystkim dobór personelu w osobie samego Korczaka i kierowniczkii Stefanii Wilczyńskiej był wyjątkowy, posiadał najwyższe walory serca, inteligencji i doświadczenia.

Poza tym sam „pan Doktor“ jako kierownik daleki

był od jałmużniczej uniżoności i zależności poddańczej od tych, co dawali pieniądze.

Żył w „Domu Sierot“, wśród dzieci, zaczajony, niekomunikatywny, unikając zetknięć z filantropijnymi paniami, bocząc się w przewidziane środy na zwiedzających i podziwiających. W swym granatowym, a potem już przez lata całe zielonym fartuchu, ze swą skromną postacią i roz-targnionym wyrazem twarzy, wmieszany w tłum dzieci, czynił wrażenie podrzędnego dozorca. Sam ze śmiechem opowiadał, jak to kiedyś jeden z uczestników wycieczki zagranicznych filantropów polecił mu podać sobie palto i ofiarował za to napiwek.

Ale gdy ksiądz Boduen cierpliwie zniósł policzek w imię dobra swych sierot — Korczak w podobnej sytuacji byłby prawdopodobnie ów policzek oddał. W stosunkach ze swymi dobrodziejami potrafił się klócić, żądać, daleki był od chrześcijańskiej pokory.

Ten cichy, nieśmiały człowiek był prawdziwym władcą na terenie podległej mu instytucji. Filantropi zafascynowani jego nazwiskiem i rolą musieli płacić i słuchać...

Gdy powstawał „Dom Sierot“, gdy po latach przebudowywano willę „Różyczka“ w Gocławku na wakacyjną fermę rolniczą, wysłannicy Doktora szli odważnie w imieniu Korczaka do bogatych kupców warszawskich, aby egzekwować materiały budowlane, żywność, pieniądze.

Trudno było odmówić. Czasami wywiązywała się dłuższa dysputa, protesty, które przecinał w telefonie grzmiący głos doktora Eliasberga.

I autorytet moralny Korczaka działał. Kupcy, przemysłowcy, krzywili się, stękali, kręcili głowami i dawali...

Pewnego razu wesoła gromadka „dobroczynnych pań i panów“ postanowiła latem odwiedzić kolonię w Gocławku i rozbawiona z okien swej limuzyny poczęła bombar-

dawać dzieci, wbrew regulaminowi, ciastkami, cukierkami, pomarańczami.

Ten figiel psuł Korczakowi cały wypracowany system wychowania. W furii, zaczerwieniony z oburzenia, wyskoczył z drzwi sąsiedniego budynku i krzyknął: — „Stać! Wszystko z powrotem!“ A wtedy dzieci, które już uległy pokusie i miały już ręce i buzie pełne łakoci, usłuchały Doktora. Na rozkaz grad nadgryzionych owoców, mokrych cukierków, zgniecionych ciastek spadł z powrotem przez okna auta na jasne suknie i roześmiane twarze ofiarodawczyń.

Po wielu latach, w Palestynie, Korczak z właściwą mu przekorą pochwali dziecko, które w Ejn Harodzie pokazało język cudzoziemce zwiedzającej kibuc. Będzie się oburzał na wycieczkowiczów, którzy przyjeżdżają na pięć minut autami do zakładu wychowawczego, aby za swoje pieniądze przerywać sen dzieci i przeszkadzać pracy wychowawców.

Ten krytyczny, nadrzędny stosunek do filantropii, która go utrzymywała, wynikał z siły duchowej Korczaka.

Zahamowany, nieefektywny na zewnątrz, wywierał on na ludzi ów niezwykły czar, który zyskiwał mu oddanych współpracowników, wiernych wyznawców i wykonawców jego idei.

Wyjątkowy dobór tych towarzyszy pracy i walk o wprowadzenie w czyn najbardziej nowatorskich i ryzykownych pomysłów świadczy jak działał wpływ Korczaka, jak skupiał on wkoło siebie szlachetne, pełne inicjatywy i oddania jednostki.

Dzięki ich pomocy, za pieniądze ludzi, którym wolno się było raczej dziwić niż wtrącać, ludzie nie rozumiejących nowatorskich eksperymentów — Janusz Korczak uczynił z domów sierocych, poddanych jego opiece, wielkie labo-

ratoria doświadczalne, cieplarnie i rezerwaty, w których próbował, eksperymentował jak chciał. Żadne rygory nadrzędnych, opiekuńczych instancji, żadne wskazówki ani żądania nie kępowały jego fantazji, nie korygowały doświadczenia. Pozostawiono mu absolutną swobodę.

I dlatego sprawiedliwie musiał przyznać tej pogardzonej przez niego filantropii pewne niezaprzeczone zasługi — pomoc, która umożliwiła mu realizować i tworzyć pomysły i poszukiwać nowych dróg.

DOM SIEROT

Od przystanku tramwajowego na Wolskiej szło się na lewo Karolkową. A potem znowu na lewo, już teraz za rogiem można było zobaczyć wśród kominów fabrycznych i burych zakopconych ruder robotniczych, białe ściany „Domu Sierot“. Bramą wchodziło się na rozległe podwórze. Tam dzieci bawiły się, biegały, grały w piłkę i wozily zimą na saneczkach.

Na frontonie była data roku 1911. Tego roku jesienią przeszło sto dzieci zamieszkało w nowym gmachu wzniesionym wedle planów architekta Henryka Stifelmana z uwzględnieniem wskazówek i dezyderatów Janusza Korczaka, który żywo uczestniczył w budowie domu. Po-tem Korczak w miarę lat coraz bardziej gniewał się i krytykował rozplanowanie. Wielka, na dwa piętra wysoka sala jadalna i rekreacyjna, otoczona na wysokości pierwszego piętra galeryjką, z której można było wszystko obserwować i podpatrzeć, wydawała mu się zbudowana pod znakiem nieufności dla dziecka i jego świętych tajemnic, była dowodem słabości i nieudolności wychowawców. Koszarowe sypialnie znowu dawały wszystko widzieć, wie-dzieć, ale nużyły nieustannym rwetesem i hałasem, brakiem cichego kąta.

„Gdyby w przyszłości można było dobudować piętro, przemawiałbym za systemem hotelowym: korytarz i małe

po obu stronach pokoje“ — pisał Korczak w książce „Jak kochać dziecko“.

Ale nawet z tymi brakami, które dopiero później zauważył, ten gwarny, przestronny dom, przystosowany do potrzeb życia internatowego — był jasny i przyjemny.

Wchodzących witał od progu dźwięczny, wysoki świegot dziecięcy. Po kątach i przy długich stołach, na podwyższeniu, gdzie stał fortepian, w klasach, szwalniach i pracowniach na pierwszym piętrze, pełno było zaaferowanego, rozpedzonego ludzkiego drobiazgu. Ostrzyżone główki nowicjuszy, kudłate warkoczyki starszych dziewczynek, czupryni chłopców mieniły się czernią i brązem.

Nie zwracano uwagi na przybyszów, tyle tu było własnego obowiązku, pracy, nauki, zabawy... Tylko kiedy na widowni ukazywała się wysoka, zamaszysta postać panny Stefy — biegły ku niej pytania, sprawozdania. Tylko kiedy pan Doktor w swym wygniecionym paletku albo zielonym fartuchu stawał w drzwiach, uśmiechały się do niego wszystkie usta i wszystkie oczy, niebieskie i brązowe. Ta wielka sala koncentrowała właściwie całe życie „Domu“. Zwiedzającym pokazywano jeszcze dwie wielkie sypialnie, olśniewające czystością białe posłanych łóżek i szklaną klatkę podobną do latarni morskiej, z dwoma oknami wychodzącymi na sypialnię chłopców i dziewczynek, w której początkowo mieszkał Korczak.

Dom miał dwa piętra i wysoki strych, jeszcze jedno podwórze z tyłu, mniej ważne, bo bez bramy. W suterynach mieściły się pralnia, kuchnia, łazienka, szatnia i pokój do czyszczenia butów.

Tam też mieszkał i pracował nieliczny personel domu: jedna gospodyni, stróż i kucharka, resztę prac gospodarskich spełniały same dzieci wedle systemu, który stworzyła inicjatywa Korczaka i praktyka codzienna.

Dom miał być wykończony na lipiec. Ale nie ukończono go nawet na późną jesień. Dzieci powróciły z kolonii wakacyjnych. Wtargnęły podniecone, zuchwałe, wymagające w ten zamęt budowy. Było ich pięćdziesięcioro, pochodziły z dawnego przytułku na Franciszkańskiej. Przybyło jeszcze pięćdziesiąt, nie licząc szkoły założonej na terenie domu dla dzieci przychodnich.

Ten pierwszy zespół przeżyć z panem Doktorem i panną Stefą trudny okres organizowania się i urządzania nowego życia.

Potem już co rok zmieniał się skład wychowalców. Czas przebywania ograniczony był terminem lat czternastu. Na miejsce tych dzieci, które odchodziły, przybywały nowe.

Przyjmował je zazwyczaj „Pan Doktor“.

Była to przełomowa chwila. Po wielu procedurach wstępnych, mały chłopczyk lub dziewczynka, wydobyty z brudnych, często zdartych gałganów, stawali w jasnym świetle wobec nieznanymi błyszczących przyrządów, które nazywały się waga i miara, i wobec niebieskich łagodnych a uważnych oczu pana Doktora. Pochylała się nad nimi twarz mizerna o cierpliwym, dobrym uśmiechu. Pan Doktor przykładając łysą, chłodną głowę do nagich pleców i pytał jak gdyby mimochodem:

— Łobuz jesteś, przyznaj się...

— Ale gdzie tam. Niech Bóg broni. On jest grzeczny, on jest posłuszny — zarzekał się strwożony opiekun czy opiekunka.

— On powinien być łobuzem. No, synuś, przyznaj się... — śmiał się Doktor wesoło, a żartobliwe iskierki skakały mu w oczach.

I mały chłopiec podnosił wzrok i radośnie, poufale kiwał główką w takt tego przyzwolenia na łobuzerkę.

A Doktor pytał jeszcze: — Umiesz skakać z trzech schodów? Umiesz grać w „strulki“, umiesz włożyć na drabinę?...

I z tych pytań i odpowiedzi wynikała od razu mocna pierwsza przyjaźń dziecka i wychowawcy.

Wieczorem mały przybysz, z ogoloną główką, czysto wykąpany i przebrany w nową bieliznę, zasypiał po raz pierwszy w dużym łóżku, w dużej sypialni.

— Czy ja tu już zawsze będę spała sama? — pytała ze zdumieniem mała dziewczynka. I, trzeba to przyznać, że bała się strasznie.

A rano wesoły gong wzywał do wstawania, trzeba było prędko ubierać się, myć i sprzątać. Starsze dziecko — opiekun — wszystko pokazywało. A tyle było tych zajęć, nauk, dyżurów. Nowy, rzadko dotąd słyszany język — polski, rozbrzmiewał piosenką i okrzykiem, rytmem wiersza i prawidłem gramatycznym w nowym domu. Dzieci nasiąkały nim szybko, zapominały żydowskiego języka, często ku oburzeniu i pretensjom rodzin.

Potem już wspaniale zorganizowany aparat wciągał nowego wychowanka w swe tryby. Praca podzielona na mnóstwo łatwych i automatycznych obowiązków łączyła się z zabawą i przyjaźnią.

Organizacja życia w „Domach Dziecięcych“ Korczaka kształtowała się przez wiele lat, na wielu terenach. Ale to co istniało od początku — to była jasna atmosfera, pełna rzetelności i zaufania.

Dzieci w „Domu Sierot“ na Krochmalnej czuły się od początku tak jak w domu rodzinnym, nie znały koszarowego drylu, strachu, przemocy, delatorstwa. Stosunek do ich drobnej własności, poszanowanie ich upodobań i chcień, sposób jedzenia na porządnym nakryciach i to co się na nich jadło, zaufanie i pieśczość, nie różniły sposobu ich

życia od form panujących w każdej średniozamożnej, kochającej się rodzinie.

W tym układzie stosunków — panu Doktorowi przypadała rola ojca. I trzeba powiedzieć, że spełniał ją rzetelnie, z całym należnym nakładem troski i uczucia.

To on z reguły strzygł włosy, wymyślając przy tym rozmaite zabawne urozmaicenia, jak na przykład wystrzyganie maszynką przez głowę kolejnych ulic Warszawy. On obcinał paznokcie. On ważył i mierzył co tydzień całe bractwo domowe. On wreszcie z powagą rozdzielał tran z wielkich baniek i wlewał go na łyżce do małych, szeroko otwartych ust.

On także potrafił bawić się jak dziecko i błaznować wesoło, grać z przejęciem w warcaby, słuchać zwierzeń i skakać na jednej nodze.

— Jaki pyszny był dzisiaj obiad — cieszył się dziecinnie. A w rzadkich chwilach, gdy miał ochotę na jakieś wspólne z dziećmi, nierozważne i niepedagogiczne szaleństwo, szeptał zabawnie:

„Jak to dobrze, że „Jej“ nie ma w domu. Nie będzie się gniewała“.

Ona, która mogła się gniewać, Ona, która wszystko widziała i mogła wszystkiego zabronić, Ona przez duże „O“ — „Domu“ na Krochmalnej — to była Stefania Wilczyńska.

Kiedy mówimy o wyjątkowej atmosferze tego miejsca, gdzie przez lat trzydzieści po sto kilkanaście dzieci proletariatu żydowskiego rocznie dojrzewało i hodowało się w atmosferze miłości i zaufania, bezpieczeństwa i szczęścia — nie wolno nam zapomnieć tej wspaniałej, szlachetnej i mądrej kobiety, która była najwierniejszą i najdzielniejszą współpracownicą Janusza Korczaka.

Stefania Wilczyńska urodziła się w Warszawie w roku 1886 w bardzo zamożnej, zasymilowanej rodzinie. Ukończyła znaną szkołę Jadwigi Sikorskiej, kształciła się potem za granicą w Szwajcarii i Belgii.

I znowu przypadek sprawił, że dom jej rodziców przy Świętojerskiej 16 sąsiedował z czasowym lokalem sierocińca „Pomocy dla Sierot“. Tam, na tę samą Franciszkańską, przyszła któregoś dnia jako gość, interesujący się kwestiami pedagogicznymi i działalnością społeczną. I tam już pozostała, tak samo jak Korczak.

Analogicznie do wypadku Korczaka — i jej ofiarny akces do pracy pełnej poświęcenia i klasztornej rygoru, nieefektywnej i trudnej, odbył się ze środowiska spolszczonego, kulturalnego i bardzo zamożnego. Tylko że młodszą od Korczaka o całe dziesięć lat wcześniej i może boleśniej zaznała goryczy konfliktów polsko-żydowskich i w młodzieńczym dumnym uniesieniu postanowiła życiem zaświadczyć solidarność ze środowiskiem nędzy i poniżenia, którego dotąd wcale nie znała.

Tak postanowiwszy nie zdołała jednak zmienić samej siebie, ani swoich skłonności. Na teren „Domu Sierot“ wniosła atmosferę polskiej kultury, bez tradycji obyczajowych i religijnych żydowskich.

Ale nie na tym polegało znaczenie i sens jej roli wychowawczej. Z biegiem życia i praktyki stała się ciepłym, kochającym sercem domu i jego silną podporą. Gdyby nie jej talent organizacyjny, jej trzeźwe poczucie rzeczywistości, jej opiekuńcze czuwanie — reformy i pomysły Korczaka nie spoczęłyby na tak pewnych i solidnych fundamentach.

W wielkiej rodzinie „Domu Sierot“ pan Doktor reprezentował element twórczy, kapryśny, nadrzędny, był jak ojciec, dostępny raczej w chwilach dobrego humoru, od

święta, w niezwykłych wypadkach. Pojawiał się i znikał, przyplływał i odpływał jak fala inspiracji.

Panna Stefa była zawsze. Można było do niej przybiec z każdym najmniejszym kłopotem, radością i wątpliwością, z oberwanym ramięczkiem od koszuli i kleksem w zeszycie.

Małym, wątłym dziewczynkom wydawała się ogromna, silna, zamaszysta, bardzo ciepła. Była namiętna w uniesieniach gniewu i radości, czasem nawet niesprawiedliwa, karciała i całowała z całą siłą uczucia. Miała wspaniałe ciemne, ogniste oczy, które dla kochających ją dzieci wynagradzały w całej pełni brak urody, i twarz, z której charakterystycznych fałd wynikała promienna szczerłość uśmiechu.

Długie lata cierpliwej i odpowiedzialnej pracy okazały potem, jak bardzo była mądra, krytyczna i przewidująca.

Teraz w tym czasie, przed wielką wojną, była jeszcze młoda i entuzjastyczna. Dzieci uwielbiały ją i tym bardziej obawiały się jej gniewu.

Nocą dzieci wyrwane nędzy i ciemnocie, budziły się czasami w swych białych czystych łózkach i nadsluchiwały.

Po sypialniach między rzędami posłań chodziły cienie. Pochylały się, dotykały palcami spotniałych czoł, potarganych włosów, rąk zwisających bezwładnie spod kołdry. Nadsluchiwały oddechów zdyszanych i spiesznych i cichutkich przez sen słów. Całowały śpiących, obtykały kołdrami, poprawiały poduszki, koły nocny płacz tęsknoty i strachu.

Dziecko wstrzymując oddech uświadamiało sobie wtedy półsennie, że „gdyby nie ten dom, nie wiedziałoby przecież nigdy, że są na świecie ludzie uczeni, którzy nie kradną. Nie wiedziałoby, że można mówić prawdę. Nie wiedziałoby, że są sprawiedliwe prawa, czułość i miłość“.. (Pamiętnik).

A teraz już wie. Dzięki nim, tym dwojgu ludziom chodzącym nocą po sypialniach.

I radośnie, ufnie uśmiechało się w ciemności do „Panny Stefy“ i „Pana Doktora“.

•

REZYGNACJA

„Przypominam sobie chwilę, gdy postanowiłem nie zakładać własnego domu“ — pisze Korczak w liście do M. Zylbertala 30. III. 37 roku. Było to w parku koło Londynu. Niewolnik nie ma prawa mieć dzieci, Żyd polski pod zaborem carskim. I zaraz odczułem to jako zabicie samego siebie. Z siłą i mocą poprowadziłem swoje życie, które było na pozór nieuporządkowane, samotne i obce. Za syna wybrałem ideę służenia dziecku i jego sprawie. Na pozór straciłem“.

Tak więc przełom w życiu osobistym nastąpił już w okresie podróży i nauki. Musiała go także spowodować tragiczna świadomość obciążenia dziedzicznego — wieloletni uraz — pamięć obłędu ojca. Jeżeli teraz przyjmiemy rachubę Korczaka z ostatniego pamiętnika i wedle niej obliczymy czas dalszych decyzji, który przesądził o końcu siedmioletniej praktyki lekarskiej i o jego związku z „Domem Sierot“, to okaże się, że nastąpił on w piątym siedmioletniu życia, na przełomie młodości i dojrzałości. Te lata, które zazwyczaj bywają okresem szczytowego nasilenia i rozwoju sił i apetytów życiowych, tutaj zaznaczyły się nagłą decyzją wycofania się, zwężenia i ograniczenia ram. Świetnie zapowiadający się, modny i drogo płacony lekarz pediatra, wślawiony sarkazmem, rewolucyjnością i humorem, czytany i dyskutowany pisarz, młody człowiek pełen osobistego uroku, postanowił nieoczekiwanie porzucić karierę lekarską i literacką, wyrzec się wszelkich perspek-

tyw bogactwa, sławy, szczęścia osobistego, by oddać swą pracę, swe myśli i serce gromadce dzieci żydowskiego proletariatu.

Przy bogactwie wypełniającym i rozsadzającym ramy bujnego, twórczego i nerwowego życia, widocznie konieczny okazał się zdecydowany gest rezygnacji i eliminacji.

W pamiętniku swym pisze Korczak:

„4×7. Potrzeba działania sprawnego na ograniczonym własnym warsztacie. Chcę — umieć, wiedzieć, nie lenić się, nie błędzić, winienem być dobrym lekarzem, kształtuję własny wzór, nie chcę wzorować się na uznanych autorytetach.

Było inaczej, i dziś bywają chwile, gdy czuję się młodzieńcem, szmat życia mam przed sobą, warto mi planować i zaczynać. W drugim, a na pewno trzecim siedmioleciu, czułem się już momentami tak stary, że już tylko to samo; że już za późno, nie warto. Życie naprawdę jest płomieniem, przygasa, choć paliwa ogrom, nagle skoczy snopem iskier i jasnym płomieniem, gdy już dopała się i dogasa“.

Temu młodzieńczemu przygaśnięciu płomienia przy jednoczesnej utracie wiary w uznawane autorytety, przypisać należy podłoże psychologiczne decyzji Korczaka. Po burzliwym, tak namiętnym i pełnym rozmaitej treści okresie chęci i rozgoryczeń — przyszła potrzeba ucieczki od zbyt szerokich horyzontów i od nadmiaru dręczących pytań.

Zmęczenie tym nadmiarem, wyczerpanie i obawa tak częste u schyłku pierwszej młodości przyszły zresztą w czasie, gdy sytuacja ogólna sprzyjała takim właśnie minimalistycznym programom ograniczeń.

Po rozbudzonych i gorzko zawiedzionych nadziejach lat rewolucyjnych okres rządów Stołypina znaczył się w życiu Królestwa represjami, perspektywami dalszych

prześladowań i zawodów. W stosunku do takich strat, jak oderwanie Chełmszczyzny czy upaństwowienie kolei Warszawsko-Wileńskiej, zaostżenia cenzuralne czy stałe prześladowania i aresztowania działaczy politycznych i społecznych — jedynie teren nauczania cieszył się jeszcze problematyczną swobodą polskiej szkoły.

Jeśli chodzi o stosunki polsko-żydowskie, tak ważne dla możliwości twórczych, decydujące o warunkach pracy, i o dalszych planach Korczaka — sytuacja uległa w tych czasach przykreemu zaostżeniu.

Po upadku rewolucji 1905 r., narodowa demokracja obejmuje rząd dusz nad drobnomieszczaństwem polskim, nad warstwami średnimi, czarując je tanią demagogią patriotyczno-religijną oraz hasłami walki ekonomicznej z Żydami. Jeżeli Dmowski stawia w roku 1912 sprawę bojkotu Żydów i antysemityzmu w programie partii narodowo-demokratycznej, to nastroje antyżydowskie narastały już do tej decyzji przez wiele poprzednich lat. Aura nienawiści i separatyizmu jest ciężkim ciosem dla wysokiego poczucia honoru, dla przywiązań i wrażliwości pisarza polskiego, jakim był Janusz Korczak, lekarza i działacza społecznego, jakim był Henryk Goldszmit. Urażony, zboleły psychicznie wycofuje się z współpracy z wczorajszymi przyjaciółmi, dzisiejszymi wrogami. Akcentuje swą solidarność z prześladowywanymi.

„Widziałem dostojęństwo tych Żydów, którzy uciekali i kryli się przed przyjaciółmi zza okopów“ — napisał po latach w pamiętniku.

Wobec nienawistnego szczucia antysemitów i zacofania ciemnych, ortodoksyjnych środowisk żydowskich, dla Żyda-Polaka, asymilatora-pedagoga i lekarza pozostała tylko jedna droga praktyczna z wylotem na przyszłość — wychowanie dzieci żydowskiej nędzy w duchu postępu,

w atmosferze humanitarnej ideowej polskości. Poruszanie się na tym malutkim odcinku względnej swobody, jaką wywalczyły rewolucja i strajki szkolne dla spraw nauczania, podciąganie mas żydowskich na wyższy poziom kulturalny — to był punkt programu asymilatorów, w walce z antysemityzmem.

Tej ostatniej deski ratunku chwytą się Korczak wśród zamętu i rozbicia ideowego, w popłochu własnych zranionych uczuć. Znowu najgłębsza wrodzona skłonność uczuciowa pozwoliła dokonać wyboru. Wszelkie zainteresowania i środki zwracają się w jedną stronę, jak igła magnesu.

Reformator społeczny ogranicza się do kwestii wychowania. Pisarz rezygnuje z tematów ogólnych, aby pisać o dziecku i dla dziecka. Lekarz z pediatrii staje się wychowawcą oddanym w służbę codziennym wahaniom i procesom organizmu dziecięcego.

Młody, pełen uroku i humoru mężczyzna wszelkie uczucia przenosi z kobiety na bezbronne i nie swoje dziecko.

I to nędzne, upośledzone dziecko żydowskiego proletariatu, dziecko skrzywdzone przez życie na początku istnienia i skazane na dalszy los prześladowanego i wydziedziczonego człowieka — zaczyna skupiać jak soczewka wszystkie promienie ducha i talentu pisarza, lekarza, człowieka.

Dziś wydaje się nam to niezrozumiałym marnotrawstwem wartości. Tyle bogactw i umiejętności wydatkowanych na jeden cel — wychowanie stu sierot żydowskich.

Ale musimy pamiętać, że wtedy kultura polska przeżywała ogólnie ów okres: „wielkich ludzi do małych interesów“. Uczeni godni katedr wszechświatowych trudnili się prywatnymi lekcjami, energia odkrywczą szła na użytek tajnych kompletów dla pańien. „Diamenty godne bly-

szczęć w koronie królewskiej“, że użyję tu słów Świętochowskiego o Nałkowskim, „rozpoczęły rznąć szyby w oborach i czworakach“.

Toteż można ten okres życia i tę decyzję Korczaka widzieć i oceniać rozmaicie, nawet jako wewnętrzne zwycięstwo i odprężenie, jako moment słusznego wyboru, jako chwilę odnalezienia właściwego powołania. Jest to okres uspokojenia po trudach młodzięcych, przez zrealizowanie dojrzałych urzeczywistnień.

„5×7“ — pisze Korczak w pamiętniku. — „Na loterii życia wygrałem stawkę. Mój numer już wyszedł z koła. Stawka. Tyle tylko, że nie przegram w tym ciągnięciu, o ile zaryzykuję na nowo. To dobrze. Mogłem przegrać. Ale straciłem szansę głównej wygranej, znacznej wygranej. Szkoda. Sprawiedliwie zwrócono mi, co wyłożyłem. Bezpiecznie. Ale szaro i żal... Samotność nie boli. Cenię wspomnienia. Kolega szkolny. Miła gawęda przy szklance czarnej kawy w przygodnej, zacisznej cukierce, gdzie nikt nie przeszkodzi. Nie szukam przyjaciela, bo wiem, że nie znajdę. Nie pragnę wiedzieć więcej niż można. Zawarłem z życiem umowę, że nie będziemy przeszkadzali sobie wzajemnie. Nie przystoi skakać sobie do oczu, zresztą bezskutecznie. I w polityce, zdaje się, nazywa się to rozgraniczeniem sfery wpływów. Dotąd i nie dalej, i nie więcej, i nie wyżej. Ty i ja...“

Pozbawiony osobistych pragnień, pozornie pogodzony z życiem, zamieszkuje więc Korczak w szklanej klatce, której okno wychodzi na salę internatu, wyrzeka się wszelkiej intymności osobistej. Jak habit kładzie na siebie zielony fartuch „dozorcy“ w sierocińcu.

To nowoczesne, odrębne wycofanie się — nie do pułstelni, ale między dzieci, wzbogaca go duchowo i daje do-
 różne efekty twórcze.

W tym pierwszym okresie pracy w „Domu Sierot“ powstają dwie — może najlepsze artystycznie książki Korczaka.

Jedna z nich to „Feralny Tydzień“ — przejmująca wizja smutku i bezradności miernie uzdolnionego, przeciętnego dziecka w rosyjskiej szkole i mieszczańskim domu. — Druga to „Sława“... Troje dzieci z warszawskiego podwórka, dzieci tragicznie zaplątanych w smutne, trudne i nieprzychylnie życie dorosłych, postanawia dążyć do sławy... Książka mówi o polskich dzieciach warszawskiego proletariatu. Ale w realizacji ich marzeń daje wgląd we własny stan ducha, w smutne warunkowane koniecznością życiową usprawiedliwienie rezygnacji.

Mały Włodek chce być sławnym lekarzem — zostaje tylko sławnym pielęgniarzem w szpitalu. Mania pragnie być wielką pisarką. Wyrasta na robotnicę, ale pamiętnik jej drukują w gazecie. Olek nie osiąga roli wielkiego wodza — ale musi się zadowolić pięknym stanowiskiem działacza w robotniczych związkach zawodowych.

Tak więc rzeczywistość koryguje zbyt ambitne marzenia, podstawia inne formy urzeczywistnień, skromniejsze, ale równie ważne i cenne...

Korczak chce tego dowieść w swych książkach dla dzieci. Świadomie ogranicza swe osobiste namiętnie, zdobywcze chcenia sprzed lat do ciasnych ram pielęgniarza, pamiętnikarza, organizatora społecznego. Trwoni swój talent na cotygodniowe artykuły do internatowej gazetki. Cierpliwie sam waży, karmi tranem, obcina paznokcie i strzyże główki małym żydowskim dziewczynkom i chłopczykom. Stwierdza surowo w formie wskazania i warunku: „Jakie są twoje obowiązki? Czuwać. Jeżeli chcesz być dozorcą, możesz nie robić nic. Jeżeli jesteś wychowawcą, masz

szesnastogodzinny dzień roboczy bez przerw, bez świąt, dzień złożony z pracy nie dającej się ani określić, ani dostrzec, ani skontrolować, ze słów, myśli, uczuć, którym na imię tysiąc“.

Czy już wtedy właśnie, jako człowiek niespełna 35-letni, wierzył Korczak, że tak będzie na zawsze, że żadne z wielkich przewrotów i odmian, klęsk i uniesień nie oderwie go od tego domu odosobnienia, próby i pracy, w którego ramach stara się zmieścić i zużytkować całe wielkie bogactwo twórczego i czynnego życia.

Odmiana nadchodzi jednak szybko.

Z wybuchem wojny światowej w sierpniu 1914 r. otrzymuje Korczak powołanie do służby czynnej. Jako lekarz wojskowy ma włożyć na nowo mundur oficera, pożegnać matkę, swoje sieroty i wyruszyć na front.

Na tym smutnym pożegnaniu kładzie się kamieniem troska o los materialny najbliższych. Instytucja „Pomoc dla Sierot“ ma zdeponowanych 5.000 rubli w jednym z największych banków Warszawy.

Korczak przed wyjazdem udaje się osobiście do dyrektora prosząc go o wypłacenie gotówki. Asygnują mu rubli 25. Gdy protestuje i molestuje, mówiąc o swym wyjeździe i o zagrożonym bycie dzieci, dyrektor kładzie rękę i na tych pieniądzech.

— Co za bezczelność żądać pieniędzy, czy Pan Doktor nie rozumie, że jest wojna i banki blokują depozyty i wstrzymują wypłaty?

Zaniepokojony tą pierwszą odmową, biegnie Korczak do swego wydawcy, Jakuba Mortkowicza, u którego pozostawił na czarną godzinę swych własnych sto rubli. Po wielu latach w pośmiertnym wspomnieniu odtwarza ów milczący gest, z jakim wydawca położył przed nim całą żadaną sumę.

Przynajmniej los matki był więc na pierwszy czas zabezpieczony. Korczak wyrusza na front z głęboką troską o „Dom Sierot“.

Z dziećmi i z zapasem pieniężnym 25 rubli pozostaje na ciężkie lata wojny Stefania Wilczyńska.

WOJNA

Ten rozdział życia Korczaka powinien się właściwie nazywać zupełnie inaczej. Wielka wojna przyszła wprawdzie w roku 1914., wyrwała go z izolacji, wtrąciła w bieg innych zdarzeń, w uciążliwą rzeczywistość frontu i lazaretu, w zamęt i grozę zmęczenia i śmierci. Ale Korczak zaprzątnięty pozornie trudnymi i odpowiedzialnymi obowiązkami żołnierza i lekarza uczestniczył w nich jak gdyby w roztargnieniu, wewnątrznie przejęty myślą o czymś zupełnie innym, o sposobach kochania i wychowania dziecka.

Pierwsza teoretyczna książka Korczaka o wychowaniu, mimo formy studium naukowego, jest dziełem natchnienia. Świadczy o tym chociażby sposób w jaki została napisana.

Po okresie przedwojennej ciszy, przytajenia się, potrzeba twórczości przyszła nagle w huku dział i zapachu krwi. Tam właśnie, na froncie postulaty wychowawcze i wiara w prawa dziecka stały się objawieniem.

„Trzy wojny widziałem“ — napisze potem Korczak. — „Widziałem pokaleczonych, którym rękę urwało, brzuch przewierciło, że kiszki wyszły na wierzch. Widziałem rany twarzy i głowy, rannych żołnierzy, dorosłych i dzieci. Ale wam mówię, najgorsze co można zobaczyć: to pijak, który bije bezbronne dziecko“.

Kodeks sądu internatowego pisany na froncie świadczy wymownie o tej dwutorowości życia podzielonego mię-

dzy okrucieństwa wojennej rzeczywistości a marzenie o kształtowaniu nowego człowieka. Korczak wychowawca i filozof pragnie zrównoważyć brutalność życia współczesnego, które kształtuje „homo rapax“, chce wychować jego przyszłość w osobie narastających pokoleń do sprawiedliwego i swobodnego istnienia.

Jest surowy i namiętny w swych poglądach i planach.

„Pisałem tę książkę w lazarecie polowym, pod huk armat w czasie wojny. Sam program wyrozumiałości nie wystarczał“ — oświadcza.

Potrzeba pisania jest w tym czasie przymusów i udręk silniejsza niż zmęczenie i poczucie rzeczywistości. Korczak pisze jak urzeczony, nieprzytomnie, nawet na kilkugodzinnych postojach.

„W Jeziornie nawet Walenty zbuntował się. Czy warto na pół godziny... A potem w Kijowie znów obowiązkowo, codziennie“ (Pamiętnik).

Front szedł naprzód, cofał się, przystawał, nadchodziły takie czy inne rozkazy, przyjeżdżały transporty rannych, umierali, odsyłano ich dalej, zdrowieli...

Nieprzytomny, zafascynowany swymi myślami lekarz wojskowy, Henryk Goldszmit, nie bardzo wiedział, co to oznacza i do czego zmierza. Od łóżek chorych, od lekarstw apteczki szpitalnej, jak urzeczony biegł do czystych kart papieru, na których musiał wypowiadać swe myśli o wychowaniu małego człowieka.

Często nie dojadł, miał pognieciony mundur, nieobecne spojrzenie, uśmiechał się do rannych i głaskał wiejskie dzieci z mijanych chałup z rozbajającym uśmiechem czułości.

Owszem, poznał cały trud i mękę wojny, zrozumiał rzetelnie i mądrze decydujące sprawy odpoczynku i zaprowiantowania, brudu, natartych nóg i wszy. Zgłębił do

dną nędzę strachu i cierpienia. Znalazł dobroć i opiekę objawioną w najbrutalniejszych pozornie formach i okolicznościach. Ale to wszystko, z czego składał się jego los wojenny, działało się wciąż na marginesie życia pobieżnie i nieistotnie, nie przeszkadzało mu być nadal przede wszystkim wyznawcą wielkiej sprawy dziecka.

Gdy pułk Korczaka przyszedł pod Kijów, do uszu członków tamtejszej kolonii polskiej doszły wieści o istnieniu i sposobie bycia pewnego dziwnego, niezbyt przytomnego lekarza z Warszawy, Henryka Goldszmita — fantasty, oryginała i podobno także pisarza. Urzędnik Wsiorosyjskiego Ziemskiego Sojuza, kulturalny Polak kresowy, p. Podwysocki, który czytał już w tym czasie „Koszalki-opałki“ i „Dziecko salonu“, ani przypuszczał, że ów doktor Goldszmit, którego postanowił ściągnąć ze służby frontowej do miasta, okaże się przy bliższym zetknięciu Warszawianinem i do tego jeszcze właśnie Januszem Korczakiem.

Rozmowa zaczęta oficjalnie przez szerokość biurka i nawet po rosyjsku od razu skręciła na właściwe tory, rozjaśniła się uśmiechem, przypieczętowała uściskiem przyjacieli.

Odwolanie dr Goldszmita z pułku stacjonującego na Ukrainie do Kijowa udało się także niebawem.

Korczak został przeniesiony na razie jako pediatra do przytułku dla ukraińskich dzieci w Kijowie, gdzie ordynował dr Szlezinger. Ale zbieg wypadków zawyrokował inaczej. Nieoczekiwanie, przypadkiem postawił na drodze Janusza Korczaka nowe pole działania, nowy warsztat pracy.

W Kijowie przy ulicy Bogoutowskiej mieścił się w tym czasie internat dla 60 chłopców polskich, sprowadzonych tu w roku 1915 przez grono studentek z Warszawy. Inter-

nat prowadziła pani Maryna z Rogowskich Falska, znakomity pedagog, osoba ogromnej kultury, lewicowych i niezależnych przekonań, która po ciężkich tragediach osobistych postanowiła całe swe zainteresowania i cele duchowe utopić w pedagogii.

Nic w tym dziwnego, że Korczak przeniósłszy się do Kijowa trafił do tego internatu i przyłgnął do jego spraw i atmosfery całym namiętnym uczuciem reformatora i wychowawcy.

Po krótkiej przerwie wojennej poświęconej teorii i twórczości znowu następuje okres doświadczeń, na innym terenie, z innym materiałem dziecięcym, w innej a jednak podobnej atmosferze.

Zespół wychowawców domu na Bogoutowskiej nie jest łatwy. Pani Maryna Falska początkowo nie może sobie dać rady z tą gromadą wyrostków, zdemoralizowanych przez wojnę, niekarnych i zuchwałych.

Doktór w swym wymiętym burym mundurze oficerskim zjawia się i w pierwszym szturmie zdobywa serca i sympatię.

Na przedmieściu wojennego Kijowa, wśród drewnianych parkanów i sadów, w czterech niedużych domkach, rozpoczyna się więc na nowo radosna, celowa praca, przebudowa i uspołecznianie zbiorowości dziecięcej.

Czar osoby nowego kierownika działa, choć związany jeszcze z wojskiem, zaabsorbowany także i innymi pracami, Korczak zjawia się na Bogoutowskiej raczej jako gość. Entuzjazm dzieci potęguje także zapal gromadki młodych dziewcząt, które przyłgnęły do domu w poszukiwaniu pracy społecznej oraz pedagogicznej i trwały przy nim ochoczo, ideowo, pełne adoracji dla Doktora, i szczerzej, bezpośrednio przyjaźni dla swych uczniów-chłopaków.

W warsztatach: szewskim, stolarskim, introligatorskim i ślusarskim wre wesoła praca. Dziewczęta uczą chłopców języków obcych i polskiego — Doktor eksperymentuje i udoskonala swe systemy samorządowe, wprowadzając instytucję sądu, kategorie obywatelskie, gazetkę. Pani Maryna surowa i zasadnicza z początku protestuje, spiera się, potem sama udoskonala system, który się przyjął. Nocami czyta i przepisuje rękopisy wrzucone do skrzynki redakcyjnej, aby je odczytać następnego dnia na uroczystym posiedzeniu.

Wielka wojna dalej przewalała się wokoło. Jej dogasający ogień buchał płomieniem rewolucji. Kijów przechodził w zamęcie walki z rąk do rąk.

Wśród zieleni, w drewnianych domach na Bogoutowskiej szła praca i nauka w jakimś oderwaniu od twardych klęsk i doświadczeń życia. Podczas rekreacji grano w warcaby, w szachy, opowiadano sobie bajki, czytano książki, mówiono o niewzruszonych prawach uczciwości i miłości.

Pan Doktor przychodził często, żartował, wrywał sobie nieistniejące włosy z łysiny, opowiadał dowcipy, wystrzygał śmieszne zabawki z papieru. Czasem tylko w chwilach zamyślenia, w gabinecie na piętrze, gdzie wisiała na ścianie duża reprodukcja Böcklina, można było zobaczyć, że naprawdę jest smutny.

Dlaczego? Wiedzieli o tym dobrze nieliczni przyjaciele kijowscy. Tęsknił do Warszawy. Żył wtedy w jakiejś suterynie jak kompletny abnegat, bo nigdy nie umiał się troszczyć o siebie i organizować sobie własnego życia. Jadł byle co, czasem po prostu obrzydliwą mieszaninę paru kasz, zagotowanych razem na wodzie. Jeśli zdobył się na pójście do jadalni, zamawiał flaki i nad tymi flakami polskimi „płakał rzewnie z tęsknoty za Ojczyzną“. Gdy

złożył wreszcie podanie o powrót — chodził koło tej sprawy lękliwie i niezgrabnie.

— Dlaczego pan nie stara się o przyspieszenie, dlaczego pan nie prosi o szybszą decyzję? — pytali przyjaciele.

Miał łagodny, nieśmiały wyraz w oczach, gdy tłumaczył.

— Boję się. Tyle rzeczy w życiu mi się nie udawało. Może się uroczy, odwlecze, nie spełni... A przecież tak bardzo tego pragnę. Po prostu za bardzo...

Potem jednak udało się. Korczak po czterech latach nieobecności i tęsknoty wrócił do Polski z gotowym rękopisem trzytomowej książki „Jak kochać dziecko“ w walizce, z doświadczeniem wielu wojennych trudów i kijowskich eksperymentów wychowawczych w dorobku, ze wzmożonym w duszy uczuciem żarliwego przywiązania do kraju. W domu witała go stęskniona matka. Przez te wszystkie lata rozłąki dostawała od niego w miarę możliwości czułe i piękne listy i marzyła, aby dożyć dnia jego powrotu.

Na dziedzińcu domu na Krochmalnej stały niecierpliwie dzieci ustawione w szeregi pod wodzą panny Stefy. Niektóre z nich pamiętały dobrze jego żarty i uśmiechy, dla innych, nowych, był tylko legenda.

Dwaj doktorzy weszli razem na podwórze, przez bramę od ulicy. Doktor Eliasberg żywy, impulsywny, ucałował pannę Stefę w oba policzki. Doktor Goldszmit szedł powoli, miał łysą głowę i rudawą bródkę. Był niewysoki i niepozorny. Nie powiedział nic. A dzieci drżące z podniecenia i napięcia zatrzepotały się rozczarowane i trwożne.

Więc to był „On“? taki oczekiwany, taki uwielbiany, taki dobry?...

Zatrzymał się, uściskał dłoń panny Stefy i spojrział. Niebieskie oczy zajaśniały mu przejrzycie zza binokli w sieci cieniutkich zmarszczek. A potem jeszcze uśmiechnął się tymi oczyma i łagodnymi smutnymi ustami.

I wtedy już wszystkie dzieci poznały, że to jest właśnie on, Pan Doktor! Najbliższy i najdroższy na świecie.

SZEROKIE PERSPEKTYWY

Szklanna klatka między dwiema sypialniami już teraz nie wystarczała. Doktor wycofał się z niej na teren większego odosobnienia na strych domu, do skromnego małego pokoju, gdzie mógł myśleć i pisać, daleki od ciągłej obecności dzieci. Do okna przychodziły wróble. Doktor kazał wyciąć w zewnętrznej szybie małe okienko, karmił je i obserwował sypiąc ziarno między te szyby. Kochał wróble, wolał je od jaskółek, które uważał za cudzoziemskie ptaki, i nawet od gołębi. Od nich uczył się prawdy o zwyczajach indywidualnych i zbiorowych zarówno ptaków jak i ludzi. Ale okno dawało perspektywę nie tylko na wróble. W jednym z doskonałych artykułów w kwartalniku „Szkoła specjalna“ pisze Korczak o tęsknocie dzieci do otwartego okna, do bramy, do wylotu na świat. Właśnie w tym swoim pokoju na podstawie eksperymentów i obserwacji stwierdzał, jak nieznacznie a uparcie, wieloma sposobami dziecko wbrew rozkazowi przysuwa się do otwartego okna, dąży do światła i wolnej przestrzeni.

Podobnie było z nim samym. Okno z pokoju na strychu „Domu Sierot“ dawało perspektywę na wiele prac, na dalekie horyzonty.

Ślubowanie izolacji sprzed lat okazało się nierealne, wojna rozsunęła ciasne ramy, nowe państwo wymagało szerszej pojętego obowiązku, żywszego współdziałania w kształtowaniu życia.

Nawet tu na najbliższym terenie „Domu“ na Krochmalnej dzień bieżący był intensywniejszy, obfitszy w wydarzenia i prace niż przed wojną. Jako stała kolonia letnia powstała teraz ferma w Gocławku, na Czaplowiznie w willi „Różyczka“ ofiarowanej w roku 1921 przez Maksymiliana Kona, gdzie wyjeżdżały na pobyt letni dzieci z „Domu Sierot“.

Jesienią 1919 roku 50 dzieci robotniczych polskich zamieszkuje w nowym sierocińcu w Pruszkowie.

Poza tym wszystko co dotyczy organizacji, szkolnictwa, instytucji oświatowych, wychowawczych, opiekuńczych zahacza o zainteresowania i żywy współdział Korczaka. Na marginesie drugiego wydania „Jak kochać dziecko“ notuje Korczak po paru latach z radością postęp opieki nad dzieckiem, opieki społecznej, żłóbków, świetlic, kolonii letnich, Kasy Chorych itd. — jednocześnie ciesząc się z rozwoju harcerstwa, sportów, gier na powietrzu, wychowania fizycznego.

Jakaż to radość dla człowieka czynu i dobrej chęci, dla obywatela i reformatora. — „W niewoli zaboru, poddany — nie obywatel, obojętnie nie pamiętałem, że wraz z dziećmi rodzić trzeba szkoły, warsztaty pracy, szpitale, kulturalne warunki bytu. Jesteśmy może w przede dniu nowych praw dyktowanych przez eugenikę i politykę populacyjną...“.

Teraz wzrost i organizacja pożytecznych instytucji, ustalanie słusznych metod jest sprawą obywatelską, zależy od odpowiedzialności pracującego i dążącego człowieka.

W ciągu kilku lat po powrocie do kraju Korczak jest jeszcze wciąż lekarzem wojskowym, naprzód w Poznaniu, potem na Kamionku, jest kierownikiem dwóch sierocińców, wydaje dwa duże dzieła o wychowaniu. Zostaje w r. 1919 wykładowcą w Instytucie Pedagogiki Specjalnej

(2 razy w tygodniu) a potem wykladała na Wolnej Wszechnicy. Jest stałym współpracownikiem pisma „Szkoła specjalna”. Pisze artykuły i nowele do pisma „W słońcu”. Wygłasza mnóstwo przygodnych odczytów, tworzy, działa... Pisze książki dla dzieci, powieści, broszury teoretyczne na temat wychowania.

I zarówno przez akcję, przez twórczość, jak obserwację wchodzi w kontakt ze sprawą kształtującego się społeczeństwa, z politycznymi, społecznymi i obyczajowymi przemianami świata. Ujmuje to humorystycznie w książce pt. „Bezwstydy krótkie”.

„Myślicie, że ja już wcale? Tylko dom, dzieci, sieroty? A co się tyczy tego, to już nic? Przepraszam. Wiem, co się dzieje na świecie. Widzę. Zresztą codziennie kurierk. Od deski do deski. Wiem, wiem. Bo nie wolno się zasklepiać. Jestem „okuran”. Od deski do deski”.

W latach powojennych Korczak dwukrotnie próbuje ująć sprawy panujących poglądów, kształtującej się państwowości w ramy literackich sprawozdań. Pierwsza taka próba to cykl artykułów dla dzieci pt. „Co się dzieje na świecie” drukowana w rocznikach 1919 i 1920 roku w dwutygodniku „W słońcu”. Ten czas, „w którym ludzie przestają się bić a zaczynają się kłócić”, jest świetnym tematem do wyjaśnień i popularyzacji. W drobnych artykułach, pisanych charakterystycznym, przystosowanym do pojęć i rozumienia dziecka sposobem, objawia się całe mistrzostwo artystyczne i psychologiczne Korczaka. Konferencja pokojowa, wybory, sejm i szereg innych trudnych zagadnień politycznych opowiedzianych jest z prostotą i humorem w sposób naiwny i niesłychanie zabawny. To przepuszczenie obrazu życia, esencji zdarzeń politycznych przez filtr umysłowości dziecinnej jest nową dalszą próbą wniknięcia w psychikę dziecka i scharmonizowania z nią

utworu literackiego. Jest jednocześnie pierwszym etapem tej drogi, której dalszą realizację stanowi powieść „Król Maciuś Pierwszy“. W książce tej autor poważne zagadnienia państwowe, społeczne, wszelkie walki, dążenia i reformy przedstawia w postaci naiwnej i pełnej humoru wizji, która jest czymś pośrednim między parodią, utopią a baśnią.

W kilka lat później w samotny wieczór sylwestrowy powstaje jeszcze inna wersja rzeczywistości, wersja udratyzowana i satyryczna. Korczak, który tak prosto, ładnie i poczciwie umiał wytłumaczyć malcom zawiłości różnic partyjnych i zatargi parlamentarne — tutaj oddał swój głos wielu innym prelegentom. Ówczesny dzień powszedni polski rozłamał na dialogi, widzenie świata przepuścił przez pryzmat spojrzeń i pojęć wielu ludzi przeciętnych, ciemnych, zarozumiałych i lękliwych.

„Bezwstydnie krótkie“ dialogi o masonach i Żydach, reformach rolnych i oświatowych, handlu i nadużyciach urzędniczych, literaturze i miłości — urodziły się z pasji obserwacyjnej i z żywiołowego zmysłu groteski. Przełamany w ich krzywym zwierciadle — świat pospolitych ludzi, ich zaciemnionego widzenia, ślepych i niskich instynktów wart jest zarówno śmiechu jak i pogardy.

Korczak podpatrując, przejaskrawiając i wykpiwając nie daje jednak swym dialogom komentarza.

I tu dotykamy sprawy dość charakterystycznej, szczególnie w perspektywie czasu i obecnego duchowego musu ideowości, decyzji, wobec obowiązku potępień i pochwał.

Po latach dziwnym się nam wydaje, że Korczak-obszernik życia, Korczak-reformator i pedagog wyjaśniając, wyliczając nie wskazuje wyraźnie palcem tego, co jest dobre, a co jest złe. Jego głębokie zadumanie nad światem

pełne jest pobłażliwości i rozjaśnione cierpliwym uśmiechem.

Kiedy z największą sympatią pisze o pięknym święcie pierwszego maja i tłumaczy dzieciom znaczenie czerwonego sztandaru, rewolucyjnego śpiewu oraz sens nowego porządku, jednocześnie dodaje obiektywnie: „Ale zawsze już tak jest, że ktoś mówi: a ja nie chcę, mnie się nie podoba. Nie, to nie. Kto nie chce, nie trzeba go prosić. Ludzi pracy jest wszędzie najwięcej, więc jak chcą, niech świętują pierwszego maja“.

Schematyzując i rysując w lapidarnych i plastycznych skrótach sytuacje, poglądy, środowiska, partie — zawsze widzi i dopuszcza do głosu tego, który chce inaczej. W swojej skromności i skrupulatności moralnej, w przekornej niezależności od wszelkich haseł, nie chce działać nakazem, przymusem, demagogicznym hasłem. Pośrednio, okólną drogą wpływa na skłonności swych wychowañców atmosferą moralną, praktyczną nauką szlachetności — przesądza decyzję, którą powezmą w życiu.

W poczuciu odpowiedzialności za cele i hasła, z najwyższym szacunkiem dla cudzych indywidualnych skłonności, sam tylko ukazuje świat w pryzmacie swego naiwnego czy satyrycznego widzenia i czeka na skutek.

Żegnając swych wychowañców na daleką drogę, która nazywa się życiem, pisze: („W słońcu“ 1919).

„Nie dajemy wam Boga, bo go sami odszukać musicie we własnej duszy, w samotnym wysiłku.

Nie dajemy ojczyzny, bo ją odnaleźć musicie własną pracą serca i myśli.

Nie dajemy miłości człowieka, bo nie ma miłości bez przebaczenia, a przebaczać to mozół i trud, który każdy sam musi podjąć.

Dajemy wam jedno, tęsknotę za lepszym życiem, którego nie ma, a które kiedyś będzie, za życiem prawdy i sprawiedliwości.

Może ta tęsknota doprowadzi was do Boga, Ojczyzny i Miłości“.

SAM NA SAM Z BOGIEM

Droga do Boga, Ojczyzny i Miłości, której Korczak kazał poszukiwać swoim wychowankom była także jego drogą, przebywaną w trudzie i cierpieniu. Tak już było, że sam przede wszystkim doświadczał tego, czego uczył.

Doświadczenia te nie były łatwe ani radosne. Krótki okres wzmoczonej energii, szerszych zamierzeń związanych z ogólnym rytmem odbudowy zahaczył znowu o fakty i doświadczenia tragiczne dla człowieka tak czułego i dumnego jak Korczak.

Zaciemnia się przede wszystkim horyzont wzajemnych stosunków polsko-żydowskich. Lata wojny polsko-sowieckiej obfitują w przykre wystąpienia pogromowe, dają ujście brutalnym nastrojom antysemitycznym warstw średnich. Pogromy we Lwowie, obóz odosobnienia dla żołnierzy Żydów w Jabłonnie w 1920 r. to fakty najbardziej znane na tle ogólnej dławiącej atmosfery.

Korczak osobiście tym represjom i uczuciom nie podlegał. Trwał nadal w pełnej obopólnego zaufania współpracy z najlepszymi przedstawicielami społeczeństwa polskiego, trudził się równorzędnie dla dobra polskiego jak i żydowskiego dziecka.

Na przekór rosnącemu separatyzmowi zgodnie z inicjatywą Maryny Falskiej urządził nawet w tym czasie w kolonii na Gociawku wspólne obozy wakacyjne dla dzieci żydowskich z Krochmalnej i dzieci polskich z Pru-

szkowa, chcąc je przemieszać i przełamać wzajemne przesady i obcość. Ale pisana już w parę lat później nowelka „Blizna“ świadczy o tym z jaką powagą i smutkiem starał się zwalczać Korczak infekcję separatyzmu i nienawiści rasowej w imię godności człowieka i honoru polskiej szkoły.

Wzruszająca odezwa dzieci z „Domu Sierot“ do dzieci robotniczych umieszczona w tygodniku „W słońcu“ jest przejmującym komentarzem ówczesnej sytuacji jego wychowanków.

Zaczepianie na ulicy, obrzucanie wyzwiskami i bicie było smutną codziennością żydowskich sierot. I nic dziwnego, że Korczak zasepiony wobec przyszłości swych małych Josków i Srulków mógł w tych czasach powiedzieć z beznadziejnie smutnym uśmiechem młodej, zapalanej wychowawczynie, która się bała o to, czy dzieci nie potopią się jej w Świdrze podczas wakacji — taki gorzki paradoks:

„O to się pani martwi? A jeśli się potopią? Czy to nie jest jeszcze najlepsze wyjście z sytuacji dla żydowskiego sieroty?“

W roku 1919 ten tragiczny nastrój potęguje nieszczęście osobiste. Korczak, który wciąż jest jeszcze lekarzem wojskowym w szpitalu epidemicznym na Kamionku, przynosi stamtąd na mundurze wszy, a tą drogą tyfus plamisty. Mieszka w tym czasie z matką, aby nie narażać na infekcję dzieci. Matka, pielęgnując go w chorobie, zaraza się również tyfusem i umiera. Leżąc w gorączce Korczak nie zdaje sobie sprawy z katastrofy. Ciało zmarłej zgodnie z jej przedśmiertnym życzeniem wynoszą z mieszkania tylnymi schodami, aby nie wzbudzić podejrzeń syna. Potem dopiero, budząc się do życia i zdrowiejąc dowiedział się Korczak o swej stracie, którą spowodował sam, niedostatecznie przestrzegając wymagań antyseptycznych. Odczuł ją głę-

boko, tragicznie aż do granicy depresji podniecanej samobójczymi myślami; idąc na grób matki nosił ze sobą pastylki sublimatu i morfinę, plan samobójstwa miał najdokładniej obmyślony. Własne sieroctwo, odczułe jako własna wina — i sieroctwo beznadziejne swych dzieci odczuwane jako własna bezsilność — były dostatecznym powodem rozpaczcy.

Ze smutkiem i poczuciem krzywdy, przyszły także pierwsze rozważania na temat czasu i końca.

„A może? Już, czy jeszcze czas? To zależy. Zróbmy bilans. Ma, winien. Gdyby można wiedzieć ile jeszcze lat, kiedy kres. Jeszcze śmierci w sobie nie czuję, ale już ją rozważam...” (Pamiętnik).

Z tych rozważań człowieka, który poczuł w sobie śmierć w pełni życia, z tego bolesnego poczucia bezsilności wobec zła i osobistego cierpienia wynikł szereg rozmów — „Sam na sam z Bogiem”. Korczak nazwał je modlitwami ludzi, którzy się nie modlą. Zamknął je w maleńką książeczkę, którą można by nazwać słowami Wyspiańskiego — „pociechą smutną”.

„Rozmowy” zawarte w niej w sumie 18 ofiarował pisarz pamięci rodziców, na ich grobie położył ten nagrobek bez imienia z „wdzięczności za wskazania życia, za ich życie, za swoje własne życie i śmierć”.

„Sam na sam z Bogiem” to nowy, dalszy etap trudnego i niebanalnego stosunku artysty i myśliciela do zagadnień duchowych. Książeczka ta dowodzi jak poważnie traktował Korczak potrzeby duchowe ludzi pozornie niereligijnych, nie mieszczących się w ramach jakiegokolwiek kultu i jego dogmatów. Na jej kartach przemówił pisarz chórem głosów ludzkich, błagalnych, pełnych protestów, skarg i wdzięczności, nieudolnymi słowami matki i małego ucz-

niaka, dziecka „co zrobiło siusiu“, uczonego starca i lekko-myślnej kobiety.

Korczak, który przez całe swe życie cenił tylko: credo wyznawane w czynach, który nienawidził religii za grzechy jej kapłanów, sam leczył się ze swych upadków i wątpliwości przeświadczeniem, że wzbogacenie własnej duszy jest warunkiem pracy celowej dla Ojczyzny, społeczeństwa, ludzkości.

Dzieciom — sierotom, które wychowywał chciał dać w ich ubogim życiu wszystko, co może je wzbogacić i rozjaśnić.

W „Domu Sierot“ na Krochmalnej panna Stefa Wilczyńska — sama bezwyznaniowa i pozbawiona wszelkich tradycji religijnych — prowadziła sierociniec w sposób obojętny dla spraw religijnych. Owszem, stary pan Gutman przychodził na lekcje religii i hebrajskiego, ale nikt nie namawiał dzieci, aby się u niego uczyły.

Korczak, również obcy tradycji żydowskiej, ułożył dla dzieci modlitwę własną. Dbał także o to, by doroczne święta obchodzone były uroczyście aby brak ich nie pogłębiał w dzieciach urazu sieroctwa i bezdomności.

Podobna troska doprowadziła na terenie „Naszego Domu“ do zabawnego nieporozumienia. Przy budowie nowego gmachu na Bielanych Korczak proponował, aby w planie domu uwzględnić miejsce na kaplicę. Uważał, że dziecko sierota musi mieć w gwarze i stłoczeniu gromadnego życia takie miejsce, gdzie by się mogło wypłakać i zamyśleć w ciszy i odosobnieniu.

Pani Maryna Falska, jako zarliwa ateistka, sprzeciwiła się temu projektowi. Kaplicy w „Naszym Domu“ nie było.

A potem w reakcyjnych sferach Warszawy, dla których „Nasz Dom“ był siedliskiem masonerii i „żydokomuny“ — komentowano ten fakt zjadliwie.

„No, ma się rozumieć! Nie zbudowali kaplicy. Cóż dziwnego? Jeżeli Żyd-Korczak jest w zarządzie?“...

„NASZ DOM”

Maryna Falska wraca z Kijowa do kraju już niebawem po powrocie Korczaka, bo w roku 1919.

Na razie obejmuje kierownictwo zakładu dla sierot prowadzonego pod egidą Koła Polek, którego prezeską była p. Klawerowa. Ale ta praca urywa się szybko. Falską odtrącają od niej zarówno wsteczna ideologia stowarzyszenia jak i duch serwilizmu i fałszu panujący w związku z tym w zakładach tego obozu.

Następnie wraz z Marią Podwysocką obejmuje Falska stanowisko inspektorki opieki społecznej. I ta praca jest trudna do zniesienia i wydaje się beznadziejna wobec stanu zaniedbania, w jakim znajdowały się wizytowane zakłady i oburzających stosunków, które w nich panowały. Wspomnienia domu na Bogoutowskiej były zbyt silne, perspektywa dalszej współpracy zbyt pociągająca — aby dwoje ludzi tak twórczych i zgranych w pracy jak Korczak i pani Maryna nie zapragnęli jej wskrzesić w nowych warunkach, już w Polsce.

Korczak zapalił się do tego projektu. Nowy „Dom Sierot“, zbudowany i zorganizowany na podstawie dotychczasowych doświadczeń, miał być następnym, trzecim z kolei etapem jego pracy w internacie — miał urzeczywistnić w najdoskonalszej formie wszystkie jego niespełnione dotychczas marzenia.

Praca organizacyjna nie była łatwa. W przeciwieństwie do „Pomocy dla Sierot“ przy Krochmalnej ominięto sfery zamożne, ich szczodrość i opiekę, a związane się z robotniczymi związkami zawodowymi.

Robotnicy użyli nowej imprezie swego protektoratu, ich powaga i opieka przypieczętowały pierwsze próby, walki i starania kilku ofiarnych i zdobywczych jednostek.

Wedle zapowiedzi pierwszych numerów „Gazetki Naszego Domu“ — zakład w Pruszkowie powstał dla dzieci robotniczych, z wysiłków robotniczych, z ich drobnych składek i życzliwej współpracy.

W ciężkiej powojennej epoce, w roku 1919, nie gwarantowało to zbyt wielkich dostatków. Tym bardziej, że i słów, i emfatycznych wezwań do darów społeczeństwa nie było. Nie było także wielu zebrań, aktu erekcyjnego ani statutu. To wszystko przyszło później. Na razie praca szła od jednego do drugiego łóżka, wiadra czy garnka. Od dziecka do dziecka...

Kandydatów przedstawiały związki. Wyławiano ich także z wielkim nakładem myśli, starań i najlepszej woli po suterynach, poddaszach i brudnych podwórkach Woli i Powiśla.

Młodziutki zapalone wychowawczynie docierały do mieszkań, badały warunki, przeprowadzały wywiady. Pan Doktor zaglądał w oczy, pytał i żartował, wszeczynał fachowe rozmowy o grze w kuksa i moniaki, o smaku karmelków i o tym co będzie w nowym domu.

W listopadzie 1919 roku pięćdziesięcioro dzieci z najuboższych sfer robotniczych Warszawy zamieszkało w Pruszkowie przy ulicy Cedrowej, w niedużym domu wynajętym od państwa Pawłowskich.

Ciężki, głodny i ubogi był ten start. Lata powojenne nawet w zagospodarowanym, ustabilizowanym „Domu Sie-rot“ na Krochmalnej, przy doświadczeniu i organizacyjnych talentach panny Stefy Wilczyńskiej i opiece Komitetu ludzi zamożnych — zaznaczyły się chłodem i głodem.

Najciekawszy materiał gazetki internatowej daje nam krok po kroku sprawozdania z mozolnej rzeczywistości montowania dnia codziennego, warunków egzystencji i systemu pedagogicznego.

Dzieci wydobyte z nędzy wtajemniczane są od pierwszej chwili w troski ludzi dorosłych. Pomoc instytucji i poszczególnych jednostek komentuje im Korczak z godnością i prostotą.

„Kiedy w Naszym Domu jeszcze nie było nikogo, kiedy nie było ani łóżek, ani stołów, ani wieszadeł, ani szcottek, ani miseczek — różni ludzie pomagali, żeby to wszystko zebrać.

Jeden mówi: Ja wiem, gdzie są łóżka. Idźcie tam. Oni chętnie łóżka pożyczą.

A drugi mówi: Ja napiszę list, żeby wam taniej sprzedali drzewo.

A trzeci mówi: Idźcie prędko do domu, gdzie dla dzieci możecie dostać mąkę.

A czwarty mówi: Ja mam znajomego w wydziale. Zatelefonuję, czy mogą wam dać drzewo.

Każdy coś radził, każdy chętnie pomagał. Czasem ktoś stał w ogonku, żeby dla siebie dostać chleb i kartofle, a potem się nawet dobrze nie ogrzał w mieszkaniu i stawał już w ogonku, żeby dostać coś dla Naszego Domu...“.

Tak uczyły się dzieci wdzięczności dla dobrych przyjaciół swego domu. I tak właśnie uczyły się obowiązku współpracy i pomocy bez kaprysów i wymagań.

„Kiedy przyjechały dzieci do „Naszego Domu“ — pi-sze Falska — brakowało u nas ławek, stołów, nie było elektryczności, drzewa do pieców było mało, mało było żywności i chleba. Nie było szatni, nie było pałt gdzie po-wiesić, rzeczy nie było gdzie schować. Dorośli mieli pracy dużo“.

I tak w ciasnocie, w ciągłej konieczności porządkowa-nia, pomagania — rodziły się obowiązki, dyżury. Dzieci muszą starać się pracować, pomagać starszym, wyrzekać się przyjemności czy nawet chleba dla dobra wspólnego, dla prawa istnienia domu...

„Mamy jeszcze dwa zmartwienia. Pierwsze, że nie mo-zemy kupić węgla, a drugie zmartwienie znów z karto-flami.

Płacimy za ziemniaki drogo i nie mamy żadnego za-pasu. To jest bardzo smutne, a na węgiel potrzebne są wa-gony. Tymczasem pali się w piecach, ale nie wiem, czy do-staniemy węgiel i drzewo, jak spalimy to co było przygo-towane.

Musimy bardzo oszczędzać, żeby nie zostać później z pustymi workami i zimnymi piecami“.

I oszczędzano. Skrupulatnie, planowo. W budżecie „Naszego Domu“ przez lata całe nie znalazł się grosz na rozrywkę, na materiał do robót ręcznych, bibułkę, papier lub grę...

Chleb ukazywał się rzadko, a kiedy raz podano go wyjątkowo do śniadania, mały Janek K. ukłonił się nisko swej kromce, a potem ją pobożnie ucałował (17. IV. 1921).

Było ciasno, warsztaty, pracownie, miejsca rekreacji gnieździły się na schodach, po strychach... Było często smutno. Dręczyła tęsknota do domu, do nędzy i kłopotów rodzinnych, balast wspomnień obciążał wątłe dziecinne ra-miona, straszyły atawizmy, wady dziedziczne i nabyte.

I właśnie w takich warunkach rozpoczęła się walka z nalogami kradzieży i kłamstwa, z nieporządkiem, bójkami i wyzwiskami — poparta przez gazetkę, sąd, listy pretensji i podziękowań.

Wszystko powstawało z doraźnej potrzeby tak łatwo i zwyczajnie. Na przykład wynikały pretensje i żale dzieci do kierownictwa i kolegów.

„Trzeba wywiesić listę — powiedział pan Doktor — każdy kto będzie miał jakąś pretensję czy żal do kogo, niech na liście napisze, a wieczorem, gdy się wszystko w domu uspokoi — usiąść spokojnie i dokładnie każdą pretensję rozpatrzeć, wyjaśnić, dowiedzieć się jak było. Proszę zapisywać co się będzie mówiło...“.

Pani Maryna nocami siedziała rozpatrując żale i skargi, przepisując artykuły do gazetki.

Pan Doktor rozsądzał, doradzał, pisał...

Był jeszcze wtedy lekarzem wojskowym, do Pruszkowa dojeżdżał tylko dwa razy na tydzień, ale swe najlepsze myśli, troskę, inicjatywę oddawał obok dzieci z Krochmalnej — także dzieciom z ulicy Cedrowej.

Jakże rozszerza się dzięki temu nowemu ośrodkowi krąg jego umiowań i obserwacji. Jak ciekawie dopełniają się dwa środowiska — dwa tereny — polskiej i żydowskiej nędzy.

Taka szeroka, niezacieśniona do granic jednego wyznania, skala daje dopiero Korczakowi pełnię zadowolenia. Eksperymentuje przyjaźń i porozumienie dwóch swych domów, przemieszanie swych dzieci we wspólnych pobytach kolonijnych na fermie „Domu Sierot“ w Goławku.

„Nasz Dom“ od pierwszego dnia swego istnienia jest dla niego ciekawym terenem doświadczeń i obserwacji.

„Szukamy nowych metod wychowania — pisze we wstępie do książki Falskiej o „Naszym Domu“. — Starcie

między pokoleniem starych i nowych zasad będzie tym ostrzejsze, im mocniej jedni zechcą trwać, zachować, opóźnić — drudzy lekkomyślnie popędzać i wybiegać.

Kto gromadzi fakty i kolekcjonuje dokumenty, ten zdobywa materiał do dyskusji obiektywnej nie podlegającej uczuciowym odruchom“.

Taka jest teoria wygłoszona tak pewnie, jak gdyby sam Korczak umiał doświadczenia oddzielić od uczuciowych odruchów.

Tak jednak nie było. Korczak, czuły i wnikliwy wychowawca Józków, Jaśków i Franków, dobry towarzysz cwaniaków-podrostków z kijowskiego przytułku, genialny obserwator i interpretator proletariackich dzieci z warszawskiego podwórza — tutaj znowu odnajduje w szczupłych ścianach pruszkowskiego domu swe tematy, swych bohaterów, swe umiłowania.

Na nowo wyzwalają się pasje artystyczne wyrażone potem w „Mojej obronie“ czy we wspaniałej noweli „Franek“.

Dyktowane pani Marynie „Wspomnienia z maleńkości“, wypowiedzenia dzieci wydane potem w książce są dla niego rewelacją, nową erą w dziejach piśmiennictwa.

Bogaty i autentyczny język, sposób rozumowania, uczuciowość i obyczajowość są niewyczerpanym źródłem odkryć, zachwyków i bodźców artystycznych.

Z biegiem lat skromny ale jakże ciekawy eksperyment Janusza Korczaka i Maryny Falskiej rozwija się, organizuje i zyskuje coraz większą popularność. Opiekę nad nim przejmuje komitet pań sanacyjnych z Aleksandrą Piłsudską na czele.

Książka Marii Falskiej wydana w 1927 r. podaje już plan nowego, pięknego, wielkiego gmachu na Bielanych.

SYSTEM KORCZAKA

Pani Maryna Falska tak pisze w artykule pt. „Zarys organizacji pracy wychowawczej we własnym domu“:

„Pragniemy zorganizować społeczeństwo dziecięce na zasadach sprawiedliwości, braterstwa, równych praw i obowiązków. Nie mając na razie lepszych wzorów niż te, które dla siebie wypracowało społeczeństwo dorosłych, będziemy je naśladowali, przystosowując do potrzeb i właściwości społeczeństwa dziecięcego. Przymus zastąpić pragniemy przez dobrowolne przystosowanie do form życia zbiorowego, martwy morał zmienić chcemy w radosne dążenie do doskonalenia się i samozmagania. Nie urabiać i przerabiać, a zrozumieć i porozumieć się chcemy z dzieckiem, pomóc w odrodzeniu niewolniczej żebraczej jego duszy, odrzuceniu brudu, który panował i przeniknął społeczeństwo dzieci, jako zaraza dorosłych. Wytworzyć ich własne życie, wypróbować siły, odporność moralną i tendencje rozwoju. Na pierwszym planie stawiamy — poznanie. Działać musimy ostrożnie i zwolna, czujnie się we współpracy z dziećmi kształcąc i wychowując“.

To jest teoria — bardzo piękna. Po latach Korczak pytany o jej zasady orzekł: „Nie daję recept. Próbuujemy i szukamy, nie oddalamy się od rzeczywistości“. (Listy).

Mamy wiele materiałów do opracowania systemu domów Korczaka już realizowanego. Gazety „Domu Sierot“ uległy wprawdzie zniszczeniu, ale szeroko i na gorąco oma-

wiane są te sprawy w „Gazecie Naszego Domu“, szczególnie w pierwszych rocznikach przedrukowanych częściowo w tygodniku „W słońcu“.

Organizacja systemu wychowawczego Korczaka do-
czekała się różnych opracowań na wielu etapach swej
realizacji. Kodeks sądu i ogólny rzut na całość układał sam
Korczak podczas wielkiej wojny. Maria Falska podała
szczegółowo opis organizacji społeczeństwa dziecięcego
w artykule z r. 1926 i w broszurze o „Naszym Domu“ wy-
danej w r. 1928. Poza tym strukturę systemu Korczaka
podają nam rzeczowo w swych pracach A. Poznańska
i T. Osińska.

Wiemy doskonale, że społeczeństwo dziecięce miało
w sierocińcach Korczaka ustrój klasowy. Plebiscyt wyzna-
czał stopnie obywatelstwa i następnie uprawniony był ko-
rygować te stopniowania. Zespół dzieci podzielony był na
klasy: „uciążliwego przybysza“, „obojętnego mieszkańca“,
„miłego towarzysza“, „obywatela“, „króla i przyjaciela
dzieci“, „pracownika“, „zasłużonego pracownika“. Do
stopni obywatelstwa przywiązane były odpowiednie pra-
wa. W „Naszym Domu“ skala stanowisk była mniejsza.
Następnie z łona tego społeczeństwa dziecięcego wyłaniały
się władze. A więc sąd i sejm dziecięcy urzędujący raz do
roku w liczbie 22 posłów. Życie codzienne podlegało od-
powiednim rygorom, wedle ścisłej organizacji dyżurów, sta-
nowisk piętrowych, opiekunów itd.

Zbiór praw pisanych obowiązujących i bezwzględnych,
czyli statut — regulował życie i pracę dzieci. Sąd ze
swymi licznymi paragrafami, gazetka, notariat, obliczane
jednostki pracy, zakłady o poprawę, nagrody w postaci
pocztówek pamiątkowych pomagały utrzymać mnogość
spraw w korbach organizacji i porządku. Organizacja
oparta była na systemie piśmiennym. Wszystko trzeba było

zapisywać i notować. Piętrowe i dyżurne posiadały specjalne książki. Wysiętek mierzony na okresy półgodzinne czyli jednostki pracy ogłaszano na specjalnej tablicy. Istniały zeszyty uwag na temat czystości, pamiętniki, prośby, podania, protokoły wymian i transakcji handlowych, sprawozdania z wizyt u rodzin, tablice skarg i podziękowań. Ten skomplikowany i drobiazgowy mechanizm działał przez lata całe na terenie dwóch sierocińców, działał sprawnie i celowo dzięki osobowości Korczaka, który był jego twórcą oraz duchem i umiał ożywić sztywne kanony fantazją i wdziękiem swej własnej indywidualności, a także dzięki współpracy, energii, zmysłowi organizacyjnemu kobiet, które na dwóch placówkach wprowadzały w czyn jego idee: Stefanii Wilczyńskiej i Marii Falskiej.

To prawda, że zespół kierowniczy szukał zastępców i kontynuatorów, że odbywa się selekcja wychowawców spośród młodych bursistów, kształconych na całotygodniowych zebraniach dyskusyjnych, że Korczak i panna Stefa usuwali się poza obręb domu pozwalając maszynie iść własnym rozpędem i przyglądając się jej z daleka. Ale jednak byli, czuwali...

Dziś, kiedy zabrakło i ich, i materiału — wychowawców, na których można by sprawdzić skuteczność tego systemu, gdy tragiczny epilog zakończył ich optymistyczną, pogodną pracę, gdy wojna zabrała także Marynę Falską, a wielkie przemiany społeczne ukazały inne rozwiązania i inne cele zespołom wychowawczym — trudno jest bezstronnie mówić o wadach i zaletach tego systemu.

Tym bardziej, że powiedziano już o nim wiele rzeczy, zarówno entuzjastycznych i naiwnych w uwielbieniu jak zbyt niesprawiedliwych w krytycyzmie. Korczak zdawał sobie w całej pełni sprawę z trudności zadania. Otrzymywał do wychowania trudny materiał dziecięcy, miał go wy-

chowować w trudnych warunkach i przygotowywać do bezwzględego i trudnego życia. Trzeźwo oceniał różnorodność i bujność typów dziecięcych. Przyznawał, że zbiorowość dziecięca posiada więcej typów nienormalnych, szkodliwych, zbrodniczych in spe, niż społeczeństwo dorosłe, gdzie działały już selekcyjnie rozmaite sита i rygory socjalne: zakłady dla obłąkanych, więzienia, szpitale oraz zawody, w których wyładowują się sadystyczne instynkty, jak zawód rzeźnika czy hycła.

Usuwał z zakładów dzieci trudne, niepoprawne, zagrażające wedle niego zdrowej zbiorowości. Kierując gromadą dzieci nędzy i zaniedbania, dzieci pijaków, złodziei i prostytutek, musiał utrzymać je w ramach uczciwych i słuszných praw i stworzyć taki system, który niwelując różnice, odbierze siłę typom społecznie szkodliwym, a wzmocni cechy dodatnie jednostek może słabszych, ale cenniejszych moralnie. Stąd przy swobodzie głosu, decyzji w sądzie czy plebiscycie wynikły tak doskonałe rygory organizacji.

Nie trzeba przy tym zapominać, że Korczak tworząc, praktykując i doskonaląc ten swój system był przede wszystkim sobą i wszystkie cechy swej osobowości i fantazji wniósł mimowolnie w jego ramy. Pomysłem, uśmiechem, dziwactwem narzucał dzieciom swe rojenia i chcenia, chwilami bardziej poetyckie i dziecinne od ich własnych życiowych gorzkich doświadczeń.

Jeżeli spojrzymy pod kątem osobowości Korczaka na jego system wychowawczy, zobaczymy w nim refleksy wielu jego żywiołowych umiłowań. Przede wszystkim będzie to owo „prawo dziecka do szacunku“ — głoszone we wszystkich jego dziełach pedagogicznych — absolutna pełnowartościowość dziecka, nie jako człowieka przyszłego — ale obecnego. Dalej pasjonuje go przez wiele lat utopia

dziecięcych praw i dziecięcego państwa, urządzeń przystosowanych do potrzeb dziecka, klamek i poręczy budowanych na wysokości dziecięcej dłoni. Ta pasja doszła do głosu w fantastycznej powieści o „Królu Maciusiu Reformatorze“. Wprawdzie mądrość i zmysł krytycyzmu postawiły hamulce fantazji. Król Maciuś zbankrutował w swych nierozważnych marzeniach tak bardzo kolidujących ze światem dorosłych przymusów.

Jednak coś z rojeń dziecinnego króla przeniknęło do sał sierocińca na Krochmalnej, coś z utopii i coś z baśni.

Uroczyste posiedzenie sejmku 22 posłów w wielkiej sali przy stole pokrytym zielonym sukniem pod przewodnictwem pana Doktora było wizją śnionego dzieciowładztwa.

Sąd wraz z jego paragrafami, wyrokami, posiedzeniami był także zapożyczony z urządzeń dorosłych gwoli umocnienia praw dziecięcych. Notariat, tak skrupulatnie zapisujący wagę transakcji i operacji handlowych, jest żywą ilustracją kłopotów spółdzielczych małego Dżeka.

Godność „króla dzieci“, tak nieoczekiwana w demokratycznym społeczeństwie malców nie ma w sobie akcentu monarchistycznego régimu, ale znowu ów powiew baśniowych stosunków i dziecinnego, tradycyjnego jeszcze przed wojną pojmowania, wedle którego król ogniskuje w sobie wiele czarów legendy.

I dalej. Cukierek rzucany w nagrodę, kolorowa pocztówka z kwiatkiem podpisana przez samego Doktora... Czy nie czujemy, że to nie tylko była sprawa koncesji dla dziecięcych potrzeb nagrody i pochwały, ale także wyładowanie dziecinnych upodobań samego pana Doktora.

Jego współudział w życiu domu wynikał także nie tylko z zasady, ale z owego uczuciowego przekonania o demokratycznej równości wszelkich prac i zawodów, której tylokrotnie dawał wyraz. Wyrażała się w tym także chęć

zbadańca wszystkiego osobiście, dotknięcia własnymi rękami, przekonania się o wszystkim naocznie.

Bardzo mocno zaważyły także osobiste literackie skłonności Korczaka na charakterze piśmiennym systemu w „Naszym Domu“ i „Domu Sierot“.

Potrzeba pisania, umiłowanie słowa i zaciekawienie tym słowem jako wyrazem przeżyć dziecka, a przy tym skrupulatność i szacunek dla doświadczeń naukowca wydała w rezultacie coś, co ludzie krytyczni nazywają buchalterią i co stosowane rygorystycznie na terenie „Naszego Domu“ — doszło do przesady i wykluczyło wszelką możliwość bezpośredniego porozumienia.

Jeżeli podsumować ilość zeszytów ze sprawozdaniami, obliczeń jednostek pracy, raportów z dyżurów, z postępów szkolnych, z opieki nad młodszymi, wizyt w domu, przeczytanych książek, nie licząc już sprawozdań sądowych, artykułów do gazetki, własnych wspomnień, do których zachęcano dzieci — wynikną z tego jakieś nieprawdopodobne ilości papieru i słów, a przy tym ciągły dodatkowy obowiązek dla dzieci obliczania się, wykazywania, pisania. Znając niechęć dzieci do pisania, aż dziwić się należy, że wychowawcy „Domu Sierot“ i „Naszego Domu“ dawali się do tego obowiązku wdroić — chyba znowu działał tu czar indywidualny wychowawców.

Ale to przecież była osobista namiętność, a pośrednio także wpływ samego Korczaka. To on nie opuścił w żadnym tygodniu obowiązku napisania artykułu wstępnego do gazetki, on notował, zapisywał pokrywając stopy zeszytów i bloczków okrągłymi, dużymi literami swego tak charakterystycznego pisma. On także otaczał pisaninę dzieci najgłębszym zainteresowaniem i szacunkiem. W „Domu Sierot“ nie niszczone żadnego dokumentu. Cze-

kały one uporządkowane na czas wykorzystania. Niestety doczekały się końca w ogniu zniszczenia.

I jeszcze jedno, najważniejsze...

Korczak-pesymista i ironista, Korczak-filozof zdając sobie coraz głębiej z biegiem lat sprawę z tragedii narastającej pierścieniem wrogości wkoło swego „Domu“, nie łudząc się, że perspektywa bliskiej klęski czeka w pierwszym rzędzie jego żydowskie, a następnie także i jego polskie dzieci — nie chciał, a może po prostu nie umiał wychowywać ich na ludzi bez złudzeń, ludzi brutalnych, silnych, przygotowanych do walki. Decydowała o tym także atmosfera domu. Przed każdym posiedzeniem sądu odczytywano dzieciom stwierdzenie: „Uderzony przez personel nikt nie był“. Zasada samego sądenia brzmiała: „Jeżeli ktoś zrobi coś złego, najlepiej mu przebaczyć i czekać aż się poprawi“. „Ale sąd musi bronić cichych, by im nie dokuczali silni, sąd musi bronić sumiennych i pracowitych, by im nie przeszkadzali niedbalcy i leniuchy, sąd musi dbać, by był porządek, bo nieład najbardziej krzywdzi dobrych, cichych i sumiennych ludzi“.

W tym przekonaniu wpajano dzieciom w ciągu lat pobytu w „Domu“ bezwzględne przeświadczenie, że uczciwość, sprawiedliwość i czułość powinny rządzić światem. Zaufanie i szczerść były podstawą wzajemnych stosunków.

Korczak sam stwierdzał z rodzajem ubolewania: — „Naiwnie i wdzięcznie nastrojają się na mój ton sprawiedliwości i obowiązku. Biedoty kochane, moje miłe. Chce mi się je raczej przestrzec“.

Czuła, najbardziej osobista opieka Doktora, panny Stefy, czy oschłe lecz sprawiedliwe czuwanie pani Maryny, przewrażliwiały i wydelikacaly wychowawców. Doskonała precyzja aparatu administracyjnego prowadziła dziecko od

obowiązku do obowiązku, nie zostawiając miejsca na samodzielną inicjatywę. Atmosferę domów korczakowskich szczególnie „Domu Sierot“ na Krochmalnej można było porównać jedynie z nastrojem rodzinnego domu mieszczańskiego pełnego złudzeń, względnego dostatku, złagodzonych form życia, ufności we wszechwładną opiekę rodziców.

„Zadanie wychowawców — pisze Korczak w jednym ze swych artykułów — wychowywać, chronić pod skrzydłem życzliwości i doświadczenia. W ciepłe i spokoju osłaniać przed niebezpieczeństwem, przechować, przeczekać aż dorosną, zmężnieją, nabiorą sił do samodzielnego lotu“.

Tymczasem termin końcowy pobytu w Sierocińcu upływał wraz z ukończeniem czternastu lat życia. Istniała możliwość pozostania tam przez zastosowanie wyjątkowego prawa. Starsza młodzież mogła mieszkać w „Domu“ za cenę trzygodzinnej opieki nad dziećmi. Tworzyła ona rodzaj seminarium wychowawczego, w którym Korczak szkolił nowych wychowawców. Najczęściej jednak los wyrzucał z sierocińca dzieci jeszcze nieopierzone i niedostatecznie zmężniałe, a co gorsza nieuzbrojone w kły i pazury, trochę rozpieszczone łatwością poprzednich lat. Szły one w życie przepojone brutalnością, syczącą nienawiścią walk rasowych i gospodarczych. Szły w nowy świat, w którym nikt nad nimi nie czuwał, nie usprawiedliwiał ich w sądzie, nikt nie wręczał im pamiątkowych pocztówek ani nocą nie pochylał się z pieśczętą nad ich łóżkiem.

Kierownictwo widziało paradoksalność i trudność sytuacji. Cóż stąd, że włożono tyle myśli i pracy w organizację życia na terenie „Domu“, kiedy nie można było kontynuować w życiu tej utopii...

Korczak starał się pomóc, zapobiec, kierować swymi wychowañcami i poza obrębem domu. Ale nie było to

łatwe w czasach, gdy warunki polityczne, społeczne, moralne stawały się z roku na rok gorsze.

Do końca łudził się, że jego domy dały dzieciom choćby krótki czas spokoju, choćby wiedzę o prawdach i zasadach uczciwego życia. Jeszcze w getcie spotkawszy się po wielu latach z byłym wychowankiem, przemytnikiem, Szulcem stwierdza na nim mimo wszystko fakt dobrego wpływu „Domu Sierot“.

Zresztą nie umie wychowywać swych dzieci inaczej. Do końca organizuje i pieści, okłamuje bajką i znieczula marzeniem. Taki już przecież jest. Pani Stefa, trzeźwa i praktyczna, także czuła nadchodzące wraz z epoką bankructwo. Stwierdzała na każdym kroku niepraktyczność, brak inicjatywy, nieśmiałość i nadmierne poczucie godności swych dzieci w walce o byt. Próbowwała umacniać, radzić, poszturchiwać, choćby z daleka.

Po wielu latach w r. 1936 pisał Korczak do przyjaciela w Palestynie: „W zakładzie nic pocieszającego. Może ufałem zbyt moim słabym siłom, może uniosły mnie ambicje i marzenia. Doznałem rozczarowania, jeśli nie bankructwa...“.

A w innym liście dokładniej wyraża to, co pragnął uczynić: „Oprzeć organizację dzieci na wzajemnej sympatii i sprawiedliwości. Oddalić zawczasu od złego wpływu spraw dorosłych. Dać im lata spokojne, łagodne, do rozwoju i dojrzewania. Nie uciskać, nie gnębić, nie obarczać, nie zaniedbywać, nie krzywdzić. Przyznaję, że robiłem to nie dla wszystkich — tylko w „Domu Sierot“. Mimo warunków ciężkich, to jest oaza, którą niestety zasypuje dzisiaj zły piasek pustyni, roztaczającej się dokoła“.

PEDAGOG I UCZONY

Kiedys przyszedł Korczak bardzo zmęczony i spóźniony na wykład w Instytucie Pedagogiki Specjalnej. Tłumaczył się tym, że miał niezmiernie absorbujące i ważne zajęcie.

— Co takiego? — pytano.

Okazało się, że zajęty był przez kilka ostatnich godzin segregowaniem i oglądaniem brudnych dziecinnych chustek do nosa. Badał je i wyczytywał z nich wiele ciekawych, nowych prawd o swych wychowañcach.

— Jaka to wspaniała karta indywidualna — taka chustka do nosa! — oświadczył z najpromienniejszym uśmiechem zadowolenia. Kiedy indziej komuś najzupełniej obojętnemu dla spraw tego typu opowiadał przez szereg godzin o segregowaniu i badaniu zębów mlecznych.

Te fakty wyglądają na anegdoty, a są niezwykle charakterystyczne dla zainteresowań i systemu pracy Korczaka. W przededniu śmierci, już podczas rozpoczętej akcji w getcie pisze on jeszcze swój ostatni artykuł do „Gazetki Domu Sierot“ pod tytułem: „Dlaczego sam zbieram ze stołów naczynia?“. Artykuł zawiera uwagi i obserwacje nad indywidualnym sposobem jedzenia, brudzenia i niszczenia naczyń i wyciąga stąd naukowe wnioski oraz sugestie społeczne. W artykule pt. „Wychowawca ambitny“ dowodził Korczak: „Zanim każe się dziecku wyszorować podłogę,

trzeba wielokrotnie zrobić to samemu, trzeba umieć wyjąć ścierkę, trzeba znać tajemnice siennika“.

Buntując się przeciw rutynie teorii, kładąc tak silny nacisk na doświadczenie, Korczak chciał i musiał sam badać każdy najbardziej lekceważony objaw istnienia. Całe swe życie upierał się przy bezstronnej, opartej na dokumentacji — roli badacza i uczonego.

U schyłku życia stwierdził po raz pierwszy:

„— Mam umysł badawczy, nie wynalazczy.

Badać, by widzieć? — Nie.

Badać, by znaleźć, dotrzeć do dna? — I to nie.

Chyba badać, by zadawać coraz dalsze i dalsze pytania...

Pytania stawiam ludziom (niemowlętom, starcom), faktom, zdarzeniom, losom. Nie ponosi mnie ambicja odpowiedzi, chcę przejść do innych pytań, niekoniecznie o tym samym“.

Uczony, którego Korczak wielbił, którego dziełami entomologicznymi się zachwycił, Fabre, był skromnym nauczycielem ludowym, który bez wszelkiego przygotowania naukowego, dokładnie, cierpliwie badał latami życie owadów. Korczak każe być wychowawcy Fabrem życia dziecięcego. Sam przez 20 lat obserwuje wróble, aby wiedzieć o ich odruchach i zwyczajach zastosować do dzieci. Ale ma za sobą wykształcenie medyczne, jest lekarzem, który przeżył studia kliniczne i teoretyczne oraz wiele lat praktyki.

„Jeżeli w medycynie istnieje nauka o rozpoznaniu, to i w pedagogii powinna istnieć „diagnostyka wychowawcza oparta na rozumieniu objawów“: „Patrzeć, tłumaczyć, wiązać, wnioskować...“.

Korczak stawiał wysoko doświadczenie, praktykę, obserwację ponad zarozumiałość szablonów, martwość

schematów. Cenił trud ciągłych poszukiwań i odgadywań sam będąc przykładem tej pełnej pietyzmu i skromności pracy obserwatora i badacza. Przyznawał się szczerze do pomyłek i sam praktykował owo ciągle przechodzenie od stwierdzeń do swych własnych dalszych twórczych wątpliwości.

„Niech żaden z poglądów nie będzie bezwzględny przekonaniem ani przekonaniem na zawsze. Niech dzień dzisiejszy będzie zawsze przejściem od sumy dzisiejszych doświadczeń do większej ich sumy z dniem jutrzejszym“. „Odrzucam, zapominam, omijam, wykląmuję się, zlekceważam, zrzekam się po wielekroć teorii, z rzadka siebie“ — pisze Korczak.

„Praktyka to moja przeszłość, moje życie, suma subiektywnych przeżyć, wspomnienie doznanych niepowodzeń, zawodów, porażek, zwycięstw i triumfów, ujemnych i dodatnich odczuwań“. „Własny błąd to dowód jaką przeszkodą dla samodzielnego myślenia są wszelkie ramki, plany i drogowskazy“.

Dzieciom, czytelnikom każe Korczak iść w ślady Pasteura — uczonego, odkrywcy, każe naśladować jego twórczy zawzięty upór w pracy i doświadczeniach.

Studiuje biografie wielu uczonych i badaczy, rezultaty ich prac naukowych. Poważna lektura medyczna i psychologiczna w kilku językach jest jego codziennym zajęciem. Sam przyznaje się, że jeśli wieczorem przed snaniem nie czyta, czuje się jak nieumyty.

Pan Doktor wszystko musiał sprawdzić sam. Latami całymi mierzył i ważył dzieci, notując skrupulatnie wahania i przyrost ich wzrostu. „Godzina sobotniego ważenia to godzina silnych emocji“ — stwierdza w pamiętniku. W okresach letnich dla specjalnych celów potrafił ważyć osobiście rano i wieczorem aż sto dzieci i przyznawał się:

„Dwieście wag dziennie, to uspakaja nerwy...“.

„Moja praca naukowa“ — pisze Korczak w pamiętniku — krzywe wagi, profile rozwojowe, indeks wzrostu, prognoza ewolucji sumarycznej i psychicznej. Tyle nadziei. Jaki będzie wynik... Jeśli żaden?“

Niezależnie od wyników na bloczkach, w zeszytach, gromadził się w szufladach olbrzymi materiał obserwacyjny i sprawozdawczy.

Korczak wysoko cenił dokument, notatkę. „Z notatek bilans życia układasz“ — stwierdza w broszurze pt. „Momenty wychowawcze“. „W notatkach są ziarna, z których wyrósł las i łąn. Są krople tworzące źródło“.

W broszurze tej mamy właśnie przykład drobiazgowej obserwacji psychologicznej grupki dzieci bawiących się w ogrodzie i nawet próbę dokładnego planu obserwacji dziecka dla użytku ucznia seminarium. Notatki z nocnej obserwacji małego chłopca, którego Korczak odzwyczajają od nałogów, czuwając nad nim regularnie przez parę tygodni, daje nam wgląd w czułą i cierpliwą dokładność, w niezwykłą ścisłość i rzetelność tych badań.

Dzieliły się one harmonijnie uwagą na objawy fizyczne i psychiczne dzieci. Skłonności lekarza i pisarza wyładowują się tu równorzędnie. Internat i szkoła to dla niego olbrzymi, wszechstronny teren badań. Z jednej strony „klinika wychowawcza“, z drugiej rezerwat pierwotnych odczuć i reakcji żywego organizmu i intelektu.

Pisarz obserwuje tu ruch, kształt, podśluchuje słowa z wnikliwą intuicją i z artystycznym wycuciem. Lekarz dotknięciem bada pulsację podskórną, fizjologiczną, tajemnicę oddechu, wahania i zastoje procesów rośnięcia i rozwoju. Wychowawca-filozof, wobec tak bogatej skali objawów zastanawia się, że „nie tylko w psychologii należy tu szukać rozwiązania, ale bardziej w książce lekarskiej,

socjologii, etnologii, poezji, kryminologii, modlitewniku, podręczniku tresury“. Psycholog przyznaje się: „doświadczać, to znaczy cierpieć“. Gmatwa się w bolesnych rozbieżnościach życia i myśli.

A humorysta stwierdza z uśmiechem: „Liczyłem ile kleksów i plam na zeszytach, ile liter kaligraficznych, ile szewc za zelówki“...

Ciekawy jest wzajemny stosunek czynnika teorii naukowej i tego prymitywnego, na własną rękę dokonanego doświadczenia, w badaniach Korczaka. Gdy przekornie stwierdza, że dwutomowa książka o praniu i praczkach nauczyłaby go więcej niż psychoanaliza, że kuchnia wymaga więcej inteligencji i inicjatywy niż pracownia bakteriologiczna, gdy wyżej ocenia walory wychowawcze starej niani niż Charlotty Buehler, gdy radzi raczej oddać dziecko pod opiekę osobie, która przez pięć lat hodowała kury niż inteligentce z dyplomem, brzmi w tych słowach prowokacyjny bunt przeciwko uznanym i powtarzanym zbyt ufnie wyrokom nauki i autorytetom profesorskim... Korczak jest buntownikiem w imię nowej, wciąż innej prawdy doświadczenia — twórcze „nie wiem“ jest jego dewizą. Ze śmiechem cytuje wojskowy dowcip: „To nie uniwersytet — tu trzeba myśleć“. Gniewa się na tabelki wzrostu, terminy rozwoju, dyktaturę zegara i wagi w stosunku do snu i pożywienia dzieci. W ostatniej swej książce dopuszcza się herezji mówiąc o medycynie i sposobach leczenia. A jednocześnie w każdej jego obserwacji, w każdej notatce objawia się pasja badacza, powaga i rzetelność uczonego.

Żadne sprawozdanie nie wydaje mu się dość dokładne... O śnie dzieci chce napisać dzieło. O nocy w sierocińcu — gruby tom...

Sprawie piłki nożnej, tak nowej i aktualnej, pragnie poświęcić „pięciotomowe dzieło“, cały tom o psychologii gry w piłkę nożną. Przy tym stwierdza swą niekompetencję w tej dziedzinie, był już bowiem dorosły, gdy się piłka nożna urodziła. I stwierdzając to, kładzie silny nacisk na rolę pomocniczą nowych wynalazków w sposobie naukowych badań. Na przykład: aparat filmowy dla utrwalenia obrazu budzącej się sypialni. Film naukowy na wielostronny użytek.

„Wychowawca będzie w przyszłości stenografem i kinooperatorem.

A parlograf, a radio? A epokowe eksperymenty Pawłowa?

A ów ogrodnik, który drogą krzyżowania czy też wychowania, otrzymuje róże bez kolców i gruszek na wierzbie?“

Wraz z fantastycznym rozwojem techniki wkraczają projekty badawcze Korczaka w świat nierealny, w międzyplanetarne granice i wymiary marzeń.

I tu dotykamy cechy bardzo istotnej u Korczaka-badacza: owego pierwotnego zdziwienia i zachwycenia, które każdy badany przedmiot czy objaw przyrównuje do cudu. Jest w jednym z dialogów „Pedagogiki żartobliwej“ rozmowa z dziećmi o drażliwej sprawie narodzenia. Jak pięknie i prosto mówi tu stary doktor: „Nie wiem. To tajemnica, cud...“.

Z dziedziny drobiazgowych poszukiwań, badań, stwierdzeń wkraczamy tedy w świat romantycznego zdziwienia, który tak ciasno łączy w baśni rzeczy realne i rzeczy niepojęte.

„Czary były i będą — mówi Korczak w „Kajtusię Czarodzieju“. Czy to nie czar, że z dwóch gazów możemy zrobić płyn, wodę, a wodę zamienić w twardy lód? Czy nie

czar, że możemy uśpić chorego i krajać, a on nie czuje? Czy nie czar, że piorun wozi ludzi w tramwajach i pali się pokornie w lampach elektrycznych i głos, i myśl naszą przenosi przez drut i bez drutu na tysiące mil? Możemy fotografować kości żywego człowieka. A mikroskop, teleskop i łódź podwodna? Aeroplan, radio...?”

Gdy coraz nowe odkrycia wybijają bramy na baśniową przyszłość wszechświata — podróż palestyńska pokazuje bliższe możliwości przemiany warunków i człowieka. Korczak badacz przygląda się tam uważnie owej ogrodniczkiej po prostu sprawie hodowli, krzyżowań fizycznych i uszlachetnienia ras. Pozostaje dalej wierny swej metodzie badania od podstaw. Interesuje go zarówno sprawa głodu i pragnienia u małych Palestyńczyków, jak próby opanowywania przestrzeni, nauki chodzenia bez interwencji starszych... Zagadnienie ssania palca u dzieci palestyńskich chce rozwiązać tak gruntownie, że postanawia sam ssać palce podczas całego następnego przejazdu z Europy do Haiffy...

Wierny swemu przeświadczeniu o wadze i wartości sprawy małego człowieka dla rozwoju i przyszłości świata, Korczak wszystkie cudowne zdobycze wiedzy chciałby ujarzmić i oddać w służbę dziecku.

A w olbrzymim arsenale środków naukowych przemilcza i omija instrument najważniejszy i najczulszy — swe własne serce.

„W dziedzinie uczuć dziecko jest inne. Więc nie odczuwać ale współrozumieć z nim dziecinnie, cieszyć się, kochać i smucić, gniewać, obrażać i wstydzic, obawiać się i ufać...”

Chcąc być przez całe swe życie uczonym, badając, mierząc, zapisując, wnioskując — w istocie każdą swą obserwację podszywa dreszczem wzruszenia. Intuicję, uczucie,

impuls wysuwa na pierwszy plan przed intelekt, suchą destrukcję. W bezpośredni sposób potrafi łączyć szkiełko i oko uczonego z romantyczną prawdą kochającego serca.

Na pierwszym wykładzie w Instytucie Pedagogiki Specjalnej zebrało się 23 słuchaczy. Czekali z zaciekawieniem na przybycie prelegenta. Był to rok 1919. Dr. Korczak przyszedł w swym oficerskim mundurze. Za rękę prowadził małego chłopczyka. Zapowiedział na wstępie, że wykład odbędzie się w gabinecie rentgenologicznym i tam też poprowadził zdziwionych słuchaczy. Dziecko kurczowo trzymało się ręki doktora, było trochę zaleknione obecnością tyłu obcych ludzi i ciemnością, w którą je wprowadzono. Szczególnie kiedy kazano mu się rozebrać i stanąć w tej ciemności przed dziwną maszyną czy latarnią... Wtedy zadrżało i złękło się jeszcze bardziej. Toteż grupka słuchaczy zgromadzonych w ciemności zobaczyła na jasnym ekranie obraz jego serca wzdymającego się i kurczącego niespokojnie rytmicznym ruchem oddechów, drgnięć, szybkiej i gwałtownej pulsacji. Korczak powiedział w ciemności cichym i wzruszonym głosem:

„Przyjrzyjcie się i pamiętajcie. Wtedy kiedy jesteście zmęczeni i źli, wtedy kiedy dzieci są nieznośne i wyprowadzają was z równowagi, wtedy kiedy gniewacie się i krzyczycie, wtedy kiedy chcecie karać w uniesieniu — pamiętajcie, że tak właśnie wygląda i tak reaguje serce dziecka...“.

Ta scena nie wymaga komentarzy. Jest piękna i wymowna. Dzięki promieniom Rentgena urzeczywistnia romantyczną treść i wyraża w najbardziej nowoczesnym skrócie, mickiewiczowskie „Miej serce i patrzaj w serce“.

MIŁOŚĆ I PARADOKS

Wielokrotnie czytałam powiastkę: „Bobo“ i ustępy z książki: „Jak kochać dziecko“. Ale nigdy nie zapomnę wyrazu z jakim Janusz Korczak pochylał się nad nowonarodzonym małym człowiekiem. To pochylenie mówiło więcej niż najpiękniejsze słowa, najbardziej rewelacyjna teoria. Trzeba było widzieć promiennosc zachwytu i rozczulenia, uśmiech nieśmiały i pełen wewnętrznego dziękczynienia, który rozjaśniał twarz mizerną i zmiętą w sieci zmarszczek, w zacerwienionych powiekach, usta ukryte w gąszczu siwiejącego zarostu. Dotykał ręką miękkiego ciemiączka, zaglądał w półślepe jeszcze, prawie szczeniące źrenice, sprawdzał, czy suną spojrzeniem za kiwającym się ponad nimi kluczem. Cieszył się dziecinnie, radośnie...

„O ja całuję te dzieci wzrokiem, myślą, pytaniem: czym jesteście cudowna tajemnico, co niesiecie? Całuję wysiłkiem woli: czym mogę wam pomóc? Całuję je tak jak astronom całuje gwiazdę, która była, jest, będzie...“

Uczucie do dziecka było najosobistszą sprawą w życiu Korczaka. To życie mogło wyzbyć się wielu zapałów i złudzeń, zubożec o pragnienia i nadzieje. Ale intymny stosunek do dziecka pozostał w nim, głęboki, żywy, wyzwalały się w nim najgłębsze potrzeby czułości, prawdziwa cześć, twórcze, nieśmiałe zamyślenie. Był jedynym wentylem dla uczuć zahamowanych tak gwałtownie w młodości.

Korczak obserwując, badając, wychowując, opisując — przede wszystkim kochał. Kochał kapryśnie, indywidualnie, czasem niesprawiedliwie — bo takie są cechy prawdziwej miłości. Ale skrupulatny i nieśmiały rzadko uzewnętrzniał tę swoją miłość.

Tylko zniecałkowaną można go było zaskoczyć w czulej scenie porozumienia z kilkulatkiem lub otoczonego przez całą gromadkę, która bez szacunku, z czułością klepała go po łysinie, macała twarz lub ciągnęła za brodę, czepiając się ramion i włącząc na kolana.

W korespondencjach wojennych z kampanii rosyjsko-japońskiej umieszczanych w „Głosie“, Korczak wspomina swoją podróż z frontu, pociągiem sanitarnym, pełnym rannych żołnierzy. Komunikacji między wagonami nie było. Doktor Goldschmit na stacji wchodził do wagonu „ciepłuszki“ i tam przez wiele godzin pozostawał sam na sam z żołnierzami pocieszając ich, deklamując im wiersze Kryłowa... Intymność sytuacji, zupełne odseparowanie od widzów sprzyjały porozumieniu i czułości.

Wobec widzów, świadków Korczak sztywniał i rozładowywał żartem sentymentalne napięcie.

Wrodzone, niezawodne poczucie humoru i znajomość psychiki dziecięcej umożliwiały porozumienie z dzieckiem na gruncie wspólnych żartów i zabawnych dyskusji. Szczególnie tam, gdzie burze i fermenty wieku dojrzewania wykraczały poza ramy ustalonych form, uniemożliwiały pieśczętę i zabawę — Korczak umiał wspaniale łączyć serdeczną wyrozumiałość z kpina i uśmiechem, zażegnawać bunty i wybuchy nerwowe żartobliwą dyskusją...

Sam kontrolował surowo swe uczucia w stosunku do dziecka i kładł hamulce zbyt dużym pieśczętom i czułościom rodziców i wychowawców. Ostrzegał przed nadmiarem uścisków i pocałunków, tak uciążliwych dla dziecka, a bę-

dących często formą wyżycia erotycznego dorosłych. Karę cielesną zwalczał nienawistnie uważając ją za sadyzm o podłożu zmysłowym.

„Szacunek dla dziecka“ naczelną dewizą pedagogiki Korczaka, połączona z ową żarliwą a utajoną miłością narzucały Korczakowi — pedagogowi coraz nowe pomysły. A pomysły te, nieraz rewolucyjne, śmiało do granic działości walczyły się z surowymi prawami życia.

Korczak przyznawał dziecku w teorii prawo do inności, do niezależności, do stanowienia o własnym życiu — uznawał nawet jego prawo do wczesnej śmierci. Wykpiwał dyktaturę zegara, wyznaczającą skrupulatnie porę posiłku i granice snu. Zbytnią opiekę rodziców uważał za zgubną dla psychiki dziecka. Latami całymi rozważał i eksperymentował na temat dziecka zbrodniczego i upośledzonego. Dla dzieci samotników projektował jeszcze u schyłku życia oddzielne pokoje ciszy i małe domki — pustelnie.

Ale w praktyce, w codziennej pracy wychowywania setek dzieci trudno było stosować owe nowatorskie poglądy, życie dawało zgoła inne, konieczne rozwiązania.

To też Korczak żądał miłości i wyrozumienia dla dziecka występnego. Potrafił w indywidualnym wypadku spędzać dziesiątki nocy nad łóżkiem chłopczyka, którego chciał odzwyczaić od nałogów. A jednak usuwał bezwzględnie z „Domu Sierot“ dzieci trudne o złych skłonnościach, które zagrażały, wedle niego, infekcją zbiorowości.

Korczak, który tak cenił samotność dziecka, był przez lata całe kierownikiem „Naszego Domu“, gdzie wszystko odbywało się zbiorowo i tłumnie, a brak intymności i izolacji był zmorą wychowanków.

Korczak, który w swej „Pedagogice Żartobliwej“ wygłaszał takie iskrzące się humorem paradoksy o śnie i jedzeniu dzieci, a matkom skarżącym się na brak apetytu

u swych malców odpowiadał słynną radą: — Niech Pan! postawi talerz i powie: Nie żryj. — Zje na pewno, — sam organizował w swych sierocińcach sprawę wstawiania i jedzenia na uderzenie gonga, na wyścigi, sprawnie i karnie. Zaś szkoła, krytykowana przez niego tak bezwzględnie za schematyzm programu, ciasnotę ducha i serwilizm — w przeciwieństwie do idealnej szkoły życia, kształcącej przez wysiłek twórczy, w pracy na roli czy wędrownie po kraju — zwykła warszawska szkoła powszechna czy rzemieślnicza musiała być także, wbrew teorii, codziennym przymusem dzieci z Bielan i z Krochmalnej.

Korczak zdawał sobie sam doskonale sprawę z tej rozbieżności praktyki i życia. Zmuszony zarówno reformować jak praktykować, pouczać jak organizować, gmatwał się na każdym kroku wśród sprzeczności myśli i życia. Wiedział, że doświadczać — to znaczy cierpieć. Niejednokrotnie stwierdzał prawdę — zrodzoną z bezsilności — że wychowawca jest słaby i bezradny zarówno wobec atawizmów i dziedzictwa przeszłości, jak wobec niewiadomej jutra i jego surowych praw. Poczował się do odpowiedzialności tylko za dzień dzisiejszy, nad którym czuwał. Ale i ten dzień dzisiejszy miał swoje brutalne, nielogiczne przymusy.

I stary Doktor próbował się z nim wciąż na nowo, buntował się, eksperymentował, zaprzeczał sam sobie...

Zmuszany przez okoliczności i przez swój wybuchowy przekorny temperament — prowokował i zaskakiwał, drażnił i zdumiewał, by z kolei zamykać się i chmurnieć w odosobnieniu.

W oficjalnych kołach, gdzie zapadały wyroki literackie, nie czytano go i nie doceniano jako pisarza. Konserwatywna pedagogika uważała go za szaleńca. Nagłymi

przeskokami myśli, nieoczekiwanymi sądami wzbudzał ferment i sprzeciw.

Trudno było ogarnąć bogactwo myśli i doświadczeń Korczaka. Jego życie wewnętrzne kryło w sobie patos najintensywniejszych przeżyć duchowych i zgrzyty sarkazmu.

Ale zarówno wagon - ciepłuszka, w którym mówił wiersze rannym żołnierzom, jak potem sala sierocińca pełna śpiących dzieci, pokoik na poddaszu w „Domu Sierot“ czy w mieszkaniu na Złotej 8, u siostry, nie były dostępne dla widzów, w chwilach poświęconych uczuciom i myślom.

Tam były książki, czytane zachłannie, żarliwie co wieczór i co noc. Bloczki, zeszytiki, całe bruliony notatek, obserwacji, planowanych i pisanych utworów. Tam szła przez lata całe i ich wiele nocy, poważna praca pisarza i myśliciela.

Skala jego lektury była szeroka, zakreślona granicami podstawowych ksiąg: Biblii i Marksa. Czytał po niemiecku, po francusku, po rosyjsku.

Miłość do niektórych ksiąg, nienawiść do innych trwała u niego przez całe życie.

Sentyment do wiersza W. L. Anczyca: Tyrteusz — przetrwał od czasów sztubackich do śmierci.

Nienawidził „Zaratustry“ Nietschego i mówił o tym jeszcze na ostatnich stronach przedśmiertnego pamiętnika.

Z niektórymi książkami jak „Żywe Kamienie“ Berenta klócił się i godził w sposób namiętny i dramatyczny.

Korczak był niezmiernie płodnym pisarzem. Wycofały z oficjalnego życia literackiego, niezależny od przodujących ugrupowań i panujących prądów, samotnie dochodził okólną drogą własnych doświadczeń, do ciekawych

zdobyczy formy, do surrealistycznych pomysłów, ekspresjonistycznych skrótów myśli i stylu.

Od pierwszych utworów młodziutkiego humorysty zarazem społecznika, którego sztuce patronowały jeszcze młodopolskie nastroje, istniała w literaturze Korczaka ta dwojakość nastawień — dopełniająca się i maskująca wzajemnie — czuły sentyment i ostre nieraz sarkastyczne spojrzenie satyryka.

Dwie jego książki — pierwsza: „Koszałki i Opałki“, i ostatnia: „Pedagogika żartobliwa“ to ramy jego twórczości na przestrzeni trzydziestu pięciu lat. — Śmiech przez łzy i gryząca ironia pierwszej, błyskotliwe prowokacje i herezje pedagogiczne drugiej, to właściwie ta sama forma reakcji na zwątpienia i smutki życia...

W całość pełni objawiała się ta dwoistość podejścia w stosunku do dzieci. Reagowały na nią rozmaicie ku uciesze obserwatora i eksperymentatora, jakim był Korczak. Raz z dąsem, kiedy indziej z uśmiechem przyjmowały pościągnięcie za ucho, pieszczotliwe muśnięcie ręką albo wymyślny epitet: — Ty gamoniu, ty barbarzyńco, Wandalu, Katyliino, inkwizycjo...

Czasami jakiś żart lub figiel pana Doktora — zastosowany nie w porę, wedle opinii dzieci zasługiwał na § 100 — naganę w kodeksie „Domu Sierot“ i pana Doktora nazywano przez jakiś czas: „Setką“.

Mała megierka odpowiadała na zaczepki uszczypliwie, a przedszkolak wzruszał ramionami i mówił: Co się mam z nim przyjaźnić, co on dla mnie za towarzystwo. Obcy jakiś człowiek!!

Trzyletnia osoba, na której pan Doktor eksperymentował swe teorie surrealistyczne, okazywała się właśnie realistką.

— Ile masz nosów? — pytał Doktor. — Nie, ile, ale jeden — odpowiadała dziewczynka. — Czy babcia fruwa? — Moja babcia jest człowiek, ptaszki fruują...

Mała zrazu próbowała dyskutować, potem przyświadczała skwapliwie, traktując dziwnego starego pana, jak wariata, którego nie należy drażnić, aż wreszcie zniecierpliwiła się.

— Doktoru, — oświadczyła — ja cię wyrzucę z mojego domu. Masz brzydką, gołą skórę na głowie i mówisz same głupstwa.

Trzeba było widzieć jak śmiał się wtedy Korczak. Ile zrozumienia, zmysłu humoru, uczucia objawiało się w każdym z takich nieporozumień. Śmiał się często, serdecznie... Ale równie często w chwilach gdy poczynały się z sobą ścierać wrogie indywidualności ludzkie, gdy buntowniczy indywidualizm wyrostka żądał praw i obalał zakazy, a protest, niechęć i smutek dziecięcy wybuchały oskarżeniem i żalem — z twarzy starego pedagoga opadała maska... W jasnych zmęczonych oczach świeciła czułość.

I wtedy nikt dorosły, ani żadne dziecko nie mogło się oprzeć sile tego ojcowskiego uczucia, które bezradne i żarliwe starało się na próżno ogarnąć i pogodzić całą trudną teraźniejszość, i całą niepewną gorzką przyszłość dużych i małych ludzi.

Wiosną 1940 roku wezwał mnie Korczak nagle do „Domu“ na Krochmalną. Chodziło wtedy o sztandar, którego ufundowanie zdawało mu się być bardzo ważne dla dzieci w czasach wojny i pogardy. Sztandar miał być poświęcony na grobie dwojga zmarłych wychowanków Domu. Właśnie przyniesiono oprawione podobizny fotograficzne tych dwojga: Esterki Weintraub, zmarłej w roku 1917 na tyfus plamisty i Józefa Sztokmana, który nabawił się zapalenia płuc we wrześniu 1939 r. podczas oblężenia Warszawy.

Pannę Stefę i pana Doktora zastałam pochylonych nad tymi fotografiami. Korczak może nie zauważył mego wejścia, bo nie przerwał kontemplacji uśmiechem ani powitaniem. Patrzał na twarze tych dwojga na fotografiach z wyrazem bolesnego natężenia, mrugając bezradnie powiekami. Był w tej chwili szczery aż do granic najintymniejszego cierpienia — bez maski. Olbrzymia siła uczucia wypowiadała się w tym bezradnym spojrzeniu ojca. Zśród tysięcy wychowanych zdrowo — umarło tylko tych dwoje. Statystyka orzekłaby: tak mało... Korczak nie rachował — cierpiał... Wszystkie bóle, namiętności i nadzieje ojca, cała wielka czułość uzewnętrzniały się w nabrzmiałych powiekach, łzawych oczach, w skrzywieniu ust, bruzdach czoła.

W sali rekreacyjnej, obok, wzmógł się hałas, ów charakterystyczny świegot: ptasi i dziecięcy, który słychać tam, gdzie mówi, śpiewa i krzyczy gromada małych istot. Trzasnęły drzwi. Jakaś dziewczynka z krótko ostrzyżoną główką wbiegła z zapytaniem i małą swą rękę położyła na dużej bezwładnej dłoni doktora...

Ocknął się. Spojrzał, zamrugał zaczerwienionymi powiekami. Uśmiechnął się żałośnie i słabo...

Prawda... Przecież umarło tylko tamtych dwoje, reszta jeszcze żyła, jeszcze kipiała od pragnień, od impulsów, poruszała się, biegła, śmiała w przestronnych ścianach tego jasnego domu.

A jednak zbliżało się, szło na świat coś przerażającego. Wielka sala dźwięcząca śmiechem i tupotem małych nóg przeistaczała się powoli, nieuchronnie w ponury nowicjat — nie życia — lecz śmierci.

I Doktor płacząc tak gorzko nad dwojgiem zmarłych, może już wtedy przeczuwał, że tę gromadę jeszcze żywych, jeszcze wesołych i ufnych powiedzie już niedługo pod zielonym sztandarem nadziei na ostateczną zagładę...

REDAKTOR

„Wierzę mocno w potrzebę pism dla dzieci i młodzieży, ale takich pism, których współpracownikami będą one same, które by poruszały tematy ważne i ciekawe dla nich“ — pisze Korczak w r. 1921 w swej broszurze „O gazecie szkolnej“.

Urzeczywistnianie tego poglądu rozpoczął już znacznie wcześniej na terenie wszystkich swych sierocińców. Gazetka tygodniowa była ważnym składnikiem życia na Krochmalnej, na Bogoutowskiej, na Cedrowej... Emocja pisania, ceremonia publicznego odczytywania dawała dzieciom wiele wzruszeń, wychowawcom wiele obserwacji. Pisały ją dzieci wraz z kierownikami. Doktor przez 30 przeszło lat istnienia „Domu Sierot“ — (wyłączając okresy kiedy znajdował się poza Warszawą) — nie opuszczał żadnej sposobności, by napisać tygodniowy artykuł wstępny. Pani Maryna w „Naszym Domu“ pisała również dużo i rzeczowo.

Ale Korczak niezależnie od osobistego zainteresowania, surowo osądzał ten wkład dorosłych w życie pisma. Dopuszczając teoretycznie ich współudział, którego nie uważał zresztą za niezbędny — starał się go ograniczyć i pozbawić wpływu na bezpośrednio dzieciennych wypowiedzi. Radził, by nauczyciel poprawiał błędy gramatyczne i ortograficzne i dodawał je jako „errata“. Bał się naśladowania stylu dorosłych. Wartość gazetki miała polegać na

szczerzej, nieskrępowanej wymianie sprawozdań, opisów, czasami pozornie błahych, czasami błędnie lub nieudolnie wyrażonych, czasem uderzających rewelacyjnością pierwotnej reakcji.

Rękopisy do gazetki wrzucał do skrzynki kto chciał. Redagowanie przez dorosłych polegało na przepisywaniu i odczytywaniu pisma. Odczytywanie było cotygodniową uroczystością. W „Domu Sierot“ czytał pismo sam Doktor rozrzucając w odpowiednich chwilach cukierki; w „Naszym Domu“ funkcję tę pełniła pani Maryna. Jak wielkie znaczenie przywiązywano w „Domu Sierot“ do gazetki szkolnej świadczy fakt, że podczas wojny i nieobecności Doktora, panna Stefa Wilczyńska prowadziła ją sama bez przerw, w najtrudniejszych moralnie i gospodarczo czasach.

Kiedy w roku 1919 powstał „Nasz Dom“ w Pruszkowie — gazeta powstała jednocześnie z nim.

23 listopada 1923 roku pisał Korczak: „Będzie w „Naszym Domu“ gazeta, do której każdy może pisać co mu się podoba. Kiedy już gazeta będzie gotowa, przeczytamy ją sobie. Dziś czytamy pierwszy raz tę gazetę. W gazecie będą różne wiadomości: co się u nas dzieje, kto przyjechał, kto wyjechał, kto zdrowy, kto chory, kto pomaga, kto przeszkadza, czy jest dobrze, czy źle. Jeżeli źle, można napisać co robić, żeby było lepiej.

Każdy, kto chce coś zmienić, jeżeli mu coś brakuje, jeżeli jest niezadowolony, niech napisze do gazety. Czasem ktoś wstydzi się powiedzieć, a chętnie napisze. Czasem zdaje się, że ktoś jest wesół, a on ma zmartwienie i nikt o tym nie wie. Czasem ktoś wie, jak zrobić, żeby był porządek, a nie mówi nic, bo zdaje mu się, że nie wolno się wtrącać. Ale do gazety każdy wszystko chętnie napisze, więc kto chce do gazety napisać, dostanie papier albo zaraz, albo później i niech się prędko bierze do pisania“.

Korczak uważał swe uczestnictwo w dwóch równorzędnie wychodzących gazetach „Domu Sierot“ i „Naszego Domu“ za działalność ważną i umiłowaną... Ale nie mogła mu ona wystarczać. Z biegiem lat w miarę rozszerzania się horyzontów literackiej i wychowawczej pracy, coraz bardziej dojrzewiała myśl o wielkim piśmie dla wszystkich dzieci, poruszającym wszystkie zagadnienia dziecięcego życia, będącym wyrazem utopijnej idei o autonomii dziecięcej.

Zmontować, zaryzykować taki organ prasowy dzieci nie było łatwo. Miało to posmak rewolucyjny i mogło wzbudzić negatywną reakcję świata dorosłych. Toteż, gdy w roku 1926 wielki dziennik w Warszawie „Nasz Przegląd“ wydawany w języku polskim dla mieszczaństwa żydowskiego — poszedł na ryzykowną koncepcję Korczaka, gwarantując mu wolną rękę i niezależność — Korczak rozpoczął realizowanie projektu. Przystąpił do pracy z całym zapędem, chociaż pismo tego typu oznaczało znowu zwężenie szerokich horyzontów, o których marzył, ograniczenie się do dzieci jednego wyznania, a często i środowiska, a także uzależnienie się od przewodniej idei pisma.

„Mały Przegląd“ zaczął wychodzić jako dodatek tygodniowy do „Naszego Przeglądu“, jesienią 1926-go roku.

„Pismo będzie rozważało wszystkie sprawy uczniów i szkół — zapowiadał redaktor Korczak na wstępie: — A redagowane będzie tak, żeby bronić dzieci. Pismo pilnować będzie, żeby się wszystko działo sprawiedliwie. Redaktorów będzie trzech. Jeden stary (łysy w okularach), żeby nie było bałaganu. Drugi młody redaktor dla chłopców i jedna dziewczynka — redaktorka dla dziewczynek. Żeby się nikt nie wstydził i każdy mówił szczerze i głośno, co mu potrzeba, jaka mu się krzywda dzieje, jakie ma zmartwienia i troski. Kto chce może powiedzieć, kto

chce może przyjść i napisać na miejscu w samej redakcji. Stali współpracownicy będą mieli własne biurka albo szuflady.

Temu kto się krępuje, że brzydko pisze albo z błędami, redaktor powie: — Nie szkodzi. W korekcie się poprawi. Albo jeżeli zupełnie nie zechce napisać, redaktor zadzwoni na stenografa i powie: — proszę!

Wejdą do osobnego pokoju i tam podyktuje.

Wiadomości będzie można podawać ustnie, telefonicznie i przesyłać pocztą, dyktować lub pisać.

Żeby było wygodnie, żeby się nie wstydzieli, że się będą śmiali. Jest wielu ludzi dorosłych, którzy piszą tylko dlatego, że się nie wstydzą, są dzieci, które mają bardzo wiele ciekawych pomysłów, uwag i spostrzeżeń, a nie piszą przez brak odwagi, albo im się nie chce.

Dodatek nasz zachęci młodzież do pisania.

Zachęci i ośmieli“.

Zespół redakcyjny nowego pisma zorganizowany był właśnie na zasadzie współpracy dziecięcej. Młodzieńca redaktorka dziewczynek, kilkunastoletni referenci i reporterzy współpracowali dzielnie w montowaniu wiadomości. Korczak angażując młodego referenta działu rozrywek naukowych oświadczył mu, że legitymuje go przede wszystkim jego niekompetencja i że on, Korczak, osobiście nie znosi ludzi zbyt kompetentnych.

Pracownikom redakcji, nawet najmłodszym, płacono pensje, wierszówki, tak jak dorosłym. Korczak chciał początkowo uwzględnić w piśmie działy analogiczne jak w dziennikach dla dorosłych, rubrykę wypadków, artykuły polityczne. Nie chwyciło. Działy te skasowano. Pozostały jednak działy: Z kraju. Wiadomości bieżące. Co u nas słychać. Dom. Koledzy. Z miast i miasteczek. Rozrywki umysłowe.

Do tych działów od pierwszej chwili wpływa mnóstwo artykułów pisanych przez dzieci i nie mniej listów przysyłanych do redakcji.

Korespondentów stałych było już w pierwszym roku 200, listów przychodziło od 8 do 10 tysięcy. Z reguły ogłaszano wszystkie listy i wiele artykułów. Doktor z najwyższym szacunkiem traktował ten materiał, którego potem tyle narosło, że już nie można go było zużytkować, a nawet i przejrzeć. Ale z zasady niczego w redakcji nie niszczone. Paczki zapisanych kartek z nadpisem „materiały“ przechowywał Korczak do późniejszego zużytkowania. Jednocześnie starał się na gruncie pisma przy wymianie zdań wywierać i wpływ pedagogiczny. Zabawnie i dobitnie osądzał więc zbyt wybujałe ambicje literackie, tępił przesadę i frazeologię w utworach młodych autorów, doradzał sposoby postępowania. Nie dopuszczał także plagiatów, żądał samodzielnego, szczerego pisania.

Czasem te polemiki są pełne tak charakterystycznego dla Korczaka humoru. Czasami mają ton poważniejszy, kiedy chodzi o zwalczanie egzaltacji, przesady, kłamliwych a utartych wyrażań.

Właściwa Korczakowi tendencja walki o swe prawa, osądzania wszechwładzy a nawet krytykowania dorosłych położyła na piśmie mocne piętno. Dziewięcioletni Roman za pośrednictwem redakcji upomina się u wuja o rower, który miał dostać za postępy w nauce. Korczak zatytułował odnośny artykuł: „Wuju, zbieraj pieniądze“. I wuj sprowokowany wywiązał się z obietnicy. Kiedy indziej ośmiolatek skarżył się, że każą mu w domu nauczyć się całej tabliczki mnożenia i nie pozwalają budować aut z krzeseł. I tutaj Korczak doradza rzeczowo, jak uczyć się tabliczki mnożenia po trochu i jak pertraktować z rodzicami. Ten skarży się na nauczyciela, kto inny na kolegów.

Ton w stosunku do dorosłych jest raczej wyzywający a pełen pretensji, sprzyja temu rewizjonizm i buntownicze idee Korczaka. Czasami i on sam obrywa przy sposobności. Ktoś napisał, że „pan Korczak jest stawiając...”

Gdy piśmienna wymiana zdań wkracza na teren bołaczek osobistych, okazuje się potrzebna — bliższa, ustna rozmowa albo i wizja lokalna.

Redaktor chce zobaczyć, porozmawiać, żeby móc osądzić. Dzieci zaczynają przychodzić na wezwanie do redakcji, aby zobaczyć się ze starym łysym redaktorem w okularach, który jest taki kochany, mądry i śmieszny.

Tak powstają czwartkowe zebrania w redakcji „Małego Przeglądu”. Korczak objawia na nich cały wdzięk i humor swego usposobienia. Interesuje go wszystko: nie tylko stopnie i scysje z tatą czy mamą, ale czystość paznokci, dziury w zębach i stan zelówek. Na wszystko znajduje jakąś pomoc i radę. Czasem zaprasza małych gości na ciastka. Raczy się wraz z nimi lodami lub parówkami w wędliniarni. Jeden z młodocianych redaktorów działu rozrywek wspomina po latach te dialogi i sympozjony, jako pierwszy swój klub literacki.

Zapożyczona od „Domu Sierot” forma premiowania przez barwne pocztówki z napisem okolicznościowym, przyjmuje się również i na terenie „Małego Przeglądu”.

Zaczynają więc kursować pocztówki zachęty, pocztówki uznania, potwierdzenia, pocztówki mające uświęcać setny artykuł autora w piśmie itp.

Liczne konkursy podsycają ambicje, liczne działy klasyfikują materiał, w którym wypowiada się zarówno mały pętaś siedmioletni, ledwo stawiający litery, jak zbuntowany sceptyk w wieku dojrzewania, tak samo gazeciarz w podartych spodniach, jak „bananowe dziecko” miejskiej

burżuazji, przekarmione słodyczami i dozorowane przez sztab opiekunek.

Nic dziwnego, że przy takiej różnicy poziomów, wieku i zainteresowań oraz swobodzie wypowiedzi — całość „Małego Przeglądu“ wyglądała nieraz groteskowo. Gdy jeden z wycinków pisma dostał się do Camera Obscura „Wiadomości Literackich“ — wyśmiany za jakiś błąd językowy czy nielogiczność — Korczak wzruszył ramionami:

„Dorośli zawsze wyśmiewają się z dzieci — powiedział. — Dlatego dzieci ukrywają przed dorosłymi swe myśli i pragnienia. My nie możemy ukryć „Małego Przeglądu“ przed dorosłymi, nie możemy go przecież kolportować jak tajną propagandową bibułę, drukowaną w konspiracyjnych drukarniach. Trudno...“.

I dzieci dalej pisały swe naiwne, często nieudolne artykuły. Z biegiem lat zajmowały one coraz więcej miejsca na łamach pisma. Współpraca Korczaka tak ciekawa i bujna w pierwszym okresie zaczęła się kurczyć. Kiedy mu zarzucono, że rozbudzając w dzieciach zbyt nieambicje literackie podsyca i hoduje grafomanię, oświadczył:

„— Grafomania nie jest niebezpieczna — niebezpieczny jest tylko analfabetyzm. Grafomania jest zdrowym zjawiskiem w kulturalnym społeczeństwie. Uczenie dzieci żydowskich, aby dobrze pisały po polsku, to piękne i potrzebne zadanie. Dzięki temu pismu całe zastępy dzieci nauczyły się korzystać ze skarbu, jakim jest język polski“.

Zmontowawszy i puściwszy w ruch swe wielkie przedsięwzięcie, uczyniwszy z niego pismo mas dziecięcych, Korczak powoli zaczyna wycofywać się z tej pracy. „Mały Przegląd“ prowadzi tylko 4 lata od 1926 do 1930 roku. Opuszcza stanowisko redaktora, pozostawiając je swemu sekretarzowi i przyjacielowi, Igorowi Abramowowi. Ciekawe jest, że nowy redaktor pisma, który przy ogromnym po-

wodzeniu i ciekawych rezultatach prowadził je do wybuchu wojny — nie był Żydem.

Jego kierownictwo zmieniło nieco charakter pisma, uczyniło go raczej organem młodzieży ideowej, postępowej, humanitarnej. Na tle przedwojennej Warszawy było to zjawisko niezwykle, ten olbrzymi zespół młodzieżowy, do którego przystąpiły także i niezależne elementy polskie, a który jednoczył komunistów i syjonistów, Polaków i Żydów, dzieci proletariatu i burżuazji pod wspólnym hasłem miłości człowieka, prawdy i pracy. „Mały Przegląd“ rozrósł się w ogromny organ wspomagany przez koła prowincjonalne korespondentów, posiadający własne obozy wakacyjne i sportowe, zawody, własną stocznię, sekcję kajakową, koła naukowe, filmowe, literackie, fotograficzne itd.

Dlaczego Korczak porzucił tak wspaniale rozwijającą się imprezę? Czy zgodnie z tym, co powiedział jednemu ze swych młodych współpracowników, nudziła go praca zorganizowana i puszczona w ruch? Czy porwały go inne projekty i cele? Czy zaniepokoił i podrażnił stempel syjonizmu pieczętujący jego pismo? Czy też może zapragnął w nowej formie na szerszym terenie oddziaływania wznowić swe plany pisma uniwersalnego, potężnego, dla wszystkich dzieci Polski?

Wiemy, że nie porzucił tej myśli. Znamy nawet smutny i zabawny epizod jego dalszych prób w tym kierunku.

W r. 1937 pewna młoda dziennikarka warszawska ułatwiła mu kontakt z dwoma redaktorami jednego z największych prorządowych i świetnie prosperujących koncernów prasowych w Warszawie. Panowie ci nosili się z myślą założenia wielkiego ilustrowanego pisma dla dzieci. Nazwisko Korczaka mogło być interesujące dla realizacji tego planu. Dziennikarka najbardziej życzliwa Kor-

czakowi opowiadała mnóstwo cudów o oryginalności pomysłów starego pedagoga i pisarza, o lukratywności i przypuszczalnym rozgłosie samego przedsięwzięcia. Umówiono więc datę spotkania.

Dwie godziny przed terminem zatelefonował Korczak:

— Proszę Pani. Jestem teraz w „Naszym Domu“ na Bielanach. Szczepię dzieciom ospę i jestem w moim codziennym ubraniu. Czy dla tych panów trzeba być bardzo eleganckim? Bo jeżeli tak, to ja zaraz zadzwonię na Krochmalną. Przyjdzie chłopak z „Domu Sierot“ i przyniesie tam do redakcji moje nowe ubranie, na kiju. Żeby zobaczyli, że je mam.

Taki był wstęp... A spotkanie?

Przeżazona dziennikarka uchyliła wprawdzie niebezpieczeństwo przyniesienia ubrania na kiju. Ale wspaniali redaktorzy z pewnym niepokojem patrzyli na tego niepozornego, nieśmiałego pana w okularach, który miał wytarte rękawy i wygniecione spodnie.

— Więc jak wyobraża sobie Pan Doktor koncepcję nowego pisma? — spytali po wstępnych ceremoniach sadowień się, pochrząkiwań, częstowania się papierosami.

— Ja... — Korczak nie był naiwny, od razu ocenił sytuację, wszystkie pro i contra swojej sprawy. — Ja — powiedział słodko, z przekornym, złośliwym błyskiem w swych łagodnych oczach. — Chciałbym, aby to pismo było zabronione przez Ministerstwo, wyklęte przez rodziców i pedagogów, żeby nikt z dorosłych nie chciał go dzieciom kupować, ale żeby dzieci kupowały je same za pieniądze zwędzone rodzicom.

Redaktorzy spojrzeli na mówiącego smutnie i grzecznie a poważnie jak na wariata. Perspektywa nie była zaiste nęcąca dla tych, co liczyli się tak bardzo z autorytetami i uzgadniali swą działalność z opiniami oficjalnymi. Obie-

cano wprowadzie dziwaczemu jegomościu rychłą decyzję, ale nikt już nie pytał o jej wynik.

Korczak włożył płaszcz na swe zniszczone, robocze ubranie i wolno odszedł w kierunku „Domu“ przy Krochmalnej, zamyślony i pochylony.

Nikommu już więcej nie proponował finansowania wielkiego pisma dla dzieci.

Zresztą gdzie tu było dla niego odpowiednie miejsce między dwiema alternatywami — szowinizmu żydowskiego, a wzrastającej z każdym dniem potęgi sanacji.

Cicho i cierpliwie pisywał odtąd co tydzień artykuły do Gazetki „Domu Sierot“.

SENAT SZALEŃCÓW

W sezonie zimowym 1930/31 rozpoczął Stefan Jaracz montowanie swego teatru Ateneum w Warszawie. Poszukiwał w tym czasie jak najbardziej sztuk polskich, oryginalnych związanych z zagadnieniami współczesnego życia.

Gdzieś w końcu pierwszego roku istnienia teatru, wiosną czy latem 1931 roku zjawił się u Jaracza niespodzianie, bez żadnych zapowiedzi i posłów, skromny, cichy pan i przedstawił mu rękopis napisanej przez siebie sztuki.

Nazwisko — Janusz Korczak — na pewno coś tam mówiło człowiekowi tak pełnemu zainteresowań i wszechstronnego polotu, jakim był Jaracz. Wątpliwe jest natomiast, czy czytał książki tego autora kierowane przecież zazwyczaj pod adresem dzieci i pedagogów. Przeczytał natomiast od razu sztukę pod dziwnym tytułem: „Senat szaleńców“. W swej twórczej pracy dyrektora i reżysera nie miał wielu pomocników, a wiadomo, że obywatel się bez lektora. Nie uzależniał również swych decyzji od jakichś nadrzędnych racji wysokich czynników, czy ministerialnych areopagów. I temu prawdopodobnie przypisać należy, że dziwna, niezbyt sceniczna sztuka Korczaka tak szybko ujrzała światło ramy.

Stefan Jaracz zapalił się do niej, po prostu trafiła mu niezwykle do przekonania. Z ogromnym nakładem sił i inwencji reżyserował ją, przystosowywał do sceny, zagrał w niej po mistrzowsku główną rolę obłąkanego księ-

dza. Spodziewał się dużego oddźwięku. Sztuka jednak nie chwyciła, upadła dość szybko. Była zbyt abstrakcyjna i zbudowana nie wedle szablonu dostępnego smakowi przeciwnego warszawskiego widza, operowała skrótami i symbolami, które okazały się zrozumiałe i wieszczce dopiero w perspektywie późniejszych zdarzeń.

Jeszcze raz w nowej dramatycznej i pełnej napięcia formie zapragnął Korczak pokazać ludziom wizję współczesnego świata.

Z perspektywy swego odosobnienia, w którym odczuwał nieraz boleśnie owo dzianie się poza nim życia i historii — widział jednak i rozumiał sens czy bezsens ludzkich spraw. Widział je z przekornym sarkastycznym uśmiechem gorzkiego obserwatora, z pobłażliwym westchnieniem mędrca, z rozpaczą i wiarą skrzywdzonego a jednak ufego człowieka.

Już w r. 1926 starał się ująć obraz polskiej rzeczywistości w ramy króciutkich dialogów. „Bezwstydnie krótkie“, bardzo zabawne na pozór a dramatyczne w swej istocie spięcia rozmaitych poglądów i wizji codzienności mogły wzbudzić serdeczny śmiech albo absolutnie nie być zrozumiane.

Teraz horyzonty się zaciemniły. Szedł kataklizm na świat, kataklizm, którego pierwszych burzliwych tchnień jeszcze na ogół nie przeczuwano.

To ciekawe, że właśnie Janusz Korczak, tak daleki od konfliktów i gwaru intensywnego szybkiego życia, pierwszy podchwycił uchem artysty ów głos, którym przemawia rosnąca obłąd świata.

W jego domu wariatów kilka postaci marginesowych to ludzie normalni. Reszta, główni aktorzy, wyraziciele rozmaitych poglądów i stanów ducha — to sami obłąkani.

Urazy psychiczne i fobie, konflikty ludzkie, nienawiść, strach i miłość znajdują w tych postaciach swój wyraz, podobnie jak różne walczące z sobą światopoglądy. Wariat, któremu się zdaje, że ma szatana pod korzeniami zęba i wariat, który pragnie przewiercić ziemię na wylot, wariat, który szuka nowej religii, mającej rozwiązać zagadkę bytu i zbawić świat, wariat, który nosi skrwawione, przebite strzałą serce sentymentalnego kochanka, wariat, który chce musztrować ludzkość rozkazem pruskiego żandarma — są upostaciowaniem wszelkich ujemnych typów i tendencji współczesności.

W drugim akcie sztuki ci wszyscy obłąkańcy zbierają się na naradę. Wstrząsające posiedzenie „senatu szaleńców“, na którym każdy wygłasza swoje poglądy, proklamuje własne obłąkanie, mówi tylko o sobie, przeoczając i wymijając krzyżujące się i przeciwne poglądy drugiego — to obraz antagonizmów i nieporozumień pchających w anarchię współczesny świat. W zgiełku obłąkanych pasji i chęć nie może się wywiązać żadna logiczna dysputa, żadna wymiana zdań czy porozumienie lub konsolidacja. Powstaje tragiczny chaos.

A potem główny bohater, obłąkany ksiądz szukający bezustannie Boga, wychodzi poza ramy sztuki, siada przed rampą i opowiada małemu chłopcykowi bajkę.

Ta bajka słuchana przez widzów z największym zrozumieniem i uwagą, dzięki talentowi interpretatorskiemu Jaracza i liryzmowi Korczaka, kończyła sztukę. Zbłąkany i głodny idei prorok opowiadał w niej Jankowi, małemu synkowi dozorczy, o perle prawdy zagubionej w zamęciu świata, perle, którą odnajduje dziecko w kielichu kwiatu.

Wiara Korczaka w odrodzenie świata i jego wad i grzechów przez dziecko — doszła więc tu znowu do głosu.

„Dziecko spełni główną rolę w duchowym odrodzeniu człowieka. Jestem tego pewien“ — pisał do końca. (Listy).

Sztuka „Senat szaleńców“ nie szła długo w repertuarze teatru Ateneum, rękopis jej, nigdy nie drukowany, zginął podczas wojny. Nie ma już Jaracza, który mógłby zaświadczyć, jaka prawda idei i wizja tragiczna zafascynowała go w tej sztuce. Nie ma także autora.

A dopiero dziś, po wojnie, zrozumieliśmy, co chciał powiedzieć Korczak ustami swych obłąkanych bohaterów i upiorną wizją skłóconych nieprzytomnych pasji. Jaka intuicja kazała mu w czasach, gdy hitleryzm dopiero się rodził, ująć jego ideologię w tak syntetycznej i wymownej formie i wypowiedzieć twardym słowem generała. Ile z jego własnych tęsknot i przeczuć było w poszukiwaniach księdza-proroka.

Przyjaźń Janusza Korczaka ze Stefanem Jaraczem musiała mu dać wiele duchowo.

Kontakt nie urwał się wraz ze zdjęciem sztuki z afisza. W listach pisanych w r. 1935 do przyjaciół w Palestynie wspomina Korczak:

„Namawiam Jaracza, aby do was pojechał. Mógłby wziąć kilku artystów z małymi rolami. Pomogą mu wasi chłopcy i dziewczęta, może też i ja... Może w lecie uda mi się napisać coś dla niego i dla was. To wielki artysta. On godny was, a wy jego...“.

Wiemy również, że w porozumieniu z Jaraczem nosił się Korczak z myślą napisania drugiej części swojego dramatu. Nigdy jej nie napisał. Może zbyt szybka realizacja przeczutej wizji odebrała mu siły.

Zamęt i obłęd świata rósł. Groźny generał podniósł głos i odsłonił twarz. I prorok zbłąkany wśród brutalnych namiętności, wystraszonych wyznawców i martwych do-

gmatów, wyszedł za rampę teatru i zawahał się nie wiedząc, którą drogą ma prowadzić ku prawdzie swą jedyną nadzieję — małe, bezbronne, ufne dziecko. Jeszcze nie przeczuwał, że obłąkany generał każe mu je poprowadzić tak grzecznie za rączkę — prosto do pieca krematorium.

ZIEMIA OBIECANA

Uczniowie, przyjaciele, którzy już wcześniej wylądowali jako pionierzy w Palestynie, długo namawiali Doktora na wyjazd, czy chociażby wycieczkę do Erec Israel. Odmawiał, wahał się. Z daleka, na podstawie relacji i rozważań czuł się obcy sprawom syjonizmu.

„Zaklimatyzowaliśmy się na ziemi sosen, śniegu i diaspory fizycznie i moralnie — pisze do przyjaciół w roku 1928. — „Próba związania dwóch końców nitki, która została zerwana przed dwoma tysiącami lat — jest trudna. Uda się ona, bo tego żąda historia, ale ile wysiłków i cierpień...

Za mało mi zostało życia, aby poświęcić dziesięć lat na asymilację fizyczną i duchową w nowych warunkach oddychania, widzenia i trawienia. Na razie nie czuję potrzeby zobaczenia, wystarczy mi to, co czytam i myślę.

Problem „człowiek“, jego przeszłość i przyszłość na ziemi rzuca dla mnie cień na problem „Żyd“.

Było to w czasie, gdy Korczak w ogniu swych twórczych i wielostronnych zainteresowań i prac czuł się potrzebny, ustalony w pewnym miejscu oraz formie działalności, gdy był prawie szczęśliwy.

W Pamiętniku swym tak określa te czasy: „7×7. Czym właściwie jest życie, czym jest szczęście? Byle nie gorzej, byle tak właśnie jak teraz... Gazeta — pozornie tylko bezmyślna literatura — a choćby nawet. Bez gazety nie moż-

na, są artykuły wstępne i odcinek powieści i nekrologi i sprawozdania z teatru i z sądu. Kino — nowy film. Nowa powieść, drobne wypadki i drobne ogłoszenia. Wszystko nie tyle ciekawe, ile do wyboru...

— — — — —

Szerokie koryto, rzekłbym, majestatycznie płynącej Wisły — takiej właśnie jak pod Warszawą.

Moje miasto, moja ulica, mój sklep, gdzie stale kupuję, mój krawiec, co najważniejsze — mój warsztat pracy.

Byle nie gorzej. Bo gdyby można powiedzieć słońcu: stań — to chyba teraz...“.

Słońce nie stanęło. Lata, które dzielą to oświadczenie Korczaka od jego pierwszej podróży do Palestyny zaznaczyły się w dziejach Europy ciężkimi krokami kryzysu i wzrostu faszyzmu.

Korczak wyrusza do Palestyny latem 1934 roku na 6 tygodni. Zdumiony, oczarowany bogactwem treści i cudem dokonań, które tam zastał, powraca jednak z kibucu Ejn Harod, gdzie spędził większość czasu, do Warszawy jak do własnego domu. W liście do małej Mii Symchoni pisanym po powrocie tłumaczy jej cierpliwie, że w Polsce, w Warszawie, są także polskie dzieci. „Jutro jadę do polskich dzieci, w piątek do żydowskich“ — pisze. — „Teraz będzie chanuka, robią na nią menorę. A po chanuce jest święto polskich dzieci. Tam jest znowu choinka...

„W poniedziałek badam dzieci w Sądzie Śledczym. We wtorek i środę mam wykłady. Czwartek i piątek — „Nasz Dom“. Piątek i sobota — „Dom Sierot“. Niedziela — pisanie. Referaty, posiedzenia, różne sprawy męczące i trudne. Tygodnie mijają jak godziny...“ (Listy).

Gdzie tu w takim natłoku spraw i zajęć zmieścić myśl o innym życiu i nowej ziemi?

„Mój punkt widzenia w sprawie Palestyny jest nieaktualny“ — zarzeka się Korczak w liście. Nie chcę się deklorować. Zobowiązanie zbyt ciężkie. „Co ja będę robił podczas drugiego mego pobytu u was, jeżeli maszyna do obierania kartofli zastąpi mnie. Dość krów nie pozwalacie, a do pracy na roli jestem za stary“ — pisze gdzie indziej.

W kibucu palestyńskim każdy ma swoją pracę. Stary Doktor obierał kartofle, przyglądał się, rozmawiał, chodził po skalistych drogach w upalnym słońcu, zbierał kamyczki i wrażenia. W ciągu 6 tygodni powstało 940 notatek.

To co go uderzyło na tej ziemi, to znowu przede wszystkim problem dziecka — ale także poprzez tę kwestię porywające zagadnienie regeneracji, odmiany rasowej człowieka.

Korczak znalazł tu w ziemi kamieni i gwiazd ten patos wiary i heroiczny upór, który odmieniał ludzi, zachwycał się nową rolą Żyda-rolnika — tak bliską jego skłonnościom do uwielbienia ziemi i przyrody. Tutaj drzewo, piła i młot zastępowały europejski snobizm dyplomów. Umysł żydowski wypoczywał. Trud wysiłków, ofiar, żmudna, bezinteresowna praca chaluców wydawała się godna epepej i hymnu, budowała w znoju nowe życie. Prawdy były twarde i wieczne. A jednak w opowiadaniu pt. „Religia dziecka“, w którym opisana jest wizyta starego ojca-lekarsza z Europy u syna osiedlonego w Palestynie, wyjawia Korczak wiele własnych uczuć. Owo bolesne nieporozumienie, obcość hieroglificznych liter pisanych od prawa w lewo, ciężkość milczeń bez pytań i odpowiedzi, na pewno i jego dręczyła w pierwszym zetknięciu z problemami Erec Israel.

W notatkach palestyńskich stwierdza:

„Inny stosunek do Boga i moralności. Inna flora. Inna trawa, nawet sosna — też inna, obca kora i igły. Inne po-

żywienie. Wszystko obce do rozpaczy. Rozmawiałem z la-sem palestyńskim na rannym spacerze, nie mogliśmy się porozumieć nawzajem...

Starcy żalą się w szczerzej rozmowie z Korczakiem: „Chciałbym przed śmiercią zjeść jeszcze talerzyk malin. Co to za kraj, że nie ma w nim truskawek? Co to za kraj, że dziecko nie zna żydowskiego? Przyznają jednak: Inny świat, ale moim dzieciom jest w nim dobrze...”

Gdy syn pyta ojca ostrożnie: Czy nie zamierzasz tu zostać? — ojciec odpowiada: „W moim wieku nie łatwo jest zmienić tryb życia. Ty znalazłeś kąt do pracy. Mój jest tam”.

Potem dziecko zrodzone już, jako mały „sabra“ na ziemi obiecanej przychodzi i kładzie jedną małą rączkę na rękę dziadka, a drugą na rękę ojca. I to okazuje się rozwiązaniem sprawy... („Dzieci Biblii“).

Stary ojciec — „Pan Doktor“ z Krochmalnej w Warszawie rozumie dobrze, że musi znaleźć jakąś inną przyszłość, drogę życia dla swych dzieci zagrożonych przez nienawiść, duszących się na niezyczliwym terenie, gnębionym przez nastroje rasistowskie przynoszące infekcję z Niemiec i szerzące ją w kraju. Dla nich, dla młodych, dla silnych musi wierzyć w owocność i siłę wspaniałej twórczej pracy palestyńskiej. Im tłumaczy, że tęsknotę można wyrwać z serca, że ludzie zapuszczają korzenie w obcy grunt — dodając tylko na stronie, jakby do siebie: „Są ludzie, co nie zmieniają się i nie zapominają...”.

Sam w stosunku do Palestyny, mimo zachwyty i po-ciągu do jej spraw, czuje się wciąż widzem. „Nie znam języka hebrajskiego, jego poetów ani pisarzy. Nie znam nawet hebrajskiej literatury. Jestem turystą, który pragnie poznać pracę i wysiłek, jak ktoś, kto patrzy przez dziurkę od klucza, a przeszkadza mu upał i wiatr. On zaś rozumie.

że wiatr ten jest błogosławieństwem ziemi, ale sam źle znosi klimat, do którego nie jest biologicznie przystosowany...“.

W 1936 roku 15 lipca wybiera się Doktor w drugą swą podróż do Palestyny. Tym razem chce poznać życie szomrów — poznawszy już poprzednio życie chaluców. Interesują go gospodarstwa indywidualne — moszewy i ortodoksi (wieś cadyka z Jabłony). „Jeśli można, miesiąc w Nazarecie i Jerozolimie. Plan bogaty na 2½ miesiąca“.

Jest już wtedy bardzo zmęczony złą sytuacją polityczną, przecuciami, które go dręczą i którym chce przeciwstawić swą wiarę w lepszą przyszłość ludzkości. W depresji przyznaje się do poczucia słabości i twierdzi, że podróż do Palestyny to jego ostatni wysiłek w życiu.

W takim nastroju bezsilności i osłabienia woli porywa go mocniej niż poprzednio, już w ogniu pierwszych walk żydowsko-arabskich, patetyczna idea syjonizmu.

Tylokrotnie kwestionowany i komentowany stosunek Korczaka do syjonizmu, jego pozornie niespodziewany związek z ideologią, której zdawał się przez całe życie obcy jako Polak — wynika konsekwentnie z podwójnej przyczyny, z własnych skłonności duchowych i sytuacji ogólnej.

Palestyna była dla niego w tym krytycznym okresie ziemią twórczości, wysiłku duchowego i fizycznego. Jego ciekawość podsyciła sytuacja ogólna i klęska osobista.

Charakterystyczne dla Palestyny jest bowiem to, że obywatele przysparzają jej katastrofy środowisk żydowskich w Europie. Prześladowania carskie, kryzysy gospodarcze w Polsce, hitleryzm w Niemczech zasila falami zamieszanych i zrozpaczonych jałowy, pustynny grunt biblijnej ojczyzny. Zainteresowanie Korczaka Palestyną zrodziło

się także z zagrożonej przyszłości jego dzieci i z własnej tragedii...

Korczak po powrocie z drugiej sześciotygodniowej swej podróży do Erec, i po kilkumiesięcznej depresji nerwowej powziął nagle tragiczną decyzję wyjazdu z Polski, powrotu do Palestyny i osiedlenia się w niej na zawsze.

Było to w roku 1936. Dwie ciężkie klęski osobiste, zraniona ambicja i beznadziejność ogólnej sytuacji — po okresie bezsilnej rozpaczki ukazały mu jako jedyną drogę wyjścia — pustelnię w Erec.

Intuicja każe mu odczuć pragnienia małego chłopczyka z żydowskiego getta sprzed 200 lat, co to szukał w śmietniku słońca i księżyca. Modlitwa tego dziecka o mannę i aniołów dla Żydów wcieliła się dziś w pracę tych młodych pionierów, którzy uprawiają oliwki i pardesy i patrzą jak rosną zboża, „najpiękniejsze wiersze ziemi“.

Ta ziemia, „gdzie są chaluce, szomrzy i prorocy“ wydaje się ludziom zranionym i zawiedzionym jedynym miejscem ucieczki... A szukanie przytułku w chaosie cierpień i niebezpieczeństw musi być przecież celem wychowawcy i opiekuna: „Żeby można było nie jeść i nie spać, tylko szukać miejsca dla ludzi. Każdy tam gdzie będzie mu dobrze. I pielęgnować ludzi jak rośliny małe i duże, jak drzewa“ („Ludzie są dobrzy“).

„Młoda Palestyna ubiega się mozolnie i rzetelnie o porozumienie z ziemią“. (Pamiętnik).

Przetłumaczona na realny plan wygląda ta decyzja w ten sposób: „Po depresji, która trwała kilka miesięcy, zdecydowałem się pojechać na ostatnie lata mego życia do Erec. Jeden rok w Jerozolimie dla nauki hebrajskiego, aby po roku wstąpić do kibucu... Moja podróż powinna nastąpić za miesiąc, gdyż nie mogę znieść obecnego stanu niepewności“.

„A więc mniej więcej w maju jadę do Erec. I właśnie do Jerozolimy na rok. Muszę się tam uczyć języka, a następnie do czego mnie zawezwą...”

„Najtrudniejsza była decyzja. Chciałbym siedzieć już dziś w małym, ciasnym pokoiku w Jerozolimie z biblią, z podręcznikiem, słownikiem hebrajskim, ołówkiem i papierem. Żeby móc powiedzieć: Nowa stronica. Ostatni rozdział. I być samotnym, zupełnie samotnym...”

„Rzeczy tak stoją. Ja chcę, ja muszę przyjechać w maju do Jerozolimy. Tam będę żył w studenckiej biedzie... Jedyną radością ostatnią z lat prób, doświadczeń ciężkich, jest poznanie i rozważanie — jak chleb z mąki dla ludzi“.

(Listy).

Omawiając listownie plany, warunki, możliwości, gwałtowną namiętną potrzebę ucieczki z Polski — Korczak podkreśla kilkakrotnie swą tęsknotę do palestyńskich dzieci i palestyńskich gwiazd. Pragnie także stworzyć nowy epos o pracy, wiążący tradycję biblijną z wiarą w przyszłość.

Ale w tych planach drży na dnie nuta raczej rozpacz niż ufności. „Stary, zmęczony i bez środków, zrobię ostatnią próbę. Wysiłek potężny, a ja przystępuję do niego bez chęci, jakby bez własnej woli, jakby na rozkaz. Rozkaz losu?”

Jaka była przyczyna tego dramatycznego, z tak ciężkim sercem powziętego postanowienia? Zanim uzasadnimy ją szerzej, wystarczy jedno stwierdzenie i motyw decyzji:

„Tam — najgorszy nie plunie w twarz najlepszemu tylko za to, że jest Żydem“.

STARY DOKTÓR

Po to, aby dotrzeć do węzła dramatu, cofnijmy się jeszcze o rok czy dwa wstecz. W roku 1935 rozpoczął Janusz Korczak swą działalność radiową. Zaangażowano go do krótkich prelekcji, które sam nazwał „gadaninkami radiowymi” — dla dzieci i o dzieciach. Stało się jednak tak, że te oryginalne i wypowiedane w swoisty, komunikatywny sposób gawędy sięgnęły daleko i szeroko i zyskały prelegentowi ogromną popularność.

Przed mikrofonem Korczak okazał się najbardziej na swoim miejscu, stał się twórczy i odkrywczy na nowym polu. Charakterystyczne dla niego skróty myślowe, styl telegraficzny, krótkie okrzyki czy pytania, akcentowane głosem, przerywane milczeniem, nabrały plastyki i siły. Forma dialogu dopuszczała ożywczy udział głosów dzieciennych i ich niefałszowanych wypowiedzi. Znajomość życia, humor, który mienił się paradoksem i liryzmem, maskował wzruszenie, prawda uczuć — poprzez eter udzielały się słuchaczom.

„Gadaniiny” Korczaka stały się w krótkim czasie słynne. Podniecany przez powodzenie, świadomy rozszerzonego zasięgu wpływów — Korczak coraz ciekawiej rozwijał i wzbogacał formę i treść swych felietonów. Skromny, wstydlivy, pozornie zamknięty w sobie i ograniczony do ciasnego terenu działania — znalazł tu działalność nową, o szerokim zasięgu, o społecznym i kulturalnym znaczeniu.

Na nowo ciekawie i śmiało formułował i podawał słuchaczom rezultaty swych odkryć, prawdy psychologiczne, całą treść wieloletniej reformatorskiej i artystycznej pracy.

O wiadomej godzinie tysiące ludzi w całej Polsce otwierało głośniki po wsiach i małych miasteczkach, w pracowniach naukowych i w szkołach i słuchało cichych, wypowiedzianych z namysłem i jakby z oporem słów. Czarował ich z daleka głos wyjątkowo melodyjny i szlachetny w tonie, polszczyzna nieskazitelnie piękna w akcencie i formie, nowatorska i śmiała w skrótach.

Ten głos bawił i rozśmieszał dzieci, fascynował i niepokoił dorosłych, interesował i wzruszał nie wiadomo gdzie i nie wiadomo kogo na wielkim świecie — sam także anonimowy i bezimienny.

Zapowiadało się w programach i pisało tylko i jedynie: Stary Doktor. Nazwisko i komentarz nie istniały. Dlaczego?

Dlaczego sam Korczak zgodził się na tę bezimienną działalność? Chwalony i zapraszany obłudnie, ceniony przez dyrekcję za atrakcyjność swych audycji — on, słynny pisarz i pedagog, znany powszechnie pod swym polskim pseudonimem — nie miał prawa, aby ujawniać się i tylko ukradkiem pozwalano mu trafiać do uszu i serc. Zgoda Korczaka na tę trudną rolę jest świadectwem jego wielkości. Rozumiał już wtedy, że w nasileniu nienawiści, w zamięcie namiętności — tylko ukryty w cieniu ominie rafa niskich antysemickich kryteriów oraz przeszkód i trafi do ludzi radą i wzruszeniem — będzie mógł się wypowiedzieć wobec nieograniczonej, upragnionej areny świata.

Za tę cenę zwyciężał uosobiony tylko w słowie, podany poprzez jedyne medium żywego dźwięku.

Nazwiska i twarzy nie miał. W numerach „Anteny“ z 1937 roku drukowano wprawdzie jego trzy felietony o samotności: dzieciństwa, młodości i starości. Redaktor, który przeprowadził wywiad ze Starym Doktorem, ani jednym słowem nie wspomniał o nazwisku, działalności i osobowości niezwykłego prelegenta, referując jego poglądy na sprawę radia i jego roli w przyszłości.

Każda girlsa czy podrzędny tenor mieli w numerach radiowego pisma swe życiorysy i fotografie, darmo by jednak szukać w ich natłoku prześwieconych dobrocią rysów, zamyślnego, pobłażliwego uśmiechu i znanego nazwiska Janusza Korczaka. Jako Żyd i opiekun żydowskich dzieci — był wyklęty i pozbawiony oblicza i imienia.

Sytuacja zaiste paradoksalna. Głos wychowawcy i humanisty, rzecznika miłości i postępu utajony w formie zabawnych, pozornie bezpretensjonalnych gawęd, za cenę swej bezimienności triumfuje, tworzy i działa wbrew szerzącej się zarazie nienawiści rasowej w ostatnich przedwojennych latach infekcji hitlerowskiej.

Ale sytuacja się pogarsza. Restrykcje i zakazy rasistowskie są coraz sroższe. Może zresztą niezależnie od nich sam Korczak swym pozornie beztroskim, prowokacyjnym nieraz humorem i sarkazmem, swą niezależnością myśli naruszył jakieś tabu reakcyjnego światopoglądu.

Jest nawet wersja, że jedna z jego prelekcji nie podołała się komuś z wysokich sfer rządowych. Kto to dziś sprawdzi?

Sam Korczak nigdy nie mówił o sprawach najbardziej osobistych. Milczeniem pokrywał swe wielkie życiowe kłęski.

Faktem jest jednak, że prawie jednocześnie, w roku 1936 po drugim powrocie z Palestyny, uderzyły w niego dwa ciosy.

Z dnia na dzień brutalnie pozbawiono go prawa przemawiania przez radio. I równie nieoczekiwanie po jakimś burzliwym posiedzeniu w „Naszym Domu“ nastąpiło zerwanie współpracy z Maryną Falską i kontaktu wychowawczego z „Naszym Domem“ na Bielanach. Więcej, Falska nagle zmieniła cały system wychowawczy w sierocińcu, oparty na reformach i doświadczeniach Korczaka. Korczak wyszedł z ostatniego zebrania, zgłosiwszy swą dymisję — bez słowa wyjaśnienia i żalu. Nikomu nigdy nie mówił, czy zerwanie z „Naszym Domem“ wynikało pod presją sanacyjnych sfer opiekujących się sierocińcem, czy też na tle ideowym, z pobudek rasistowskich lub osobistych?

Cały najbardziej cenny i umiłowany kontakt ze społeczeństwem polskim, ze słuchaczem radiowym, z dzieckiem polskim, którego wychowaniu tyle lat się poświęcał, urwał się w ten sposób. Teren pracy skurczył się znowu do ram wyznania i rasy, tak nienawistnych dla poczucia swobody i honoru.

Korczak odchorowuje tę klęskę — nie tylko swoją osobistą, ale reprezentowanej przez siebie idei powszechnego braterstwa i wolności myśli. Po kilkomiesięcznej depresji postanawia uciekać i rozpocząć nowe bezosobiste życie — w Palestynie.

W afekcie obrazy i rozpaczy nie przeczuwa, że powróci jeszcze raz w życiu przed mikrofon polskiego radia i do opieki nad dzieckiem polskim, zbłąkanym bezradnie na ulicy. Będzie to wtedy, kiedy rządy nad krajem przestanie już sprawować sanacja, gdy wielcy dygnitarze uciekną w popłochu, a jego pomoc i słowo okażą się potrzebne w huku bomb, w płonącej i obłożonej Warszawie.

NIEUDANA UCIECZKA

Sprawiedliwie trzeba przyznać, że rozpacz i bezsilność Korczaka w ostatnich latach przed wojną wynikała nie tylko z zawodów osobistych, ale z pełnego poczucia odpowiedzialności za losy dzieci, które wychowywał, i ze świadomości klęski, która stawała się groźniejsza z dnia na dzień.

Wielu świadków przypomina sobie jego wieszczce powiedzenia z tych czasów, komentarze na temat niegodnych posunięć rządowych jak np. walki z unitami i kasacji cerkwi na kresach, przyjaźni z Niemcami i podstępnego opanowania przez nich sytuacji. W tym okresie życia nie chciał się leczyć (cierpiał na ropę w zatokach Hajmora) twierdząc, że i tak śmierć nadciąga z nawałą hitleryzmu od zachodu. „I tak przyjdą i wymordują“. Mówił niejednokrotnie, że ten kto chce się ratować, powinien wyjeżdżać z Polski, emigrować. Trzeźwo zapatrywał się na tragizm sytuacji Żydów w Polsce.

Najciekawszym materiałem do poznania jego poglądów i nastrojów, są listy pisane w tym czasie do przyjaciół w Palestynie w związku z projektowanym wyjazdem do Erec. Urywki ich są tak wymowne, że im należy oddać głos w tej sprawie:

„Ja nie walczyłem“ pisze w liście do M. Zylbertala. „Chciałem tylko przekonywać. Dziś w Polsce nie umiałbym być tylko zwykłym konsumentem...

...Nie mogę dyskutować o prawdach — może Jerozolima doda mi sił — golus (wygnanie), tęsknota, życie takie bezosobiste — jakbym już patrzył z tamtego świata na szatańską komedię rzeczywistości. Mimo wszystko wierzę w przyszłość ludzkości, Żydów i Erec Israel. Brutalni wodzowie pozbawieni sumienia ustalają role i dzielą się światem. Taki stan jak obecny nie może dłużej trwać. To jedyna pociecha. Nie jest to obłęd świata, raczej jego okrucieństwo. Ale czy możliwa jest odmiana? Chodzę na obowiązkowy kurs obrony przeciwwgazowej dla lekarzy. Włosi posługiwali się gazami w Abisynii. W Hiszpanii o tym nie słyhać. Więc są jakieś hamulce. Czytałem dwa opowiadania z życia Chin. Są ludzie, w których zdarzenia historyczne nie tylko znajdują oddźwięk, ale którzy kręcą się w ich kręgu.

To wielka bieda. Średniowiecze? Tak, wtedy obawa końca świata — teraz wojny światowej. Wtedy: zaraza, choroba. Obecnie gazy... Wówczas i dziś głód. Głód dzieci. Wstyd człowiekowi być sytym.

„Stoimy w przededniu wielkich zdarzeń. Czy krwi? Czy możliwe jest zamienić wojnę pazurów i kłów w magię słowa. Objaśniać, przekonywać? Bronię się całą siłą, by nie popaść w mistycyzm... Nie siebie pragnę ocalić, tylko swoją myśl.

„Gdy idę ulicą, dzieci spieszą do szkół, czują brak sił i zbyteczność moją w tłumie. Czuję odpowiedzialność za każdą krzywdę im wyrządzoną i nie mogę dłużej... Pisałem o swoim synku. „Nawet jego uśmiech uroczy nie jest w stanie rozproszyć trosk“. Niegdyś wesoła zabawa

dzieci na placu gry pozwalała mi zapominać o smutku rzeczywistości. Dziś nie tak. Ich wesołość taka gwałtowna sprawia mi ból, pewnie dlatego, że to są sieroty golusa (wygnania)“.

• Inny urywek listu z marca 1937 r.:

„Niestety będąc w Polsce nie wierzę, abym mógł być przydatny na coś, a żyć wygodnie nie mogę. Wstydzę się, że mam co jeść wiedząc, że dzieci głodują i czują wstręt do mego uśmiechu, gdy dookoła młode umęczone twarze. Wołam o godność dziecka. I słusznie ktoś mnie zapytał: A kto dziś szanuje człowieka?

„Może się ludzę, że z Palestyny łatwiej wołać mi będzie o sprawiedliwość, a przynajmniej o litość. Chiny, Abisynia, Hiszpania, oto etapy mego zmartwienia. Niemcy? A co w najbliższym czasie? Przed wami, młodzi, jest jeszcze daleka przyszłość. Wierzę w to, co będzie, w nowe odrodzenie...”

„Mówi się — żółte niebezpieczeństwo. Czy nie wisi białe niebezpieczeństwo nad światem?” — pisze Korczak gdzieś indziej w tych latach, o których mówił jeszcze w pamiętniku przedśmiertnym, że były „podłe i haniebne, rozpadowe, nikczemne. Przedwojenne — kłamliwe, zakłamanne, przekłete. Nie chciało się żyć. Błoto, cuchnące błoto“.

Tak więc wyjazd do Palestyny wydaje się jedyną deską ratunku.

„Mam tylko 1000 złotych“ pisze Korczak w liście do dr Lichtensteina. „Z całej rodziny pozostała tylko siostra. Ona ma kilka tysięcy złotych, a ponieważ zna kilka języków, może się tu utrzymać. Wobec tego, że jadę na niepewne, chciałbym wiedzieć, czy ta mała suma pozwoli mi coś zrobić i jak?“.

„Na razie zerwałem tu wszystkie więzy, została tylko

garstka przyjaciół — pisze do M. Zylbertala. — Ale poczucie, że uciekam...”

Tak więc spieszna, gwałtowna myśl o wyjeździe z Polski poczyna się plątać w sieci drobnych rzeczywistych, codziennych spraw i gorzkich refleksji.

„Nie chcę, nie mogę zerwać kontaktu z rzeczywistością polską, będę czujny na każde wołanie. Pragnę związać to, co jest z tym, co było. Trudno, ale nie mogę inaczej“ — pisze Korczak.

I zaraz dodaje: „Na razie myślę jak spełnić mój plan. Czy zwykły paszport turysty, czy przez Agencję Emigracyjną? Skąd czerpać pieniądze, mam tylko 1000 złotych? Sprawa nie decydująca, ale drobnostki dokuczają“.

Ten okres ma stanowić o rozejściu się z dawnym życiem. Korczak już wielokrotnie przeżywał takie przełomy, za każdym razem dramatycznie, z poczuciem winy. Teraz wyłania się kwestia pozostawienia własnym losom „Domu Sierot“, bo i panna Stefa w tym samym czasie zmęczona i zniechęcona zamierza także wyruszyć do Palestyny, a w każdym razie wycofuje się z codziennej pracy w domu. Korczak sam przyznaje, że mu jest bardzo trudno. Porzucenie tyloletniego pseudonimu używanego jako nazwisko też nie jest łatwe.

Są jeszcze i inne sprawy. Konflikt żydowsko-arabski widziany z daleka przyczynia wiele trosk. Korczak, dla którego najpiękniejszym obrazem był widok dzieci żydowskich i arabskich piekących razem kartofle na polu i Arabów biorących rankiem wodę ze studni żydowskiego osiedla — kibucu — pisze teraz w liście:

„Niepokoi mnie los arabskiego dziecka. Port w Tel-Awivie — to mimo wszystko zburzenie portu w Jaffie...”

I ludzi się: „Tu czytam życie skomplikowane. Tam —

będę zobowiązany je czuć. Tu mam oczy otwarte. Tam — nie wiem, czy uda mi się je przymknąć. Spróbuję...”

Zaczynają się mozolne zabiegi o pieniądze, środki, papiery, trudna nauka obcego języka — hebrajskiego.

Po roku blisko pisze Korczak do rodziny Symchoni w Ejn-Charod: „Napisałem „plan“ i prawie, że napisałem „decyzja“. Wydaje się to trochę za śmiałe, jakby tylko ode mnie zależało realizowanie zamiaru. Czy nie wystarczy decyzja wewnętrzna — niezależna od tego, co ją potrafi zrealizować? Wierzę, że jeżeli nie przyjadę do was, jako starzec, doświadczony cierpieniami, aby się podzielić z wami resztkami sił, przyjadę do was znów jako dziecko i od początku zacznę wędrówkę życia“.

Potem próba transakcji z Towarzystwem Ubezpieczeń, w którym Korczak jest wieloletnim konsultantem, propozycja zmiany stałej pensji 300 złotych, która jest synekurą, na stypendium wyjazdowe do Palestyny zawodzi. Wyłączają się inne trudności, bardzo opornie idzie nauka hebrajskiego.

„Zawsze byłem niezdolny do języków... Skąd ta pewność? Związać się z kibucem, wziąć na siebie odpowiedzialność i zawieść nadzieje? Praca w szpitalu? Po co ma mi zatruwać życie tam, to co tu było wstrętne... Żyć skwaszonym w Haiffie, czy w Warszawie? Po co ten trud?“

„Chciałbym się wyzwolić z tego, co nie jest powierzchowne, lecz przeszkadza i mąci myśli i uczucia.

Zanim się to zrealizuje, postanowiłem wędrować po miasteczkach Polski. Dlaczego nie miałbym spędzić ostatnich lat tutaj, tak jak spędziłem je w Palestynie — w pociągu, w aucie, na wozie...

Może to będzie jakaś korzyść, jakaś służba. Może się łudzę, ale to będzie jednak ulga, że mimo wszystko ktoś się nimi interesuje.

Doprawdy biedni są tutaj Żydzi...“ (Maj 1937 r.).

I niedługo potem następny list do M. Zylbertala:

„Jest niemożliwością, aby podróż moja była ucieczką lub protestem. Przecież chcę w tych kilku latach, które mi pozostały, przynieść korzyść. Sprawia ból epoka bryzgająca jadem. Wiem, że to minie, ale zło się wzmacnia a ja nie mam sił.

„Joski“ i „Jaśki“ bliscy mi są jednakowo. Tak samo tam jak tu tyle ludzkich szlachetnych odruchów zostało wdeptanych w błoto. Dlaczego?

Pojechać do was? Odpowiedzialność za to, co tu zostawiam i za to, do czego muszę zobowiązać się tam. Czy będę mógł? Czy podołam? Ryzyko to jest możliwość bankructwa. Tylko mnie samemu wolno ponosić skutki mylnego obliczenia. Zawieść zaufanie, to jest krzywda. Zląkłem się w ostatniej chwili.

Teraz chcę zwiedzić małe miasteczka polskie, tak jak w zeszłym roku kibuce. Może uda mi się powiedzieć coś, co im pomoże i ulży. Nie wiem, Mietku, naprawdę, co zrobić. Czuję się odpowiedzialny wobec dzieła, któremu chciałem służyć, związałem z nim pracę swego życia. Odpowiedzialny dlatego, że nie tylko opuszczam świat w zamieszaniu, nie tylko nie mogłem obronić dziecka, ale także, że nie mogłem znaleźć posłuchu w sprawie drogi, którą, może się sam łudzę, że znalazłem...“.

Jeszcze raz zamarzył Korczak, już przed samą wojną o trzeciej pielgrzymce i samotnym pobycie w pustyni, w Bóznicy Tyberiady. Przeszkodziła temu wyjazdowi wojna. Potem w getcie roił o wielkim sierocińcu u stóp Libanu, przez którego szklany dach mógłby patrzeć co noc na palestyńskie gwiazdy. Ale to były już wizje przedśmiertne.

W istocie nie pojechał. Pozostał na stanowisku w Warszawie. Nie umiał się rozstać z Jaškami dla Josków.

O BOWIĄZEK

Znamienne, że w trudnym i właściwie smutnym życiu Korczaka istnieją zawsze ramy ujmujące w granice twardej konieczności zawiedzione nadzieje, roztrzęsione nerwy, okłamane złudzenia.

W młodości zagrożonej nihilizmem, straszonej obłędem istniał nieuchylony przymus nauki, pracy, zabezpieczenia egzystencji matce, działalności społecznej.

Zaś teraz, u schyłku życia, w okresie, gdy każda z otaczających perspektyw politycznych grozi zgubą, odzywa się mocno, twardo, rygor pracy, głos społecznego obowiązku.

W „Pedagogice żartobliwej“ opowiada Korczak taką scenę znamioną dla ciężkiego kryzysu powojennego:

„Po wojnie był głód i zimno, i w tym domu było sto dzieci. Co robić, co będzie? — Już nie chcą nic dać na kredyt i trzeba zapłacić, a pieniędzy nie ma. A zima dopiero się zaczyna. I wtedy związek górników — tacy poczciwi — sami biedni, ale podarowali, przysłali cały wagon węgla. Takie ogromne nagle bogactwo, bo węgiel był drogi. Trzeba wyładować dziś. — Nie pamiętam dlaczego, ale kazali na kolei, żeby koniecznie dziś. Bierze się bractwo do roboty. Wozy jadą, trzeba węgiel prędko do pustej piwnicy. Więc ile mieliśmy łopat, kubłów, koszów — ech, robota! Najstarsi wożą taczka. Noszą, sypią. — Kto by tam myślał o obiedzie. Najmłodsze też noszą rękami co większe

pecyny. — Dziewczynki też, ile kto może i uradzi. — Już piekarz dowiedział się, więc przysłał, więc gryzą chleb, a węgiel trzeszczy w zębach. — Zmęczeni? — Nie — a tu znów dwie fury czubate. — Ja bym mogłem sto furów — mówi czarny od węgla najmłodszy, na krzywych nogach (dopiero potem nogi mu się wyprostowały, bo kupiliśmy tran), on nosił węgiel nocnikiem...”

W tym obrazie zbiorowego wysiłku jest prawda bez frazesu. W chwilach przełomowych, zdawałoby się beznadziejnych, z węzła wątpliwości, rozgoryczeń, bezradności wynikał nagle i nieoczekiwanie imperatyw czynu. Wynikał impulsywnie, nieraz nawet wbrew teorii i zasmuconej refleksji.

Korczak jako filozof należał do pokolenia schyłkowców-pesymistów. Jeszcze w młodości, w „Koszałkach-opałkach“, w epoce, gdy jak sam mówił, „chciał ruszyć masę drzemiącą ludzkości, rozbudzić rakietami górnych myśli“ — dał nam z uśmiechem drwiny sylwetkę „równoważonego“. — „Życie to życie“ — mówi stary filozof — żyjąc. „Śmierć to śmierć“ — szepce umierając. Przez izolację swą i brak kontaktów ze społeczeństwem dorosłych, zachował Korczak nastroje i poglądy panujące w młodo-polskiej epoce jego młodości.

Wraz z kryzysem życiowym około roku 1907-go przyszło wycofanie z walki rewolucyjnej, rozluźniły się więzy łączące go z wielkimi ruchami i przemianami społecznymi. Płomienne hasła buntu i nadziei nie równoważyły i nie przewyciężały uczuć bezsilności i smutku. I to było przyczyną owych okresów osłabienia wewnętrznego i bezradności Korczaka wobec życia.

„Nie ma większego nieszczęścia niż urodzić się człowiekiem“ — oświadcza w epoce rezygnacji, nie mając wiele

ponad trzydzieści lat. „Przewrotem, tragedią jest nie śmierć, lecz narodzenie“ — powtarza gdzie indziej.

W miarę czasu coraz częściej wygłasza najbardziej pesymistyczne przekonania i hasła — wyraźnie kolidujące z jego działalnością, zabarwione akcentami przekory, przekształcające się nieraz w drażniące paradoksy.

Korczak lubi cytować zdanie: „Wesz nie człowiek, całej krwi nie wypije“ — zasłyszane gdzieś podczas wojny z ust rosyjskiego chłopca... Postanawia nawet żartobliwie pisać apologię wszy.

Gorzkim paradoksom, które wygłasza, towarzyszy jednak zawsze dyskretny uśmiech wyrozumienia i usprawiedliwienia. Każdy objaw życia, każdy stwór, każdy człowiek ma swą wartość i prawo do życia. „Z tej samej gleby wyrastają pokrzywy, jaśmin i maliny, dąb i ptak, gad i ja...“

„Dzięki Ci, Stwórco, że stworzyłeś świnię i słonia z długim nosem, żeś postrzępił liście i serca. Żeś dał czarne mordy murzynom, a burakom słodycz. Dzięki Ci za słowika i pluskwę. Za to, że dziewczyna ma piersi, że rybę dusi powietrze, że są błyskawice i wiśnie. Żeś arcycudacko kazał się nam rodzić, że dałeś myśl kamieniom, morzu i ludziom...“ — modli się artysta w „Sam na sam z Bogiem“.

„Smaruję maścią wszystkie psy parszywe“ — wyznaje Korczak sam w jednej z cytowanych wyżej modlitw. I ta wyrozumiała miłość była impulsem wielu jego czynów.

Wrodzony żywy instynkt społeczny wyraża się nie walką, ale chęcią zrozumienia i usprawiedliwienia, obowiązkiem pomocy. Korczak przez całe swe życie jest fanatycznym rzecznikiem równości i sprawiedliwości. W miarę lat coraz dalszy od polityki nie zaprzecza więc czynem i działalnością młodzieńczym lewicowym swym przekonaniom, stara się rozumieć i popierać każdy dowód postępu.

Ta postępowość Korczaka ma swoisty charakter. Odzwierciedla się w drobiazgach życiowych, w naiwnym nieraz i wzruszającym zainteresowaniu dla każdego nowego objawu życia, dla każdego wynalazku, reformy.

Pamiętam z jakim humorem opowiadał mi, jak to niegdyś jako młody lekarz oburzał się na chłopskiego dzieciaka gryzącego surową marchew — „Co za ciemnota i brak higieny“. A jak to dziś pediatrizy właśnie surową marchew uważają za najcenniejszą odżywkę dla niemowląt. Z zachwytem na przykładzie młodego chłopca i dziewczyny całujących się pod latarnią na Woli stwierdzał wpływ kulturalny obrazów filmowych, dyktujących prymitywnym instynktom — wytworność i poezję gestów.

Podczas inscenizacji swej sztuki „Senat szaleńców“ z podziwem i wzruszeniem wtajemniczał się podczas prób w zawilosci i nowości techniki scenicznej. Każdą nową teorię naukową czy społeczną starał się poznać, zrozumieć i zaaprobować... Każdą książkę nowego autora przeżywał. Zapracowany, przeciążony obowiązkami był codziennym żarliwym konsumentem literatury naukowej i artystycznej.

Jego wiara w twórczą, lepszą przyszłość wynikała z tej żywej i młodzieńczej skłonności do reform, graniczącej często z intuicyjnym wyczuciem tego, co powinno się zmienić i co się zmieni w najbliższej przyszłości. Postęp tak szybki, zmiany społeczne i obyczajowe tak gwałtowne w epokach, które przeżywał, ścigały się często z fantazją jego rojeń, akceptowały jego propozycje.

Gdy w roku 1905 w „Koszałkach opałkach“ uzał się nad losem panny na wydaniu i wcieliwszy się na krótko w jej życie skrępowane przez gorset i głupie konwenanse, wołał: „Ja chcę pić wódkę, palić papierosy, pojechać na

uniwersytet, obciąć włosy i mieć dziecko“ — może nie przypuszczał, że ta herezja wcieli się niedługo w prawdę.

Gdy w roku 1908 w rojeniach o „Szkołę życia“ (drukowanej w „Społeczeństwie“) projektował zbiorowe letnie wyprawy szkolne z namiotami i chorągwiami do wsi i miasteczek, akcje gier i sportów, pomocy mieszkańcom, odczytów higienicznych itd., nie istniało jeszcze przecież harcerstwo, które tak szybko miało wcielić w życie część tego programu — pozostawiając resztę innym ideowym organizacjom młodzieżowym teraźniejszości.

„Idziemy gościńcem dziejów, niesiemy pochodnie płonące i swoich zakonów zwoje. Kierunek: Naprzód! Hasło: Dlaczego?“ Oto obraz zdobywczy tego pochodu.

„Ten włóczęga okrzykiem: ziemia! — powitał pierwszy nowe lądy; ów bytu zwycięzca, w „myśle, więc jestem“ — zakłębieniu dumnym a męskim. Ten z kamiennego okopu zdobył prastary kodeks Hammurabiego, ten głuchej wioski bakałarz wydarł zazdrosnej wróżce barwne królestwo owadów. Ten, ranny w stu wzlotach, odbił ptakom potęgę skrzydeł i opanował powietrze. Ów — pan na morskich dnach. Ten, piwowar, z płonących zarazą miast wywiódł kobiety i dzieci i zaraził wroga — zarazą. Ten zwałił się na motłoch wyrazów różnojęzycznych i skuł w niewolę jedności. Ten upokorzył świat roślin zielonych stanowiąc ich hierarchię. Ów zdarł koronę królowi stworzenia — zwierząt prawodawca. Ten słońce poruszył z posad. Ów bóstwo uwięził w geometrycznej formule. Ten wyrwał wiedźmie nędzy żądło zatrute. Ten w triumfie zakrzyknął: *omnis e cellula, cellula!*...“ („Sam na sam z Bogiem“).

Każdy czas i każde środowisko ma swych twórców i swych reformatorów. Siła odmiany drzemie i wyzwala się wciąż na nowo w coraz nowych ludziach. Toteż Korczak-wychowawca wielbi każdy wysiłek na każdym polu

działania. Pisząc życiorys wielkiego uczonego przeszłości J. Śniadeckiego — myśli o wielu innych małych Jankach i Jędrkach — dzieciach wiejskiej i miejskiej nędzy, które kształcone i otoczone opieką mogą dorastać do wielkości.

W „Domu Sierot“ na głównym miejscu w oszklonej szafie stały: szczotka i ścierka jako symbol pracy, którą należy cenić i szanować. Dozorca, stary pan Jan z Pruszkowa, doczekał się życiorysu w Gazecie.

W ostatnim swym przedśmiertnym artykule: „Dlaczego sam zbieram naczynia“ dowodzi Korczak w sposób żarliwy i naiwny:

„Oto walczę, aby w „Domu Sierot“ nie było roboty delikatnej czy ordynarnej, mądrej czy głupiej, czystej czy brudnej, roboty dla panieczek i dla zwyczajnej kobiety. Nie powinno być w „Domu Sierot“ pracowników wyłącznie fizycznych i wyłącznie umysłowych.

Ze zgorzaniem i niesmakiem patrzą w magistrackim Internacie na Dzielnej, że podają rękę posługaczce i to nawet wtedy, kiedy myje schody i ma mokre ręce. Ale często zapominam się przywitać z doktorem K. i nie odpowiadałem nawet na ukłony doktorów M. i B.

Szanuję uczciwych pracowników, ręce ich są dla mnie czyste i zdanie ich waży na wagę złota. Praczka i stróż bywali proszeni na posiedzenia na Krochmalnej nie dlatego, żeby im sprawić przyjemność, ale żeby jako znawcy poradzili i pomogli...

Nie jest ani lepszy, ani mądrzejszy ten ktoś, dlatego że pracuje w magazynie a nie przy wózku. Nie jest ani lepszy, ani mądrzejszy ktoś, komu wolno rozporządzać się. Nie jestem ani lepszy, ani mądrzejszy, dlatego że podpisuję legitymacje czy kwity ofiar. Tę głupią pracę starannie i lepiej wykonałby ktoś z drugiego czy trzeciego oddziału...

Kto mówi — brudna robota, bo fizyczna, ten kłamie. Gorzej, gdy obłudny mówi: Żadna praca nie hańbi, nie przynosi wstydu, ale sam wybiera tylko białą robotę, unika tzw. czarnej roboty i zdaje mu się, że powinien sam od czarnej roboty stronić...“ (Pamiętnik).

Przy takim nastawieniu nie dziwnego, że Korczak nawet w najtragiczniejszych chwilach depresji czuł się do ciężkiego wysiłku, do pracy, którą musi wypełnić.

Wezwanie do pracy, bezwzględny mus obowiązku brzmi twardym dźwiękiem w jego ostatnich wypowiedziach z czasów klęski i pogardy. Ta praca pokrywa się chwilami z pojęciem walki. Ulubiony, przez 50 lat cytowany poemat Anczyca: „Tyrteusz“, apologia poety, który wzywa naród do boju i ginie w walce, jest wyrazem takiego nastroju. Korczak wygłasza owo patetyczne wezwanie do boju przez radio, umieszcza je z szerokim komentarzem w dwóch rozdziałach książki „Pedagogika żartobliwa“ jako wskazanie na nowych ważnych lat pięćdziesiąt.

Zawiedziony w nadziejach i zraniony boleśnie uchwycił się Korczak pojęcia obowiązku jak steru.

„Żyłeś?“ — pyta swych słuchaczy... i siebie. „Ile przorałeś, ile wypiekałeś chlebów dla ludzi? Ile zasiałeś? Zasadziłeś drzew? Ile ułożyłeś cegieł pod budowę, zanim odejdziesz? Ile przyszyłeś guzików, łątałeś, cerowałeś? Ile — lepiej, gorzej — wyprałeś zbrukanej bielizny? Komu i ile ciepła? Jaka była twoja służba? Jakie nagłówki rozdziałów twojej drogi?“

W 1939 roku ogłasza Korczak na łamach „Szkoły Specjalnej“ ostatni swój przed wojną artykuł: „O lekkomyślności“.

Z powagą i smutkiem stwierdza w nim złą sytuację w dziedzinie wychowania: „Rozpełzły się fluidy ambitnego

i zuchwałego wodzostwa, głębię podświadomości wypełnił seksualizm bez reszty, dano wolę instyktom bez sublimacji, dyktaturę poczuciu upośledzenia i rozhuściano apetyt, wykreślając ze słownika wychowawczego samoopanowanie, skromność, rezygnację z chęci nie na miarę środków i chętek“.

I zaraz szuka usilnie dróg do reform i poprawy. Jak zawsze przez całe swe życie przewycięża skłonność do zniechęcenia i rozpaczy ambitnym słowem: „trzeba“.

W r. 1920 u progu odzyskanej niezależności politycznej zastanawiał się „jak hodować ojców i matki dzielnych pracowników, jak rozpoznawać w dziecięctwie zdolności i skłonności, jak kierować nimi, jak zatrzymywać dla kraju najlepsze jednostki i wcielać ich patriotyzm w czyn ofiarny, jak krzewić miłość dla rzetelnej wiedzy“ (wstęp do Sniadeckiego: „O wychowaniu fizycznym dzieci“).

Teraz u schyłku tej epoki pisze: „Należy kolekcjonować przykłady, badać triumfatorów na szczytach i pokonanych w więzieniach. Spowiedź generalna osobników i rodów. Materiał dla eugenistów. Części składowe wagi, woli, optymizm, konserwatyzm, dogmatyzmy, walor doświadczenia i inteligencja w posługiwaniu się nim. Wtedy psychologia stałaby się bardziej życiowa, a pole działania psychologii obszerniejsze i ważkie...“.

W swej książce: „Pedagogika żartobliwa“ wyraził Korczak prościej i dobitniej ten mus działania mimo wszystko — w sensie ogólnym, na każdym polu. Wyraził go wspomnieniem i obrazem dzieciństwa.

Jest zimowy pochmurny ranek warszawski. Śnieg zawałił tory i szyby, dawny tramwaj konny utknął w zaspie. Konduktor bije i popędza konia, a uczeń stoi obok i gorczy się.

„Mówię — pan tak bije. — A on spojrzął bokiem, niezycliwie i mówi:

— A to zejdz i też ciągnij, kawalerze, jeśliś litościwy, wyłaż z tramwaju — będzie koniom lżej.

Już na całe życie nauka: nie wtrącaj się, jeżeli nie wiesz lepiej, nie gębuj, jeżeli nie pomagasz, nie krytykuj, jeżeli nie umiesz inaczej. Ciągnij też — kawalerze...”

Ciągnij też... tak rozkazywał sobie i innym stary, zmęczony i śmiertelnie smutny człowiek, choć grunt usuwał mu się już spod nóg. „Pluń w garść — nie gębuj — ciągnij. Ciężko, trudno, tym lepiej, że większy wysiłek...”

CHLEB I NADZIEJA

Taki był już los Korczaka, że przez lata całe przypadały mu trudne starania o chleb i bezpieczeństwo swych dzieci. Jego sierocińce знаły nędzę wielu wojen i rewolucji, głód kilku kryzysów powojennych...

Gdy w roku 1938 Stary Doktor musiał znowu pukać do serc i kas zamożnego mieszczaństwa żydowskiego o środki utrzymania dla „Domu Sierot“ — twierdził, że rzeczą najgorszą na świecie, wielkim prawdziwym nie-szczęściem jest skąpstwo i nieczułość młodego, pełnego sił, bogatego a chciwego człowieka.

„Nadchodzi zima, kasa — wrogowi nie życzę — pusta. Więc dlaczego właśnie zaraz nie ma stać się cud? Dlaczego ma być to najgorsze, że już nie ma nic gorszego, że nie dadzą ci, co mają i mogą, i dać powinni... Powiadasz, że nie ma cudów. Są. W dzisiejszych czasach dobrze być trochę wariatem też“.

Było to w czasach najgorszych w pojęciu Korczaka, w czasach narastającej hańby i klęski.

„Nie chciało się żyć. Błoto, cuchnące błoto...“

Nadeszła burza. Powietrze oczyściło się. Oddech stał się głębszy. Tlenu przybyło“. (Pamiętnik).

Wybuch wojny jest więc dla Korczaka jakimś rozładowaniem, przełamaniem impasu, w którym grzęźnie się bez godności i bez nadziei.

Ten zmęczony stary człowiek robi w pierwszych dniach września 1939 roku wrażenie upojonego, podnieconego odwagą i wiarą do granic szaleństwa.

Od pierwszej chwili liczył się najpoważniej z obowiązkiem ofiarowania się w służbę Walczącej Polski. Z początku myśli, że to będzie jak podczas poprzednich wojen, służba żołnierska. Sprawia sobie z własnej inicjatywy nowy mundur oficerski za cenę 300 zł u krawca na Nowym Świecie. Wdziewa go jako znak swej przynależności do walczącej armii. Gdy go powołują w braku prelegentów do radia, wygłasza swe piękne i szaleńcze prelekcje do ostatniej chwili, już w huku bomb spadających na jego ukochaną Warszawę. Stara się opanować nerwy, pomóc życiu dzieci zepchniętych przez strach i klęskę do schronów przeciwlotniczych. Wzywa je, aby się nie bały, aby w chwili niebezpieczeństwa szły na Grób Nieznanego Żołnierza i ubierały go kwiatami.

„Stary Doktor“ w zamęcie cudzych potrzeb, strachów, klęsk czuje się silny, odważny, opiekuńczy, potrzebny. Wspomnienie jednego z uczniów mówi nam, jak to żartem, śmiechem i lekceważeniem niebezpieczeństwa utrzymywał nastrój pogodny w „Domu Sierót“.

Pod hukiem lecących z nieba bomb i rozrywających się pocisków artyleryjskich biega w swym mundurze ulicami Warszawy, odbywa co dzień pod grozą śmierci dalekie marsze z Krochmalnej do śródmieścia. Podnosi z bruku zagubione, strwożone i często ranne dzieci, niesie je na punkty opiekuńcze i opatrunkowe, zdobywając dla nich po drodze obuwie i żywność. Puka do domów prywatnych i instytucji z prośbą o prowianty dla swych dzieci z Krochmalnej. Jest niespożyty w podnieceniu, w ryzykanckiej pogardzie niebezpieczeństwa.

Może wspierało go w tej odwadze najgłębsze przeświadczenie, że wojna, która się rozpoczyna tak krwawo, odmieni i przerodzi spodłaly świat. Mówił wtedy każdemu — wielu jest świadków tych słów — o cudownym spalającym i przetapiającym szlachetne kruszce ogniu klęski, który strawi zło a odrodzi nowy świat. O piorunach, które wzniecają prąd elektryczny, o sile regeneracji i konstruktywnym w rezultacie, choć na razie niszczycielskim charakterze obecnej wojny. Był przecież żołnierzem wielu wojen przegranych i wobec nowej wojny z tradycji przybierał postawę żołnierza, który chce walczyć i wierzy.

Za wszelką cenę, namiętnie chciał wierzyć, że odgađuje przebieg najbliższych dziejów.

„Odezwa do ludności Warszawy“ wydana już po kapitulacji Warszawy, w okresie przygnębienia i upadku ducha, a podpisana nazwiskiem Korczaka — głosi:

„Dom Sierot“ został ocalony. Dwie próby pogromu i trzy próby rabunku odparliśmy własnymi siłami. Nie możemy ginąć. Umieć czytać karty historii. Trzy rewolucje przeżyłem, czwartą wojnę przeżywam. Tylko ludzie słabi i nikczemni załamują się i wątpią. Patronat nasz nie istnieje. Jedni zostali zabici lub zrujnowani, inni myślą egoistycznie tylko o sobie, podli i głupi, co wśród burzy myślą, że oni sami się uratują. Dzieci to nasza przyszłość. Żądam wpłaty 100 złotych na fundusz „Domu Sierot“. Żądam, nie proszę. Po pieniądze zgłoszę się sam w najbliższych dniach, proszę mi nie odmawiać, bo odmowy nie ścierpię“.

Tak więc instynktem odnalazł Korczak w chaosie pierwszych upadków ducha, pierwszych represji, strachów, nikczemności — właściwą postawę opiekuna i pocieszyciela.

Przy nędzy i rozpacz, która dotknęła w tym pierw-

szym okresie niezorganizowanych jeszcze prześladowań społeczeństwo żydowskie, a w nim najczulszą, najbezbronniejszą jego część — dzieci w zakładach Opieki Społecznej — działalność charytatywna była nawet w organizacjach politycznych i społecznych wstępną formą samoobrony i walki. Mimo najlepszej woli szefów resortu Opieki Społ. Miasta: Starczewskiego i Leszeżanki, pomoc ich została sparaliżowana przez Niemców.

Korczak munduru oficerskiego nie zdjął z chwilą wkroczenia Niemców do Warszawy. Była to jedna z przekornych form jego pogardy i nonszalancji, chwilami szaleńczej i ryzykownej, którą póki można okazywał władzom.

W mundurze oficerskim wyruszał też od rana na swe jałmużnicze wyprawy... Zjawiał się czasami w ogródku kawiarni Ziemiańskiej, gdzie jeszcze w ostatnim słońcu października garstka intelektualistów pocieszała się i narkotyzowała czarną kawą, wspomnieniami i złudzeniami. Nie siadał, patrzył z roztargnieniem w znajome twarze i pytał:

— Czy kto z państwa nie ma przypadkiem do odstąpienia dwudziestu metrów kartofli dla moich dzieci?...

A potem bardzo prędko odchodził, spiesząc się po te kartofle.

Z niezrównanym humorem opowiadał potem szczegóły swych wypraw po pieniądze.

Oto zarząd bogatej firmy B-cia N. — Fabryka wózków i łóżek. Szef odmawia ofiary, a na usprawiedliwienie odmowy pyta złośliwie:

— A czemu to panowie, urządzając w swoim czasie „Dom Sierot“, kupili łóżka w firmie Konrad & Jarnuszkiewicz, a nie u nas?

Korczak uśmiechnął się i odpowiedział bardzo słodko i grzecznie:

— Owszem. Urządzając się w roku 1911 kupiliśmy łóżka u Konrada & Jarnuszkiewicza, ale rozszerzając dom w roku 1920 zaopatrzyliśmy się dodatkowo w firmie Panów. Proszę łaskawie odwiedzić nas na Krochmalnej i zobaczyć, w jakim stanie są obecnie łóżka kupowane u Konrada & Jarnuszkiewicza w roku 1911 i łóżka kupowane w firmie N. w r. 1920. Może pan wtedy zrozumie, dlaczego Konrad i Jarnuszkiewicz zbankrutował, a pan dorobił się pięciopiętrowej kamienicy“.

„Nie wiem co było potem — dodał Korczak z miną niewiniątka. — Obudziłem się na ulicy bardzo obolały. Zdaje się, że mnie pobili i zrzucili ze schodów, ale dokładnie nie pamiętam“.

A oto inna rozmowa. Stary bogaty kupiec bardzo się krzywi na żądania Korczaka.

„Pan lubi swoje dzieci, pan by ich tak oddał obcemu? No to ja właśnie tak samo kocham moje pieniądze. Każde sto złotych to dla mnie jak rodzone dziecko“.

Korczak zastanowił się poważnie i zdecydował nie gwałcić uczuć rodzicielskich posiadacza. Ale gdy się grzecznie wycofywał, stary pan dogonił wychodzącego w przedpokoju:

„No, masz pan dwoje moich dzieci“ — powiedział cicho pchając mu do ręki banknoty.

Stara właścicielka wielkiej wytwórni pasty do obuwia nie mogła początkowo nic zrozumieć.

— Jaki to sierociniec? Nie słyszałam... Katolicki? Ewangelicki? — pytała nieznanego oficera z bródką.

— Żydowski! — krzyczał jej w uszy Korczak.

— Jaki? — stara pani była przygłucha, a poza tym nie mieściło się jej to w głowie, że polski oficer za niemiec-

kich rządów może żądać od niej pieniędzy na żydowskie dzieci. W końcu zamrugła, zastanowiła się i odeszła w ką. Spod wielu spódnic wyciągnęła powoli woreczek z pieniędzmi.

W sumie rezultaty pielgrzymek jałmużniczych były dla „Domu“ Korczaka owocne. Większe firmy, między innymi Wedel, składały pokaźniejsze dary. Sierociniec zdawał się być zabezpieczony na zimę. Oszklono wybite okna, zapelniono piwnice.

Korczak mimo jawnych następujących po sobie dowodów represji niemieckich starał się ich nie widzieć. Obowiązujące zarządzenia po prostu lekceważył. Gdy ogłoszono nakaz noszenia opasek przez Żydów, potraktował ten nakaz tak obojętnie, jakby go on wcale nie dotyczył.

Raz w jakimś urzędzie — przy okienku — podejrzliwy urzędnik wszczął indagację w tej sprawie. Przyjrzał się uważnie, spytał o narodowość.

— Polska — odpowiedział Korczak.

„Rasa?“ — Doktor udał zakłopotanego, zastanowił się, oświadczył, że nie wie... — A wyznanie?

„Wyznanie?“ — zdziwił się Korczak, jakby pierwszy raz w życiu słyszał takie pytanie. — „O ile pamiętam, rodzice zapisali mi w papierach: mojżeszowe.“

— Dlaczego nie nosi więc pan przepisowej opaski?

Oświadczenie Korczaka było tak odważne, że mogło spowodować śmierć. Wszedł cało. Dlaczego? Czy oszołomił urzędnika swą postawą... Czy może nie odpowiadał tak śmiało, jak to potem nam mówił z żartobliwym błyskiem dumy i przekory w oczach. Mówił to jednak sam i dlatego powtarzam dziś jego słowa jak testament:

„Są prawa ludzkie i boskie. Ludzkie są przemijające, boskie są wieczne. Słucham się w życiu tylko praw boskich,

wiecznych. Prawo noszenia opasek przez Żydów uważam za ludzkie, przemijające, i dlatego nie będę go słuchał“.

Ciekawe, że podobne wyznanie spotykamy w jednym z jego artykułów pedagogicznych sprzed lat, w roku 1925 w „Szkołe specjalnej“ w artykule „Żłódziejaszek“. Pisał tam „Jako wychowawcę obchodzą mnie prawa natury-Boga nie urzędnika-człowieka“.

Nie było w tym czasie dla Korczaka godziny policyjnej. Późno wieczorem maszerował w swym mundurze w stronę Woli środkiem ulicy, walił prosto na patrole policyjne udając pijanego i śpiewając głośno: „Choć burza huczy w koło nas“.

Podczas łapanki w kawiarni na Chłodnej z absolutną obojętnością jak idiota lub filozof przedmuchiwał swą pipkę do papierosów, ignorując żandarmów miotających się wśród stolików. To go uratowało, bo żaden Niemiec nie podejrzewał, że ten gość w kącie, który się wcale nie boi — cośkolwiek rozumie i ma jakieś znaczenie.

To jego rozumienie odrębne na swój sposób, długodystansowe, każdą swą koncepcją odbiegało od schematu.

Korczak, zbyt kochał swe szaleństwa, aby chciał być z nich leczony przez innych, „mimo woli“, jak wyznawał w pamiętniku. Każdą klęskę starał się nagiąć do swej idei o przebudowie ludzkości.

Do ucznia-przyjaciela przebywającego czasowo w Wilnie, pisał w liście: „Tutaj się wszystko zaczyna, a ciebie nie ma“.

Co się zaczynało w jego twórczej wyobraźni? Naprawdę zaczynał się głód, rabunki, epidemie, nędza, prześladowania, morderstwa... On wierzył w to, że surowe prawa wojny będą dla wielu zdemoralizowanych Żydów szkołą charakterów. Selekcja w głębi kraju wyrzuci zbyt liczne

rzese, jako element twórczy, na kolonizację nowych terenów, na wschód...

Potem nadeszła pierwsza wiosna wojenna po mroźnej, złej zimie. Zaczęły się pierwsze łapanki uliczne, na żydowskie kartki dawali ciężki, gliniasty, trujący chleb w małych kromkach. Na krańcach żydowskich dzielnic budowano mury. Wrogość i nastroje pogromowe rosły z dnia na dzień.

Właśnie wtedy Korczak przysłał przyjaciółom kwiaty przez kędzierzawego chłopaczka z „Domu Sierot” — pachnące ciężkie kiście fioletowego bzu. Na dołączonej karteczce napisał:

„Trzeba pamiętać o różach, kiedy płoną lasy“.

W tych czasach rosnącej krzywdy, ciągłego niebezpieczeństwa zapragnął także po raz pierwszy obdarzyć swe dzieci sztandarem.

Chciał dla nich oczarowania, gestu dumy, symbolu zakłętego w chorągiew. Sztandar miał być zielony, jak to sobie marzył król Maciuś. Na zielonym tle kwiaty kasztanów oznaczały symbol wiecznego kwitnienia. Po drugiej stronie na białym tle błękitna gwiazda syjonu, symbol chwilowej hańby i odwiecznej potęgi, pieczętowała swym znakiem tragedię i wielkość, poniżenie i dumę żydowską.

To połączenie symboli, tak znamienne dla pomysłów Korczaka, wypowiadało najlepiej nastrój, w którym upierał się przy kwiatach i nadziejach, represji nie zauważał, a krzywdy znosił z wyższością przyszłego zwycięzcy.

Nawet spalenie całych nakładów jego własnych książek na rozkaz Niemców, konfiskujących je jako literaturę żydowską, zniósł z filozoficznym spokojem. (Tylko część uratowanych nakładów zamurowano na strychu „Domu Sierot“).

W październiku przyszedł rozkaz utworzenia zamkniętej dzielnicy żydowskiej.

I znowu, jak zawsze, przez cały ten czas Korczak nie schylił głowy. Żegnał się z uśmiechem z przyjaciółmi.

Odchodząc prosił o dar: barwne reprodukcje obrazów dla przyozdobienia ścian w nowym pomieszczeniu „Dому Sierot“ i o aplegery czerwonych pelargonii do okien.

Jeszcze po raz ostatni zapragnął ozdobić uśmiechem sztuki i przyrody więzienne dzieciństwo swych dzieci. groźne dni zbliżającej się mimo wszystko klęski.

TRAGEDIA OJCA

Rozkaz niemiecki o przesiedleniu całej ludności żydowskiej do jednej dzielnicy Warszawy odczytany został przez wszystkie głośniki uliczne dnia 14 października 1940 roku, po czym nastąpiło ogłoszenie go w pismach i rozplakatowanie na murach z dwutygodniowym terminem wykonalności. Termin ten przesunięto następnie jeszcze łaskawie na dwa tygodnie, po czym granice getta zamknięto.

Sierociniec Korczaka leżał na terenie dzielnicy aryjskiej.

Nie pomogły więc starania o pozostawienie go na miejscu. Rozkaz niemiecki nie uznawał żadnych wyjątków. Po okresie pertraktacji z Niemcami przyszedł okres starań się o odpowiedni lokal. Kierownictwo „Domu“ doszło do porozumienia ze szkołą handlową im. Roeslerów, która miała objąć dom przy ul. Krochmalnej 92, a oddać „Domowi Sierot“ swój lokal na Chłodnej 33 z wszelkimi obopólnymi gwarancjami opieki i powrotu do swej własności w odpowiednim czasie.

Doktór i panna Stefa z właściwym im spokojem i umiejętnością organizacyjną przygotowywali przeprowadzkę. Szykowano się do niej sprawnie, umiejętnie i w takiej godnej ciszy, jak gdyby chodziło tu o coroczny wyjazd do Goławka, z którego wróci się wesoło po wakacjach.

Z moich ostatnich rozmów z doktorem pamiętam i inne projekty. Jak zawsze, kiedy był dotknięty i wzbudzony wewnątrznie, chciał i teraz zadrwić z siebie, z Niemców, z tragicznego przymusu. Projektował przeprowadzkę jako wielką operę-buffo, groteskowy pochód przez miasto, w którym korowód dzieci miał nieść na nowe locum: lampy, klatki z ptaszkami i... nocniki...

Nie wiem w jakim stopniu pomysł ten zrealizował. W każdym razie, gdy ostatnie auto naładowane kartoflami wyjeżdżało z Krochmalnej do getta, zatrzymali je i skonfiskowali niemieccy żandarmi. Korczak oburzony natychmiast poszedł upominać się o swoją własność do pałacu Blanka. Poszedł jak zwykle w mundurze oficerskim i bez opaski, której nie nosił z zasady. Rozmowa, która przy tej okazji wynikła, nie skończyła się tak dobrze jak poprzednia. Dowiedziawszy się, że Korczak jest Żydem — Niemcy znieważyli go i pobili. Zaaresztowany Korczak odstawiony został na Pawiak.

Przesiedział tam kilka miesięcy. Na przesłuchaniach w Gestapo pytano go, czy zgodzi się, aby Gmina zapłaciła za niego okup. Nie zgodził się. Dopiero po dłuższym czasie trzech jego wychowankowie: Beniamin Cukier, Harry Kaliszer i Chaim Bursztyn uzbierali z trudem 3000 zł. i wykupili doktora z więzienia.

W marcu zapadł wyrok skazujący go dodatkowo na karę pieniężną 3000 złotych. Granatowy policjant, który miał doręczyć odnośny nakaz, przetrzymywał go tak długo, jak było można. Korczak otrzymał nakaz dopiero w końcu maja. Ale i tak przy rozłożeniu sumy na raty nie był w stanie jej zapłacić. Terminy, raty, podania o zwolnienie, deptanie w tej sprawie do adwokatów dusiły go jak zmora. Była to chyba jedyna jego troska osobista w tych okropnych czasach.

Pod koniec zimy powrócił Korczak do getta i do „Domu“ na Chłodnej, który przez ten czas organizowała i podtrzymywała siła duchowa panny Stefy.

Tam, na Chłodnej urządzono się jeszcze w miarę możliwości dobrze i wygodnie. Ale niestety w roku 1941 przeniesiono „Dom Sierot“ do małego getta, do domu przechodniego Śliska 9—Sienna 16. Nowy lokal okazał się nieodpowiedni. Sierociniec zajmował wprawdzie dwa piętra, ale sale były ogromne, jedna z nich, dawna balowa, z lustrami i kolumnami. Z wielkim trudem i pomysłowością przekształcano ją na noc na sypialnię, na dzień na jadalnię i salę rekreacyjną dla dwustu dzieci. Panna Stefa nie miała pokoju, spała w kancelarii. Doktor sypiał w izolatce, z kilkorgiem dzieci chorych, których doglądał nocą. W dzień organizował, starał się, pertraktował, tłumaczył, chodził, prosił, spełniał w dalszym ciągu ciężką jałmużniczą rolę, tylko już bez poprzedniego podniecenia i rozpędu.

Tutaj w getcie był „Domu“ i jego powiększonej liczby wychowanców uzależniony był kompletnie od opieki społecznej i niczym nieprzymuszonej woli ludzi w większości pozbawionych źródeł utrzymania albo bardziej zasklepionych w egoizmie niż przed wojną.

Towarzystwo „Centos“ przejęło w tym czasie opiekę na wszystkich dziećmi żydowskimi. Poza tym istniało jeszcze z ramienia Niemców tzw. JHK — Jüdisches Hilfskomitee.

O wiele cięższy był teraz również obowiązek pertraktowania z Zarządem Gminy o przydziały i zapomogi, a także zebrania o ofiary indywidualne.

Wziąwszy na siebie ten obowiązek opieki nad gromadką swych dzieci, Korczak traktował go żarliwie i bojowo. W getcie z właściwym mu krytycyzmem i poczuciem humoru, a nawet złościwością widział obok nieszczę-

ścia i krzywdy wszystkie najgorsze ich skutki. Ze zgrozą obserwował złą wolę jednych, egoizm czy instynkt zarabiania i posiadania innych, tragiczną rozbieżność między rozpustą materialną i rozkiełznanymi apetytami bogatych a beznadziejną nędzą zdeklasowanych nędzarzy. W chaosie stłoczonych, wygłodzonych instynktów oraz rozbieżnych działań wybrał postawę walki zawziętej i bezwzględnej o byt swych dzieci.

Walka była trudna. Zdobywanie pieniędzy, strawy, tranu, witamin, miejsca przychodziło opornie. Korczak pisał listy z prośbami i pogrózkami, był rozdrażniony, potrafił być bezwzględny, prowokacyjny, chciwy na przydziały i świadczenia.

Wielokrotnie zarzucano mu, nawet po jego męczeńskiej śmierci, ów egoizm, który ciężar spraw ogólnych przenosił na teren własnego „Domu“. Tak było. Ale jednostronność występowała tylko w stosunku do koniecznych spraw zaopatrzenia dzieci w żywność i lekarstwa.

Dnie eksplodowały często zadrażnieniami i awanturami.

Czasami udawało się...

„Po ordynarnym moim liście do dygnitarza otrzymaliśmy stosunkowo niezły zastrzyk kiełbasy, szynki, nawet stu ciastek. Niby dobrze, bo choć nie wiele to wypada na twarz, ale efekt był. Potem nawet niespodzianka w postaci 200 kg kartofli. Jest echo listów, ale zadrażnienie, przelotne dyplomatyczne zwycięstwo, łatwo zdobyta koncesja nie powinny wzbudzać optymistycznych nadziei i usypiać czujności. Jakoś to sobie popróbują odbić. Jak temu zapobiec?“

Kiedy indziej w domu skądinąd znanym i zaprzyja-

źnionym z elitą kulturalną Polski, spotkała Korczaka przykra odmowa, a nawet obelgi:

„Treść dnia — to konferencja z dwoma panami, magami opieki społecznej. Potem dwa wywiady, jeden właśnie z awanturą. Potem posiedzenie zarządu“.

Czasami Korczak jest zrozpaczony:

„Wróciłem zdruzgotany z obchodu. Siedem wizyt, rozmów, schodów, pytań. Wynik 50 złotych i deklaracja na składkę 5 zł. Jak tu utrzymać 200 ludzi...“.

Cóż dziwnego, że w takich warunkach nieszczęsny opiekun 200 głodnych dzieci zwraca się o pomoc, tam gdzie ją może znaleźć, zabiega o względy ludzi nikczemnych a bogatych, otoczonych zresztą ogólną pogardą, owej słynnej „trzynastki“ z ulicy Leszno Nr 13, Kona i Hellera, żydowskich gestapowców, trzymających w pachcie cały szmugiel i wiele instytucji użyteczności publicznej w getcie, między innymi tramwaje.

To uzależnienie się od złodziei robiących majątki na żydowskiej krzywdzie, miano nieraz za złe Korczakowi.

Ale Korczak ma do wyboru albo głód swych dzieci, albo poniżenie, do którego nawykł.

Mimo owego ograniczenia do najbliższej mu uczciwo sprawy wyżywienia i przeżycia własnej gromadki — Korczak podejmuje się w tym czasie misji heroicznej. Godzi się być naczelnym dyrektorem przytułku na Dzielnej 39, przeniesionego z Wolskiej 19 i przekształconego w pogotowie dla dzieci. Był to dom rozdzielczy magistracki, obciążony olbrzymim personelem, który nie płacony zerował na dzieciach — miejsce nędzy i krzywdy dziecięcej, głodu, brudu, nieuczciwości... Objąć to piekło i wprowadzić na jego teren zasady uczciwości i miłości — to praca syzyfowa. Korczak, który w roku 1937 odmówił kategorycznie

przejęcia tego samego „Domu“ — teraz w poczuciu obowiązku, podejmuje ten bohaterski wysiłek. Odtąd wizyty na Dzielnej, wielodniowe nieraz przebywanie tam, są dla niego terenem walki, źródłem zgryzoty i męki.

Skorumpowany personel kłócił się z nim, zatruwał życie, stanowił wrogą nienawistną „sitwę“. Dzieci były także zdemoralizowane, chore, umierały dziesiątkami z głodu. Największa śmiertelność panowała wśród małych podrzutków. Korczak patrzył na to z filozoficznym, kamiennym spokojem desperata. „Jeśli już muszą umierać, niech umierają te najmłodsze“ — mówił.

Wiele było również scysji w stosunkach z władzami szpitalnymi i opiekuńczymi, które decydowały o przydziałach lekarstw i tranu. Decyzje ich, stojąc na stanowisku dobra społecznego, kolidują nieraz z posunięciami indywidualnymi Doktora. Tak na przykład, lekarze szpitala przy ulicy Stawki protestują ostro przeciw tajeniu wypadków tyfusu na terenie „Domu Sierot“ i nawet, jak twierdzi Korczak, denuncjują go przed władzami. Doktor unosi się, kłóci, odchorowuje tego rodzaju przejścia.

W tym stanie nerwów i zdrowia męczą go i denerwują codzienne jałmużnicze wędrówki, za których cenę jego „Dom Sierot“ staje się oazą wśród morza ogólnej nędzy i budzi w związku z tym zawiść.

Ciągłe narady z lekarzami: Brokmanem, Hellerową, Przedborskim, Ganzem-Konem, Liwszycem, Mayznerem, Rosenblumówną, Zandową: „Radźcie — woda wapienna — co jeszcze?“ — pyta bezradnie.

I dalej wciąż ta sama trasa: Kobryner — zasiłki chorobowe, Herszaft — dożywianie, Kramszytk — jakoś węgla i jego stosunek do ilości drzewa.

Dalej: długotrwałe rozmowy o drożdżach: Betabion, witamina B i dręczące pytania: Ile razy w tygodniu i ile,

jak, od kogo, przez kogo? Zdobywanie krwi końskiej, która domieszana do kaszy stanowiła cenną pożywkę.

Ostatni telefon z getta do wieloletniej towarzyszki pracy, dr Grzegorzewskiej, dotyczył jedynie sprawy wyżywienia dzieci. Korczak prosił o skomunikowanie z jego dawnym słuchaczem Wawrzynowskim w sprawie dostarczania do getta jarzyn i ziemniaków.

Z goryczą pisze Korczak w tych czasach do siostry:

„Kochana Anko. Wizyt nie składałem. Chodzę żebrać o pieniądze, o produkty, wiadomość, radę, wskazówkę. Jeśli to nazywasz wizytami, to są one ciężką, poniżającą pracą. A trzeba błaznować, bo ludzie nie lubią ponurych twarzy“.

Te ciężkie obowiązki mają jednak i swe dobre strony. Dają cel doraźny życiu, odwracają oczy od beznadziejności sytuacji, od tragedii ogółu, na krótki dystans bliskiego, materialnego celu, a tym samym chronią przed strachem i rozpaczą.

Gdyby nie ich utrudzająca podnieta, nie wiadomo jakby reagowało czułe, wrażliwe serce Korczaka na to, co widział na każdym kroku.

Bo to, co przyszło w zamknięte granice getta, „to był chiński głód, chińska poniewierka sierot, chiński pomór dzieci“.

Realistyczny fragment pamiętnika daje nam wgląd w formy tego zubożenia na zło i nieszczęście.

„Oto leży na chodniku wyrostek jeszcze żywy lub już umarły. W tym samym miejscu trzem chłopcom, którzy bawili się w konie, poplątały się sznurki (lejce). Radzą, próbują, niecierpliwą się, potracają nogami leżącego. Wreszcie jeden z nich mówi:

— Posuńmy się, on tu przeszkadza.

Odchodzą kilka kroków i dalej borykają się z lejcami“ („Pamiętnik“).

Inna scena uliczna, to awantura jakiejś bogatej pani z rykszarzem, znowu chińska scena poniżenia człowieka.

Codziennie obchody rodzin nędzarzy, uczciwych i na wymarcu, to całe piekło nowych doświadczeń... Egoizm zamożniejszych ludzi, rozpacz rodziców konających bez zabezpieczenia dzieci.

Największym osiągalnym szczęściem było umieszczenie dziecka w sierocińcu u Korczaka. Ale miejsc jest mało. Odmowa równa się śmierci. Korczak i panna Stefa odchodzą te odmowy w czasie czwartkowych przyjęć.

A czym jest dziś ten sierociniec w porównaniu z dawnym „Domem Sierot“ na Krochmalnej?

„Sierociniec — koszary — wiem.

Sierociniec — więzienie — tak.

Sierociniec — ul, mrowisko. Nie.

Dom sierot jest teraz Domem Starców... Ranne rozmowy dzieci — wyniki mierzenia ciepłoty. Ile ja mam gorączki, ile ty? Kto gorzej się czuje, jak kto spędził noc?...

Dzieci snują się. Tylko naskórek normalny. A pod nim czai się zmęczenie, zniechęcenie, gniew, bunt, nieufność, żal, tęsknota.

Bolesna powaga ich pamiętników. Odpowiadając na ich zwierzenia dzielę się z nimi jak równy z równym. Wspólne nasze przeżycia — ich i moje. Moje bardziej wodniste, rozwodnione, poza tym to samo“. (Pamiętnik).

Cóż dziwnego, że te smutne dzieci tak błagalnie proszą plebana przy kościele na Lesznie o pozwolenie bawienia się w ogródku kościelnym, bo „tęsknią za trochę powietrza i zieleni“.

Cóż dziwnego, że za ostatnie grosze kupują sobie farbowane cukierki, iluzoryczną osłodę, ku zgorszeniu i zdumieniu amerykańskich gości.

I co dziwnego, że stary zatroskany ich opiekun tak czule zagląda im w oczy, tak troskliwie przenosi do swego łóżka malców, którym przyśniło się coś złego, często już dzieci wychowańców-, „wnuków“... że pieśczośliwie gładzi małe główki i ręce. Że przy zbiorowej epidemii żołądkowej walczy z infekcją i histerią zażarcie i rozpaczliwie.

I że jeszcze w ostatniej chwili, w dzień rozpoczęcia akcji wysiedlenia getta, przeciwstawia się w imię bezpieczeństwa i zdrowia swojej gromady, miłosiernemu zasadniczo projektowi przyjęcia na teren swego domu kilkunastu ozdrowieńców wysiedlonych ze zlikwidowanego szpitala na Stawkach

Kiedyś, przed laty, w Palestynie powiedział:

„Jestem stary i nie mam własnego dziecka“.

Teraz zatarły się granice uczucia i przynależności krwi. W obliczu niebezpieczeństwa — wszystkie dzieci „Domu Sierot“ okazały się własne — egoistycznie i drapieżnie...

Kiedy zebrał jeszcze przed wojną, jeszcze na wolności o chleb dla dzieci na Krochmalnej, pytał skandując słowa w płaczliwy rytm żydowskiego zawodzenia:

— Czy dobrze być dzieckiem? Tak sobie. Nie bardzo. Nie wiem, zapomniałem... Ale wiem, że gorzej być dzieckiem żydowskim. A jeszcze gorzej być dzieckiem żydowskim biednym i osieroconym.

Ale czy może być coś gorszego. Czemu nie? Może.

Źle być starym, ale gorzej być starym Żydem. Czy może być coś gorszego?

Ojoj, bo jeżeli ten stary Żyd nie ma pieniędzy. A jeżeli nie ma pieniędzy i jest niezaradny też..

Czy to już jest najgorsze?

Nie. Jeżeli stary niezaradny Żyd ma w dodatku kupę dzieci na karku i boli go serce, i nie tylko serce, ale nogi i krzyż. I widzi, że już nie ma sił...

— Czy jest jeszcze coś gorszego?„

Tak. I przyszło to najgorsze. Wcale jednak nie to, o czym myślał Korczak. Bo najgorsze było to: oto stary, chory, niezaradny Żyd zaczynał rozumieć i widzieć, że głód i śmierć mogą każdej chwili zabrać i zgubić jego wszystkie małe, bezbronne, zbiedzone dzieci.

STAROŚĆ I MARZENIA

Proces Korczaka ze starością rozpoczął się już na długo przed wojną. Ale, jak u wszystkich ludzi nerwowych, zależny był w najwyższym stopniu od nastroju psychicznego chwili.

Jeszcze w roku 1927 pisał Korczak: „Gdybym był młody, miałbym więcej inicjatywy, mniej wątpliwości... Trudno, starzeję się, jestem zmęczony, pełen troski. Tyle pracy. Wszystko to spóźnione. Wszystko w czasie, kiedy ludzie myślą o odpoczynku. Nie skarżę się. Nikt temu nie winien, tak musi być. Ale boli...“.

Potem ta starość, odczuta tak wcześnie, odsunęła się jak gdyby na dalszy plan. Nazwawszy się sam przekornie i oficjalnie „Starym Doktorem“ Korczak był w istocie zbyt bogaty w młodzieńcze projekty i prawie dziecięce odczucia, by ją sobie uświadamiać.

Dwa kolejne siedmiolecia 7×7 i 7×8 były podobne do siebie jak jednatki (Pamiętnik). Cóż z tego, że powolutku ubywało sił fizycznych, że przychodziły i odchodziły choroby. Obserwacja rówieśników objawiała ciągle zmiany. „Ten więcej łysiny, a ten siwizny, ten sztuczne zęby, ten tylko korony. Ten okulary, tamten nie dosłyszysz“. Bywa, że spotykamy kogoś po wieloletnim niewidzeniu. W jego zmienionej twarzy czytamy własną odmianę od tego, co było i czym byliśmy“. (Pamiętnik).

Dopiero czas klęski naprawdę ujawnił tragizm mijania. W przeklętym okresie przedwojennym począwszy od roku 1936 Korczak czuje się nieszczęśliwy, zbędny, a więc i stary. Wielokrotnie podkreśla tę słabość i brak sił w latach do przyjaciół w Palestynie.

W tym właśnie czasie ogłasza przez mikrofon, a następnie drukuje w „Antenie“ swój felieton o samotnej starości.

„Kiedy zaczyna się starość, jej samotność? Pierwszy siwy włos, pierwszy wyrwany ząb, który nie odrośnie. Pierwsza czy dwunasta mogiła mistrza, rówieśnika wspólnych prac, głupstw i nadziei. Czy syn (córka), który dorasta, czy dopiero wnuk? Jak to było? Pierwsze ze starością spotkanie. Zbliża się zwolna, odsuwa — czy też zaczął się i nagle zwali na barki. A ty? Bronisz się czy ulegasz?“

Ludzki los mijania i kończenia, odstępowania swego miejsca i swej pracy nadchodzącym, był bolesnym bilansem końca i gorzką pociechą. Wstęp do pamiętnika (zamierzony już na kilka lat przed wojną, napisany wedle zeznań najwiarygodniejszego świadka, podczas pierwszej wojennej zimy) — mówi o nim szerzej, stara się dotrzeć głęboko do tej tragicznej odmiany w dziejach jednostek i pokoleń.

„Cóż — Starość.

Jeden opiera się i dopuszcza, pragnie po dawnemu, nawet szybciej i silniej, by zdążyć. Łudzi się, broni się, buntuje i miota. Drugi w smutnej rezygnacji zaczyna nie tylko zrzekać się, ale nawet cofać.

— Już nie mogę.

— Już nawet nie chcę próbować.

— Nie warto.

— Już nie rozumiem.

— Gdyby mi zwrócono urnę spopielałych lat, energię strwonioną w błędzeniach, rozrzutny rozmach dawnych sił...

Nowi ludzie, nowe pokolenie, nowe potrzeby. Już jego drażnią i on drażni — a potem stale już nieporozumienia. Ich gesty, ich kroki, ich oczy, białe zęby i gładkie czoło, choć usta milczą...“.

Ciekawe, że Korczak nie mówi tu nigdy w pierwszej osobie. W doskonałym psychologicznie stwierdzeniu nie poczuwa się tym samym do tragicznej wspólnoty z przemijającymi... W listach rozkazuje sobie być młodym z obowiązku.

Nie darmo w pierwszym ze swych przemówień radiowych po wybuchu wojny stwierdził, że alarm: „Do broni!“ zrzucił mu z ramion całe dziesiątki minionych lat. Uderzenie klęski było silne i na razie zmobilizowało całą energię i wolę...

Ten nawrót młodych sił okazał się jedną z zasadzek czy zaczajeń, które potem zwały się raptownie na sześćdziesięcioletnie życie siłą wielu klęsk moralnych i fizycznych cierpień.

W pierwszym okresie wojennym Korczak wielokrotnie i ciężko choruje. Wdrożony do pracy i obowiązków z trudem odgina zbolałe plecy, powoli wstaje z krzesła.

W latach, które nastąpiły po przeniesieniu „Domu Sierot“ do getta, Korczak cierpi na silne osłabienie mięśnia sercowego, puchną mu nogi, ma zapalenie oczu, niewyleczony wysięk po zapaleniu opłucnej i wiele innych bolesnych dolegliwości, związanych z wiekiem.

W sumie warunki fizjologiczne, jeśli uwzględnić stan moralny i ramy wegetacji w getcie — jak najbardziej sprzyjające starczemu załamaniu się i ostatecznej prostracji.

Sił fizycznych czasami wystarczało po prostu tylko na pół dnia. O drugiej po południu, pan Doktor wyczerpany i bezsilny kładł się do łóżka... Budził się nocą, aby myśleć i pisać...

A potem z rana, gdy jego ul rozpoczynał swe dziecięce, wesołe brzęczenie, wstawał, aby starać się, walczyć, użerać nie tylko o życie swych sierot, ale o swe własne prawo do pełnowartościowego, czynnego istnienia.

Charakterystyczne jest, że jak zawsze, jak w smutnym dzieciństwie, jak w zbuntowanej młodości, tak i teraz w tym okresie starzenia się w sukurs zwątlalym siłom, podważanej nadziei — przychodziły marzenia i chcenia.

„Stary jestem, ilekroć wspominam przeszłość: lata i zdarzenia ubiegłe“ — pisze Korczak — „chcę być młody, więc układam plan na przyszłość“.

Pamiętniki Korczaka pisane były w krótkim okresie od maja do lipca 1942. Ale na tej niewielkiej przestrzeni czasu, zamkniętej faktem końcowego męczeństwa, mamy pełny i tragiczny obraz owego zmagania się woli i marzeń z bezwładem sił fizycznych i cierpieniem.

Rzuty w przeszłość odsłaniają przed nami poprzednie etapy tej walki. W najgorszych chwilach minionego życia przychodziło pragnienie zakłęte w formę baśniowej fantazji i przywracało Korczaka przyszłości. Tak było po śmierci matki, gdy z sublimatem i pastylkami morfiny w kieszeni, z projektami samobójczymi szedł na cmentarz na jej grób. I tak już było potem, nawet w niemieckim więzieniu. „Zawsze w ostatniej chwili napływało jakieś marzenie, którego nie mogłem porzucić bez opracowania“. „Więzienne noce dały mi najciekawsze rozdziały powieści...“ Korczak sam określał te rojenia podobne do tematów nowel mianem „rzeczy dziwnych“. I naprawdę były dziwne jak na trzeźwy rozsądek i przekorne poczucie humoru

i rzeczywistości obserwatora i filozofa. Swym fantastycznym biegiem myśli znaczyły żywy, choć ukryty irracjonalny nurt, który szedł od marzeń infantylnych do ostatniej baśniowej utopii śnionej wśród nocy grozy.

Korczak doskonale zdaje sobie sprawę z tych zmagañ. Świadomie podsycy siły i natchnienie narkotykiem — w dosłownym i przenośnym znaczeniu tego słowa. Stany słabości notuje z bolesną szczerością.

Ubożuchne są te narkotyki zażywane, aby zwalczyć ból i wprowadzić się w rozkoszny stan półśnienia i rojeñ.

„Natchnienie daje mi pięć kieliszków spirytusu pół na pół z gorącą wodą. Po czym idzie rozkoszne uczucie znużenia, brak bólu...

Poza tym: karmelek umieszczony w kieliszku, aby zwalczyć nieznośny smak czosnku i kwaszonej kapusty, pozostały po dziennej strawie. Pięć deka serdelowej kiełbasy“ — ze smutkiem notuje, że cena jej wzrosła już do zł 7.20. I wiele szklanek kawy, naparzonej z zużytych fusów i osłodzonej sztucznym miodem. „Jak to dobrze, że ten sztuczny miód jest słodki“ — wzdycha. Przyjaciele, którzy mieli Korczakowi dostarczać fusów (na dar prawdziwej, pełnowartościowej kawy Doktor nie chciał się zgodzić) popełniali przy tym ciche oszustwo. Prawdziwa kawa była zmielona i zmoczona w ten sposób, że udawała tylko fusy, zachowując swą wartość. Doktor domyślał się tego, ale jakoś nie protestował... Natomiast oddawał dzieciom wszystkie paczki amerykańskie, które przysyłali mu zza murów przyjaciele, jak Stefania Sempołowska i Maria Czapska. A przecież wszystko, co dodawało sił i podniecało bieg myśli, było tak cenne w tym czasie udręki i beznadziei.

Ten abnegat przez całe swe życie przyjmujący posiłki ze wspólnego kotła, na brzegu internatowego stołu, ten

człowiek najmniejszych wymagań osobistych, pozbawiony smaku i indywidualnych apetytów — teraz, kiedy rośnie w nim starość i bezsilność, wygłodniały i obolały potrafi marzyć nawet o jedzeniu:

„Mam różne myśli na sen. Tym razem co zjadłbym bez przymusu, jeśli nie wstępu nawet? „

Ja, który pół roku temu jeszcze nie wiedziałem dokładnie co mi smakowało... (Okresami to, z czym wiązało się jakieś wspomnienie...).

I oto teraz, jako temat kojący, żeby zasnąć:

Co bym zjadł?

Odpowiedź:

— Wino szampańskie z biszkoptami i lody z winem czerwonym.

Dowód czasu mych perypetii gardlanych, bo już lat dwadzieścia nie jadłem lodów, szampan piłem może trzy razy w życiu, biszkopki chyba w dzieciństwie podczas choroby“.

Jest w tych marzeniach jakieś żalosne pragnienie smaków niezaznaczonych za życia, gastronomiczna fantazja wieloletniego abstynenta. Jest jeszcze coś więcej.

„Próbowałem się: A może ryba z sosem tatarskim? Sznyceł wiedeński? Paszтет — zając z czerwoną kapustą? malaga?

Nie, kategorycznie, nie.

Dlaczego?

Rzecz ciekawa. Jedzenie jest pracą, a ja jestem zmęczony.

Bywa, że budząc się rano myślę:

Wstać, to usiąść na łóżku, sięgnąć po kalesony, zapiąć, jeśli nie na wszystkie, to choć na jeden guzik. Zmoco-

wać do koszuli. Przy ubieraniu skarpetek trzeba się zgiąć. Szelki...

Kaszlę. To ciężka praca zejść z chodnika na jezdnię, wspiąć się z jezdni na chodnik. Tracił mnie przechodzień. Zatoczyłem się i oparłem o ścianę...

I to nie jest osłabienie. Dość łatwo podniosłem szkolniaka, 30 kilo żywej odpornej wagi. Nie brak sił, ale jak kokainista — brak woli. Myślałem nawet czy w tytoniu, w surowych jarzynach, w powietrzu, którym oddychamy..."

Świetny obserwator, wieloletni diagnosta stanów psychicznych — wiedział Korczak, że tu nie poradzi czarna kawa i alkohol. Uciekał się do lekarstw natury psychicznej... Popadał w fascynujący nałóg rojeń.

„Kilkanaście było do wyboru tych marzeń na warsztacie“.

Oto jedno z nich: „wynałazłem maszynę (bardzo szczegółowy skomplikowany mechanizm opracowałem). Coś w rodzaju mikroskopu. Skala — sto. Jeżeli mikrometr przekręcę na 99 umiera wszystko, co nie posiada ani jednego procentu człowieczeństwa... Pracy było co nie miara: Musiałem ustalić, ilu ludzi (istot żywych) za każdym razem wypada z obiegu, kto miejsce ich zastąpi i jak będzie wyglądało to oczyszczone, prowizoryczne, nowe życie...“.

Znowu inna utopia: „Znalazłem wyraz magiczny. Jestem dyktatorem światła... Oto marzenie na odpoczynek. Wielki szpital dziecięcy pod miastem. Miasto wyrzuca mu chore dzieci, jak muszle na brzeg. Stary Doktor jest tylko dobry, nie pyta, nie leczy. Daje cukierki, bajki opowiada, odpowiada na pytania... Dzieci zdrowieją, umierają, jak to bywa w szpitalu...“.

Potem znowu zabarwia się, wzmaga intensywność fantazji. Znowu następują najśmielsze rzuty w przyszłość.

Nowe sposoby uprawy ziemi czy hodowli, czy nowe syntetyczne produkty, czy kolonizacja niedostępnych dziś obszarów — równika i biegunów. Można powiększyć ilość mieszkańców ziemi do pięciu miliardów...

Porozumiano się z nową planetą. Kolonizacja Marsa. Może księżyc przyjmie nowych imigrantów? Może jeszcze sprawniejsza komunikacja z bardziej odległym sąsiadem?...

Wspólny język — esperanto. Radio ulepszone. Olimpiada światowa o najpiękniejszą symfonię... W planie swoich prac literackich, szerokim, bo zamierzonym na 10 pozycji, obok powieści dwutomowej z życia Palestyny, serii biografii sławnych ludzi, własnego życiorysu, i powieści o królu dziecku „Dawidzie“, mamy także pomysł innej utopii: zagadnienie wojny spowodowane do współzawodnictwa muzyków i poetów o najpiękniejsze dzieło.

Dysproporcja tych upajających rojeń z nędzą i poniżeniem dnia codziennego jest trudna do zniesienia. Znowu przychodzą odpływy sił, nuda, rezygnacja, ośpienie w kołowrocie zabiegów i przykrości.

Korczak, zagrożony przez śmierć, stara się jeszcze bronić słowem. Projektuje liczne prace literackie. Pragnie opisać szeroko, dokładnie każdy dzień, każde drgnienie życia, które przemija.

Potem odpoczynek czytania zaczyna zawodzić: „Objaw groźny, oszalałem i to mnie już nie niepokoi: nie chcę zidiociec...“.

Przychodzi obrzydzenie do samego siebie, że wobec klęski w poczuciu bezradności, śpi, je, nawet z rzadka żartuje...

Znowu wracają bóle fizyczne i ostrzeżenia starości.

„Ten ząb, co język kaleczy — rozpacz! — Piłuję go i nic. A może to rak. A może to już?”

Tak. Śmierć była tu ciągle obecna, groziła i wabiła na każdym kroku.

Nie zapominajmy, że naczelnym marzeniem tego czasu była w snach Korczaka — eutanazja.

ŚMIERĆ I NIEŚMIERTELNOŚĆ

Tak więc przedstawia się w tym czasie sytuacja. Wewnętrzne niedomagania rosną w głębi ciała jak groźne memento. Śmierć zbierająca co dzień ofiary na ulicach, śmierć z niemieckiego wyroku, z zagłodzenia, od kuli — czeka cierpliwie na chwilę, w której schwyci i zadusi...

Marzenia nocne celują w śmierć zadaną przez eutanazję jak w bezbolesne i błogie wyjście z kręgu udręk.

Jest rok 1940, 41, 42 — okres zaiste przedśmiertny.

Ale śmierć domagająca się tak natarczywie zrozumienia i prawa w tym czasie klęski — ma już w poprzednim, długim życiu Korczaka swe głęboko tkwiące korzenie.

Jej nagłaćca pokusa pchała rewolwer w drżące ręce podrostka i kusiła pastylką trucizny osieroconego syna i bojownika zawiedzionego w swych najgłębszych nadziejach i pragnieniach. Ona straszyla baśnią i czarnym krzyżem cmentarnym niespokojne dziecko i ona objawiała się hukami wystrzałów na polu bitew, grozą pękających bomb w czasie rewolucji.

Korczak młodzieńczy i zbuntowany wyzywał ją i prowokował do ciosu. Korczak-myśliciel starał się zrozumieć i usprawiedliwić jej nieuchylone wyroczne prawa.

On pierwszy zgłaszając twardo prawa dziecka do życia, zgłaszał je także do wczesnej śmierci. Starał się nauczyć zaleknionych rodziców tej prawdy, że nie wolno uni-

kać zgonu kosztem życia zdeformowanego i obezwładnionego przez strach.

On, zadumany gorzko nad losem małej, skrzywdzonej i zagrożonej przez cierpienia i prześladowania istoty — zastanawiał się, czy paradoks, że śmierć bywa czasem najlepszym wyjściem z sytuacji, nie jest przypadkiem prawdą.

Teraz wraz z wojną, z niewolą w getcie, wobec ustawicznej perspektywy głodu lub śmierci wojennej, problem zgonu ulega tym bardziej zaognieniu.

Pamiętniki Korczaka zawierają w ostatniej swojej części cały duży traktat o „eutanazji“.

„Zabić ze współczucia ma prawo ten, kto kocha i cierpi — gdy sam też nie chce pozostać przy życiu. Tak będzie za lat niewiele“.

W okresie gdy śmierć w najbardziej drapieżnej i wynaturzonej formie czyhała na każdym kroku — uspokojeniem i narkotykiem mogła się wydawać myśl o śmierci dobrowolnej i łagodnej, która przychodzi jak sen, jak wyzwolenie od choroby, starości, męczarni.

Korczak w chwilach ostatecznego zmęczenia i słabości roi więc obłądnie o zorganizowaniu sprawy śmierci, które istnieje dotąd w „jątrzącym niemądrym brudnym bezładzie“, o tej śmierci wyzwalającej i zaprojektowanej, związanej z najważniejszymi problemami populacyjnymi ludzkości.

Ale po tych majaczeniach śmiertelnie umęczonego, starego człowieka przychodzą zadania dnia codziennego. I wobec nich Korczak przyznaje:

„— Gdy w ciężkich godzinach ważyłem projekt usmiercania (usypiania) skazanych na zagładę niemowląt i starców żydowskiego getta, rozumiałem to jako morderstwo w stosunku do chorych i słabych, jako skrytobójstwo w stosunku do nieświadomych“.

Korczak pozwala sobie na fantastyczne rojenia o przyszłości i rozwiązywanie w teorii spraw życia i śmierci. Ale w praktyce, jeśli chodzi o siebie, o swoich, o dzień jutrzejszy, stara się za wszelką cenę utrzymać przy życiu, wbrew wszelkim pogrożkom tego dnia. Sposób, w jaki leczy i karmi swe dzieci, w jaki oszczędza i dawkuje własne siły do jakiejś ostatecznej rozgrywki, świadczy wymownie o tym. Do końca mocno, uparcie chce żyć.

Gdy groza jest bliższa, gdy rozpacz nadto już straszy, ratuje się filozofią.

W jej świetle śmierć wydaje się prosta, łatwiejsza od życia.

„Indolencja. Nędza uczuć — pełne bezgranicznej rezygnacji żydowskiej. — Więc co jest? I co dalej?

— Więc co, że język mnie boli, co, że rozstrzelali? — Już wie, że musi umrzeć. I co dalej? Przecież nie umiera się więcej niż raz“... (Pamiętnik).

W nocy przychodzą złe, krwawe i koszmarne sny...

„Budzę się spocony w chwili najgroźniejszej. — Czy śmierć nie jest takim przebudzeniem w momencie, gdy zdawało się, że już nie ma wyjścia?“

„Każdy przecież może znaleźć te pięć minut, żeby umrzeć — czytałem gdzieś“.

„O, jak ciężkie jest życie, jak łatwa śmierć“ — pisze na dalszych stronach pamiętnika. „Lżej jest umierać dla idei. Trudniej jest żyć dla idei z dnia na dzień. Z roku na rok“ — tak pisał jeszcze wcześniej w liście z 1928 roku.

„Ciężka to praca urodzić się i nauczyć się żyć. Pozostaje mi o wiele łatwiejsze zadanie: umrzeć. Po śmierci może być znów ciężko, ale nie myślę o tym. Ostatni rok czy miesiąc, czy godzina...“

„Chciałbym umierać świadomie i przytomnie. Nie wiem, co powiedziałbym dzieciom na pożegnanie. Pragnął-

bym powiedzieć tylko i tak, że mają zupełną swobodę wyboru drogi“.

W tych słowach rezygnacji i spokoju wobec nieuniknionego, łączą się dwie pocieszające alternatywy: wiara w nieśmiertelność i wiara w przyszłość przekazana następnym pokoleniom. „Nieśmiertelność fizyczna człowieka w jego dziecku i nieśmiertelność moralna w promieniowaniu jego myśli, w woli braterstwa nie tylko z ludźmi — z gwiazdą, z Bogiem, w szukaniu prostego magicznego słowa. (List z III. 1937 roku).

Konsekwentnie łączy się ta wiara w przyszłość, w odrodzenie ludzkości przez dziecko, wiara w nieśmiertelność pracy i myśli — w jeden front skierowany zwycięsko przeciw nieważnemu faktowi indywidualnej śmierci.

„Ludzie rozważają i czują śmierć pod kątem końca, a jest ona tylko dalszym ciągiem życia, innym życiem. Jeśli nie wierzysz w duszę, musisz przecież uznać, że ciało twoje żyć będzie jako trawa zielona, jak obłok... Jesteś przecież wodą i prochem...“.

W ostatnich dniach normalnej egzystencji „Domu Sierot“ odbyło się także ostatnie z licznych przedstawień, za-inscenizowane przez ofiarną i pełną polotu wychowawczynię — pannę Esterkę. Z wyboru Doktora grano „Pocztę“ Rabindranatha Tagore, sztukę zabronioną przez ówczesną cenzurę niemiecką. Mały czarnooki Abrasza, w natchnieniu, genialnie grał rolę umierającego induskiego chłopca Amala. Owo łagodne przejście do śmierci pod czułą narkozą złudzeń pieszczoty i nadziei, że to sam król wzywa zasypiającego chłopczyka na swój złoty dwór, odegrane było z tak przejmującą prawdą przeczucia — że widzowie płakali...

Korczak słuchając miał twarz zmienioną ze wzruszenia i bardzo bladą. Zapytany, czemu właśnie tę sztukę wy-

brał do inscenizacji — odpowiedział, że chciałby, aby jego dzieci nauczyły się przyjąć pogodnie anioła śmierci.

Tak więc i najbliższym, najmłodszym, najbezbронniej-
szym chciał dać ten cichy spokój wtajemniczenia, tę łagodną mądrość w tragicznej chwili, która, jak wierzył, nie była ostatecznym końcem.

Nie darmo błogosławił niegdyś ceniom zmarłych rodziców mówiąc:

„Dziękuję, żeście nauczyli mnie rozumieć szept żywych i umarłych. Dziękuję wam, że poznam tajemnicę życia w pięknej godzinie śmierci“. („Sam na sam z Bogiem“).

NOCE PANA DOKTORA

„Teraz rok 1942. Maj. Chłodny maj w tym roku. I ta dzisiejsza noc, najcichsza z cichych. Godzina 5 rano. Dzieciaki śpią. Jest ich naprawdę dwie setki. Na prawym skrzydle pani Stefa. Ja na lewo, w tak zwanej izolatce. Łóżko moje w środku pokoju. Na nocnym stoliku razowy chleb i dzbanek wody. Pod łóżkiem butelka wódki“.

Korczak był już w tym czasie, jak wiemy, bardzo schorowany i słaby. Kładł się do łóżka w dzień, ze spuchniętymi nogami, znużony dreptaniem po urzędach, użeraniem się z dobrodziejami, scysjami z personelem na Dzielnej, beznadziejnością dni czwartkowych przyjęć i własną bezsilnością. W nocy budził się, czuwał, czytał, pisał, rozmyślał. Nieoceniony Felek (Grzyb) przygotowywał zawczasu bloczki papieru, zaostrzone ołówki, nakładał karbid do lampki.

„Inni boją się spać w dzień, żeby nie psuć nocy. Ja odwrotnie. Niechętnie śpię w nocy, wolę dzień“.

Zgodne to było z wieloletnimi zwyczajami Doktora. Noc sierocińca była zawsze czasem jego wysiłonej pracy. Teraz stała się jeszcze czymś więcej. Ucieczką w fikcję, gdzie grozę wojny można było wyeliminować z planu myślenia, uchylić choćby na krótko.

W nocy był pozorny spokój, żadnych lęków i trosk dziennych. Okna zaciemnione, karbidówka paliła się ostro,

migotliwie. Melodią znaną na pamięć szemrały w koło oddechy śpiących dzieci.

Stary człowiek bardzo zmęczony i bardzo smutny przeżywał w te noce swe minione życie, starał się pojąć i rozplątać tajemnice przeszłości i przyszłości, a także owego dzisiaj, które było uciążliwym grawitowaniem na granicy męki i śmierci. Te rozprawy z czasem, z ludźmi, ze sobą były dla niego ważniejsze od ustawicznej grozy codziennej. Korczak wspominając i rozważając, jak gdyby samowolnie i lekceważąco zapomina o wojnie. Zaznacza jej istnienie mimochodem na jednej z dalszych stron swego wojennego pamiętnika.

Najważniejsze sprawy ducha są bowiem tylko chwilowo uzależnione od pogrózek codziennego dnia.

Czasami przerywał ciszę nocną tylko jęk, czy senne majaczenie jednego z dzieci śpiących wraz z Doktorem w izolatce, lub ostre uderzenia strzałów karabinowych.

Potem świtało... Doktor odsłaniał okno i patrzył na uśpioną dzielnicę, na niebo blade i obojętne ponad domami zagrożonych i stłoczonych ludzi, odurzonych na krótko przez sen i złudzenie.

„Bądź pozdrowiona, piękna ciszo nocy. Bądź błogosławiony, spokoju“ — modli się Korczak i bezpośrednio potem notuje na marginesie: „Ubiegłej nocy rozstrzelano tylko 7 Żydów tzw. żydowskich gestapowców. Co to ma znaczyć? Celowiej nie dociekać“.

Ile było już takich nocy w długim życiu starego człowieka. Noce dawnych dziecinnych strachów i tęsknot, noce marzeń i młodzieńczych dreszczów erotycznych, noce poszukiwań i rozpaczy...

Były noce w szynkach staromiejskich i spelunkach na Woli i Powiślu, koszarne, duszne sny w izbie doróżka-

rza, noce nauki i praktyki, gdy półsennego stawiało na nogi wezwanie do chorego dziecka.

I było tyle nocy w sierocińcu, dzielonych między pisanie a czujne wsłuchiwanie się w oddech, serce i podświadomość setek dzieci.

Przez całe lata chodził Korczak między łózkami uspiomych chłopców i dziewczynek, sam czuwając i obserwując. Całował spocone czoła, poprawiał kołdry, niósł w ramionach do ustępu tych, co się moczyli, uspakajał tych, co płakali przez sen.

I teraz było podobnie, choć inaczej.

„Leżę w łóżku. Łóżko na środku pokoju. Sublokatory moi: Moniusz młodszy (mamy czterech Moniuszów), potem Albert, Jerzyk, z drugiej strony pod ścianą Felunia, Genia i Haneczka.

Drzwi otwarte do sypialni chłopców. Jest ich sztuk 60. Nieco na wschód śpi najcichszym snem 60 dziewcząt.

Reszta na górnym piętrze. — Jest maj, więc chociaż zimny, jednakże w górnej sali mogą sypiać od biedy starsi chłopcy“.

Po koszmarach i wysiłkach dnia w granicach tych ostatnich nocy życia, ogniskuje się cała pełnia myśli i odczuć.

Wszystkie wątki życia, wszystkie jego troski i umiłowania jeszcze raz jak w wielkiej symfonii nadbiegają tu, aby wygrać swój końcowy refren w gorączkowym skrótce.

W „Spowiedzi motyla“ młodzieńki uczeń ma wizję więźnia, który w celi z ruchomą, zacieśniającą się ścianą czeka na śmierć przez uduszenie i zastanawia się z przerażeniem nad treścią odczuć tego skazańca.

Ostatnie nocne zapiski Korczaka z getta okazują go nam w analogicznej sytuacji, choć bez pełnej świadomości tego położenia. Działa jeszcze wprawdzie narkotyk złudzeń

obok narkotyku kawy i alkoholu, Korczak stara się spojrzeć na ludzkość i jej tragiczne, krwawe konflikty jak uczoney filozof Zi z planety Ro i tłumaczy sobie okrucieństwo, krzywdę i zło młodym wiekiem ziemi, która dąży do świetnej przyszłości.

Ale wszystkie duchowe zapasy jego wyobraźni i woli muszą w tych czasach próby iść w sukurs siłom i nerwom.

Gdyby nie oparcie w tych siłach wewnętrznych, Korczak nie podołałby brutalnemu naciskowi trosk i walk codziennych.

Ratuje się więc ucieczką we wspomnienia, poświęca im wiele miejsca na kartach pamiętnika. Stara się usprawiedliwić koncepcje, wedle których zdruzgotanie i przekomponowanie świata dotychczasowego przez krwawy pług wojny ma jakiś historyczny sens. Marzy, stwarza sobie utopie, w których przestronnym i czarodziejskim świecie może się czuć dyktatorem, twórcą i szaleńcem...

A kiedy i to nie uchyla wizji zatraty, rozpoczyna rozmowy z Bogiem nienazwanym i nie wyrażonym żadnym dogmatem.

Zrazu cechuje je pokorna, cicha wdzięczność za piękno natury, za skromne dary minionego życia. Korczak wspomina, zachwyca się, chwali wieczne uroki nieba, ziemi i roślin.

Ale sytuacja się pogarsza. Sielanka przekształca się w dramat. Czas zemsty i zniszczenia zagraża nie tylko życiu starego człowieka, ale istnieniu gromady dzieci, którymi się opiekuje.

Szukając rozpaczliwie drogi ratunku dla tych dzieci, Korczak znowu zwraca się do niematerialnego środka — do modlitwy.

„Gdybym zachował w sobie naiwne rozumienie Boga, na pewno modliłbym się aby zbliżyć chwilę wyzwolenia.

„Świat cierpi, przede wszystkim dzieci“ — pisał już w listach z 1936 roku.

Teraz zaś zagrożony z bliska katastrofą chwyta się tego tradycyjnego środka modlitwy w sposób tragiczny i żarliwy.

Żadne związki tradycji ani pietyzmu nie łączą go z religią żydowską, która jest oficjalnym wyznaniem jego i jego sierot.

Świat wierzeń i obrządków katolickich był mu zawsze daleki, choćby przez porzucie godności i niezależności, zmysł przekory, rolę opiekuna żydowskich dzieci.

Ale dziś, w dobie klęski szuka rozpaczliwie formuł i zaklęć, studiuje mszał i talmud, miota się między alternatywami dwóch religii, zgubiony i niepewny w przedśmiertnej gorączce poszukiwać ratunku.

„Gdyby mi dano mszał, od biedy odprawiłbym nabożeństwo, ale nie mógłbym wygłosić kazania do owieczek w opaskach. Język by mi skołowaciał na amen“ — pisze w Pamiętniku w poczuciu gorzkiego wstydu.

A jednocześnie podczas ostatniej wielkanocnej wieczery, Pan Doktor w otoczeniu najstarszych dwunastu chłopców sam odprawiał hebrajskie modły. Zdumieni goście, zaproszeni na ów „seder“, lekarze i działacze społeczni, patrzyli, nie wierząc własnym oczom, na wymowny i rozpaczliwy gest, z jakim wznosił ręce, krzycząc w głuche niebo o pomoc.

W poczuciu grozy i bezsilności wszystkie słowa i wszystkie wersety cisnęły się zabobonnie na wargi i w chaosie gubiła się trzeźwa świadomość, które z nich jest pustym dźwiękiem, a które, zgodnie z wiarą innych — kluczem do zbawienia.

I stary Doktor powtarzał z rozpaczą w ostatecznym zagubieniu i opuszczeniu.

„Ojcze nasz... Tę modlitwę wyrzeźbiły głód i niedola...
Ojcze nasz, który jesteś w niebiesiech. Chleba nasze-
go... Chleba naszego. Przecież to, co przeżywamy było...
Było...“.

Gdy kończyły się upiorne ostatnie noce rozterki,
wspomnień i przeczuc, stary doktor odsłaniał okno i pa-
trzał błagalnie w lipcowe niebo i tęczę przymierza „jaśnie-
jącą nad obozem skazańców“.

Potem rozpoczynał dzień grozy i sądu od podlewania
kwiatków w oknach.

„Biedne rośliny sierocińca, rośliny żydowskiego sie-
rocińca...“

Przygląda się mej pracy wartownik. Czy go drażni, czy
rozzrzewnia ta moja pokojowa o szóstej rano czynność?

Stoi i patrzy, nogi szeroko rozstawił...“.

„Podlewam kwiaty. Moja łysina w oknie. Taki dobry
cel. Ma karabin. Dlaczego stoi i patrzy spokojnie? Nie ma
rozkazu.“

A może był za cywila nauczycielem na wsi, może re-
jentem, zamiataczem ulic w Lipsku, kelnerem w Kolonii?

Co by zrobił, gdybym mu kiwnął głową, przyjaźnie
ręką pozdrowił? Może on nie wie nawet, że jest tak, jak
jest?

Mógł przyjechać wczoraj dopiero, z daleka“.

I jeszcze ostateczny sens tych uwag tak łagodny jak
tchnienie pożegnalnego błogosławieństwa i przebaczenia,
które starczy za modlitwę:

„Nikommu nie życzę źle. Nie umiem. Nie wiem, jak to
się robi...“.

JESZCZE ZŁUDZENIA

Getto nie wierzy. Na ulicach jego od początku roku 1942 panuje krwawy terror. Kolejno nadchodzą straszliwe wieści o likwidacji Żydów w Chełmnie, o wyniszczeniu ich na terenach wschodnich, o likwidacji getta w Lublinie. Ale jednocześnie szerzą się inne wiadomości, zjawiają się listy z obozów pracy, do których skierowano część ludności schwytej w łapankach ulicznych, ludzie opowiadają sobie o deportacjach do Bukowiny.

Bo ci ludzie o normalnych zapatrywaniach i nie zdeformowanej wyobraźni, nawet katowani i gnębieni, długo nie są w stanie uwierzyć w możliwość masowego mordu, dokonanego na setkach i tysiącach bezbronnych i niewinnych. Krwawa noc z 17 na 18 kwietnia 1942 roku, podczas której zginęło około 50 działaczy społecznych getta, otwiera oczy obywatelom politycznie czynnym, młodszym, aktywnym.

A i reszta ludności popada w popłoch. Co noc rozlegają się strzały, co krok na równej drodze, w jasnym świetle dnia grozi śmierć od kuli przechodzącego żandarma. W więzieniu na Gęsiej odbywają się masowe egzekucje ludzi schwytych po aryjskiej stronie. Giną codziennie przy murach szmuglerzy i żebrzące dzieci.

W początkach lipca poczynają się szerzyć w getcie wieści o przesiedleniu. Cała nie pracująca, nieproduktywna ludność dzielnicy żydowskiej ma być podobno wywieziona z Warszawy i użyta do kopania fortyfikacji. Nikt nie po-

dejrzenia jeszcze możliwości śmierci, ale nawet i ta perspektywa jest groźna.

Ludzie w popłochu szukają zatrudnień, miejsc „funkcji”, zbawiennych papierków i świadectw. Ta gorączka zabezpieczania się, urządzania — trwa do dnia 22 lipca, kiedy przed budynek Rady Żydowskiej zajechała „Umsiedlungstab“ — i przedstawia gotowe dyrektywy przesiedlenia całej nie pracującej u Niemców ludności żydowskiej na wschód.

Następne wewnętrzne posiedzenie Rady, już po odejściu Niemców, omawia technikę tego wysiedlenia, nie zastanawiając się nad jego treścią. Władze żydowskie potulnie idą na lep niemieckiego rozkazu. Tzw. „Judenrat“ podpisuje pierwsze białe plakaty obwieszczające o wysiedleniu. Żydowska policja ma pilnować porządku.

Niemiecki morderczy rozkaz wywołuje ślepe posłuszeństwo podległych mu władz żydowskich. Ludzie wciąż nie wierzą w możliwość takiej zbrodni, łudzą się, miotają i usiłują zabezpieczyć. W popłochu przyglądają się akcji rozpoczętej 22 lipca 1942.

Tylokrotnie komentowano już postawę Korczaka w tych ostatnich dniach, zastanawiano się czy świadomie, czy nieświadomie szedł na tzw. „Umschlagplatz“ z gromadką swych spłoszonych dzieci, narkotyzowanych do końca czułością. Czy łudził je i znieczulał wbrew własnemu przekonaniu, czy sam jeszcze do końca żył nadzieją?

Na tle ogólnego zaślepienia i jego osobiste, naiwne iluzje długo walczyły o swe prawa. Sam — wyznawca utopijnych nadziei, konsument i twórca marzeń zdaje sobie dobrze z nich sprawę. „Może by na temat środowiej pogadanki dla bursistów posłużyły: Iluzje — złudzenia. Ich rola w życiu ludzkości“ — pisze w swym pamiętniku.

A w fantastyczno-filozoficznej pogadance o uczoneym Zi na planecie Ro — zastanawia się nad losem ziemi skłóconej, ociekającej krwią w fermentach bratobójczych wojen: „Mylnie użyte żelazo wymierza karę. Ale razem kształci, kieruje, przygotowuje ducha na nowe zdobycze i wtajemniczenia“.

„Ziemia nasza młoda jeszcze, a początek jest bolesnym wysiłkiem“.

W drugim dniu akcji zmierzającej do likwidacji getta odbiera sobie życie prezes gminy, Adam Czerniakow. Ten akt rozpaczy, mimo że milczący, nie poparty jawnym wyjaśnieniem i odsłonięciem przyszłości — jest bardzo wymowny dla tych, którzy patrzą trzeźwo na to co się dzieje.

Pismo bundowskie „Ojf der Wach“ wzywa do oporu i przestrzega przed niebezpieczeństwem. Specjalny wysłannik Bundu jedzie wraz z kolejarzami polskimi w ślad za transportem zmierzającym w stronę Sokołowa i Treblinki i przywozi tragiczne wieści o losie wysiedlonych, które ogłasza drugi numer pisma „Ojf der Wach“.

Ale ogół Żydów dalej nie wierzy. Ludzie zamykają oczy na prawdę, czepiają się iluzji, niejednokrotnie sami zgłaszają się na punkt przeładunkowy, w nadziei, że władze nie rozdzieli ich z najbliższą rodziną, wierząc obietnicom niemieckim, że dadzą im 3 kilo chleba i 1 kilo marmelady. Jakaż straszliwa presja głodu zmusza niecierpliwie tysiące ludzi, aby szły ślepo w śmierć, na przynętę trzech bochenków chleba...

Mnożą się troski, strachy, koszmary codziennych groźnych dni, zaczyna się ostatni, prowadzony w walce ze śmiercią i rozpaczą na zęby i pazury, paroksyzm życia.

W dniu rozpoczęcia akcji proponują przeniesienie do „Domu Sierot“ kilkudziesięciu dzieci — ozdrowieńców ze szpitala na Stawkach, zlikwidowanego przez Niemców.

Pod nieobecność Korczaka zarząd Pomocy dla Sierot zgadza się na to. Korczak namiętnie protestuje, jak egoistyczny ojciec swoich dzieci.

Do końca jeszcze chce osłaniać i usiłuje bronić gromadkę najbliższych, oddanych jemu w opiekę istot, zagrożonych w tej chwili przy zwiększeniu ilości dzieci, przez infekcję chorobową i przez głód.

Takie wewnętrzne walki męczą go i wyczerpują fizycznie i duchowo. Czuje pętlę na szyi, olów u nóg...

Sytuacja własna przypomina mu chwilami starego ślepego Żyda, który podczas wojny szedł zgubiony wśród armat i koni, a potem został w ewakuowanym, opustoszałym mieście, by pilnować bóżnicy... Przypomina mu i małą Nastkę, której żołnierz zabrał jedyne wiaderko do czerpania wody... W ciągu niewielu już ostatnich dni i nocy Korczak przeżywa ciężkie kolizje między postulatami wiary, przy której się tak zawzięcie upierał, a widomymi znakami szerzącej się zagłady... Inaczej niż dotychczas — biega teraz w dzień, śpi kamiennie w nocy.

„Dzień daje tyle ponurych wrażeń i doznań. Noc bez snów koi zmęczenie.

Ale jednocześnie „z dnia na dzień zmienia się oblicze dzielnicy:

Kryminał

Zadżumieni

Tokowisko

Dom wariatów

Dom gry. Monaco. Stawka — głowa“.

Dwukrotnie pada na zebraniu zarządu „Domu Sierot“ projekt rozpuszczenia dzieci do rodzin, w celu łatwiejszego uratowania ich w wypadku przesiedlenia. Dwukrotnie Korczak uchyla ten projekt wierząc, że zdoła zatrzymać i uratować dzieci. Chodzi w tej sprawie do „Judenratu“, do osła-

wionego Kon-Hellera na Leszno 13. Wszyscy obiecują mu, że „Dom“ jego nie zostanie ruszony. Trzykrotnie schwytyany na ulicy, ratuje się cudem i wraca do „Domu Sierot“.

„Sam zdezorientowany, nie wiem już, o co się starać i czego chcieć“. Gdy zabiega u władz w sprawie schwytej i wywiezionej wychowawczynie, panny Esterki, pyta sam siebie:

„Nie jestem pewien, czy w razie powodzenia przysłużę się jej, czy zaszkodzę i skrzywdzę... Gdzie wpadła? — pyta się ktoś. Może nie ona, ale my wpadliśmy (że zostajemy!!)“.

Więc jednak jeszcze wciąż wierzył, że przesiedlenie nie oznacza końca? Że prowadzi do wielkiej wędrówki narodów i kolonizacji terenów wschodnich. Czy naprawdę myślał, że schwyta Esterka gdzieś jeszcze zdąży służyć ludziom i przynosić pożytek, jak to czyniła dotąd? Czy nawet w intymnych zwierzeniach pamiętnika chciał zakłamać rosnącą w głębi pewność śmierci, odżegnać strach chociażby w imię spokoju powierzonych sobie dzieci?

A może, czując już, że umrze, chciał wierzyć w jakąś dziejową celowość ogólnej zagłady. I wtedy powtarzał wędnącymi od zmęczenia i smutku wargami: „Gdy nacie kartofli zbyt bujały, przejeżdżał przez nie ciężki walec i miażdżył, ażeby owoc w ziemi mógł dojrzeć lepiej“.

Nadchodzą ostatnie noce. Staremu, choremu człowiekowi ciepło i miękko jest w łóżku. Ciężko jest wstać. Pierzyna wydaje się szczęściem i błogosławieństwem.

Ale wczesnym rankiem trzeba wstawać i ważyć dzieci, jak każe obowiązek, jak zawsze, jak od lat. „Pierwszy raz w życiu nie ciekaw już jestem tej wagi. Zawiedli dwaj rozumni, zrównoważeni, obiektywni obserwatorzy: waga i termometr. Przestałem im wierzyć. I oni tu kłamią“.

Ale jeszcze istnieje mimo wszystko obowiązek. Wiernemu panna Stefa nie chce wychodzić z domu, oddalać się od dzieci, aby moment wywiezienia nie nastąpił podczas jej nieobecności. Może będzie potrzebna dzieciom, pomoże, osłoni, wytłumaczy... I jej, tak samo jak Doktorowi, ani na sekundę nie przychodzi na myśl pomysł indywidualnego ratunku.

Korczak cierpiący w tym czasie na niebezpieczny czyrak na szyi, który wymaga operacji i leczenia klinicznego, nie chciał zgodzić się na opuszczenie „Domu Sierot”. Dr Wertheim z asystentami wykonał operację w domu. Nastąpił po tym zabiegu krwotok, który zmusił doktora do dwudniowego pobytu w szpitalu. Wrócił jednak, jeszcze chory, na ulicę Śliską.

Do końca jak zawsze próbował jeszcze łagodzić, pieścić, uśmiechać się... Chore dziecko odpowiada mu na uśmiech bez uśmiechu, a potem na wezwanie krzywi twarz uśmiechem piersiowo chorych, słabym, bladym uśmiechem skazańca... Zdrowe dzieci, spłoszone i bezradne, garną się do starszych jak zawsze w oczekiwaniu pomocy i ratunku.

Potem, wbrew nadziejom i staraniom, nadchodzi ostatni dzień. Jest środa 5 sierpnia. Ranek.

Żandarmi otaczają ulice. Policja ukraińska blokuje dom. Żydowscy policjanci wchodzą na podwórze.

Przeraźliwe gwizdki: „Alle Juden rrrraus!” Potem to samo wezwanie po żydowsku. Pośpiech, pośpiech! Sprawna, wspaniała organizacja, którą „Dom Sierot” zawdzięcza pani Stefie, poczyna działać, jak automat. Dzieci wezwane w trakcie śniadania, wytrącone nagle, z trybu codziennych dyżurów, schodzą posłusznie na dół i ustawiają się w piątki.

Panna Stefa i pan Doktor schodzą razem z nimi.

Nie zapomniano nawet wziąć z sobą zielonego sztandaru „Domu Sierot”.

OSTATNI POCHÓD

Znowu wracamy do legendy. Legenda jest wielomówna i pełna treści. Ostatni pochód dzieci i wychowawców pod wodzą Janusza Korczaka opowiedziała bardzo barwnie i w wielu wersjach.

Charakterystyczne jest, że tak wielu ludzi, znajdujących się podówczas w getcie powołuje się na osobistą obserwację, twierdzi, że widziało Korczaka idącego na „Umschlagplatz“ na czele swych dzieci. Tak jakby nie istniał wówczas strach, panika, groza schwytania i śmierci, jakby można było tak stać bezpiecznie wzdłuż chodników i patrzeć na ostatnią uroczystą paradę skazańców.

Wedle sprawozdań widzów dzieci ubrane były świątecznie jak na wycieczkę, czy piknik na wsi. Jedni twierdzą, że miały szare mundurki, inni, że niebieskie torebki przez ramię. Jest wersja, że ręce trzymały skrzyżowane na piersiach...

Ale ludzie, którzy przeżyli takie nagłe rozkazy wysiedlenia w getcie, lub sami przebyli tragiczną drogę na „Umschlagplatz“, zapewniają, że nie było tu czasu na jakies specjalne przystrajanie się do drogi. Może zmysł praktyczny panny Stefy, nie dając się oszukać złudzeniom Doktora, zarządził z góry po matczynemu zabranie w daleką drogę najlepszych ubrań i butów? Tak czy owak, dzieci Korczaka były zawsze wyjątkami wśród ogólnej nędzy. I na codzień ubrane były porządnie i schludnie. Dlatego ich gromadka

spokojna i zdyscyplinowana, podążająca tak ufnie za panem Doktorem robiła wrażenie odświętne i estetyczne.

Janusz Korczak szedł przodem. Jak wiemy, był już w tym czasie bardzo słaby i chory. Miał spuchnięte nogi i osłabiony mięsień sercowy. Wątpię, czy zdołałby nieść w ramionach aż dwoje najmłodszych, tak jak mu każe legenda. Znamy wszyscy uciążliwą technikę pochodów zbiorowych na kilkukilometrowej trasie, nawet wtedy kiedy nie są paraliżowane strachem, nadzorowane przez zbirów, zagrożone śmiercią...

Wleczono się, przystawano, tłoczono, znów ruszano pod świśnięciami gardłowych okrzyków i razami kółb w sierpniowym upale. Jeżeli Korczak niósł chwilami dziecko, które zabołały nóżki, to najpewniej pięcioletnią Romcię Sztokman, córeczkę, dwojga wieloletnich wychowanków, a potem współpracowników, Róży z domu Azrylewicz i Józefa zmarłego w r. 1939 na zapalenie płuc, którego się nabawił przy ratowaniu domu podczas oblężenia Warszawy. Może trzymał tylko dwoje malców za spotniałe ze zmęczenia, rozgrzane rączki, a oni dreptali obok niego...

Czy Korczak opowiadał im, że idą na wycieczkę, na wieś? Nie wiadomo... Ponure okoliczności wysiedlenia, niepewność życia były zbyt powszechne i za dobrze znane, by można było starsze, świadome nieszczęścia dzieci okłamać zbyt piękną bajką. Prawdopodobne jest natomiast, że Korczak do ostatniej chwili mówił dzieciom to, w co sam już może nie wierzył: o przesiedleniu i pracy pionierskiej w obozach, na roli i przy wyrębie lasów oraz osuszaniu błot.

Czy śpiewano chórem? Możliwe. Niegdyś, przed laty mali chłopcy żydowscy w Michałówce szli wesoło parami pod wodzą młodego jeszcze Korczaka śpiewając:

„Idziem, idziem do kąpieli, wrócim czyści i weseli...“.

Czyżby ta sama piosenka ufna i dźwięczna zaprowadziła po latach dzieci Korczaka aż na próg makabrycznej „łaźni“, która okazała się komorą gazową?

Już na „Umschlagplatzu“, w obliczu podstawianych wagonów, odwołano Doktora na stronę. W tym przemieszaniu sadyzmu, bestialstwa i jakichś pozorów europejskiej kultury, stanowisko lekarza było jeszcze dotąd honorowane — bo potrzebne. Korczak był znany i szanowany w getcie. Mógł się jeszcze okazać pożyteczny przez jakiś czas. Mógł służyć jako szyld czy wabik.

Toteż wersja o możliwościach zwolnienia w ostatniej chwili jest najzupełniej wiarygodna. Nie wiemy tylko czy pertraktacje były długie, czy krótkie, w jakiej formie chciano Korczaka ułaskawić.

Nie znamy słów Korczaka, ale znamy ich sens. Odmówił bez wahania. Czy było to bohaterstwem? Na pewno. W obliczu śmierci gnani przez żarłoczny instykt ludzie zapominali wtedy o najświętszych obowiązkach serca i krwi, uciekali w życie po trupach matek i kochanek.

Ale z drugiej strony istniał od wieków parol sławy i honoru, gest obowiązku każący od pokoleń kapitanom iść na dno morza wraz z tonącym okrętem, zwyciężonym przesywać sobie nieulekłe i niepokodzone z losem serce.

W roku 1937 wyszła w Warszawie powieść Marii Mittelstaedt-Leszczyńskiej pt. „Fratego“, powieść opowiadająca o lekarzu, który wędrował po morzach na okręcie pełnym dzieci różnych ras i narodów. W zakończeniu I części okręt ginie, a doktor-wychowawca wraz z załogą idzie na dno — fascynując dzieci wesołym okrzykiem: „Idziemy do Boga!“

Janusz Korczak zachwycał się tą książką. Była ona powieściowo-baśniową transpozycją jego własnego życia. Z postawą doktora Andersa godził się już wtedy z najgłęb-

szą aprobatą wewnętrznego przekonania, nie wiedząc jeszcze, że za kilka lat potwierdzi jego prawdę, swą własną śmiercią.

W czasach wojennych czuł się do ostatniej chwili żołnierzem-oficerem. Jeszcze na parę tygodni przed śmiercią, wśród marazmu i beznadziei, marzył o wojennej jasności posunięć, gestów, rozkazów. „Front, to rozkazy. Naprzód 10 km! 5 w tył... postój, wymarsz. Czy nie wolałbyś w bitwie pod Charkowem?... Odpowiadam: wolałbym“.

Cóż więc dziwnego, że zdecydował się bez wahania nie odbierać do końca gromadce spłoszonych i bezradnych wychowanków swej opieki i czułości... Tę sprawę zdecydował już znacznie wcześniej.

Decyzja najważniejsza, przełomowa zapadła u szczytu młodości. W roku 1907 Janusz Korczak oddał swe życie gromadce proletariackich dzieci żydowskich. A tamto życie młodzieńcze, pełne treści i wielorakich możliwości, życie świetnie zapowiadającego się pisarza, wziętego lekarza, ewentualnego męża i ojca rodziny — było może cenniejsze od paru jeszcze lat starości drażonych przez niemoc, napiętnowanych faktem odstępstwa. W swych listach sprzed wojny pisał niegdyś Korczak, że nigdy nie mógł darować Kościuszce tego, że przeżył klęskę.

Podczas wojny pisał w pamiętniku: „Po wojnie długo nie będą mogli ludzie patrzeć sobie w oczy — żeby nie wyczytać pytania: jak to się stało, że żyjesz, że przetrwałeś? Co robiłeś?“

Rosnące z biegiem lat żydowskie nieszczęście, głębokie poczucie honoru, solidarność z prześladowanymi przez 30 lat życia pchała Korczaka coraz głębiej w tę śmierć, którą poniósł męczeńsko wraz z dwustu swymi dziećmi w sierpniu 1942 roku.

I ucieczki od niej nie było, tak samo dzięki chwilowej szczęśliwej utworzonej koniunkturze na „Umschlagplatzu“ warszawskim jak i wtedy, gdy młody doktor na wieczorku Konopnickiej w żydowskim sierocińcu na Franciszkańskiej 2, usłyszał deklamowane słowa:

„Ty, coś zginął dla idei, chwała ci..“.

I wtedy kiedy matka zboleła dziękowała w modlitwie Bogu za śmierć syna, której zażądała od niej Ojczyzna („Sam na sam z Bogiem“) i kiedy mały król Maciuś reformator stawał mężnie przed karabinami na miejscu egzekucji.

„Dziękuję ci, że ty jedna nie namawiasz mnie, bym stąd wyszedł“ — mówił smutnie Korczak do przyjaciółki-„aryjki“, która przyszła na spotkanie w gmachu Sądu z tamtej strony.

Korczak kilkakrotnie już poprzednio wymarzył sobie wieszco taki pochód na czele dzieci...

W nowelce o „Trzech wyprawach Herszka“ mały chłopczyk żydowski roi o tym, aby być wodzem jak Mojżesz i zaprowadzić wszystkich do kraju „lwów i proroków, kraju chleba i winogron“.

Ale jeszcze o wiele wcześniej, w zaraniu pracy twórczej młody, roztargniony i uczuciowy dozorca na kolonii Michałówka, patrzy wraz z gromadką dzieci żydowskich w zachodzące słońce.

Jest ostatni dzień kolonijny i tak trudno pomyśleć, że jutro już trzeba będzie wracać do miasta, na brudne podwórka, do nędzy suteryn.

„Tego ostatniego wieczora, o ostatnim zachodzie urodziła się ostatnia bajka kolonijna — dziwna bajka i niedokończona:

— A może nie wracać do Warszawy. Może ustawić się parami, wziąć chorągiewki, zaśpiewać marsz i ruszyć w drogę.

Dokąd?

— Do słońca“.

Życie po wielu, wielu latach tragicznie dokończyło zaczęłą bajkę.

Korczak pisze w swym pamiętniku o takich wojennych realizacjach.

„Dostojewski mówi, że wszystkie nasze marzenia spełniają się w biegu lat, tylko w tak wynaturzonej formie, że ich nie poznajemy“.

I oto wedle marzenia sprzed trzydziestu kilku lat pochód dzieci idzie przed siebie z chorągwią i pieśnią. Stary, zmęczony człowiek w oficerskim mundurze, o sercu skurczonym z bólu i niemocy prowadzi go powoli. Kurzy pyłem koszmarna ulica warszawskiego getta, tak spiekła i brudna w upale, jak droga krzyżowa w Jerozolimie. Dzieci męczą się, pocą, chcą pić, jest im gorąco i strasznie. Czasami podnoszą głosy i łączą je w słabym chóralnym śpiewie. Czasami milkną, gubią takt i pozostają w tyle. Pan Doktor ledwo powłóczy nogami, garbi się, przybity cierpieniem i znużeniem, a potem prostuje się uparcie ostatnim wysiłkiem męskiej woli, aby dotrzeć, aby wytrzymać. Trzeпоce w górze zielony sztandar „Domu Sierot“. Pani Stefa zamyka pochód idąc z najstarszymi, wielka, barczysta, silna, dobra — opieka i podpora tyłu złych chwil — ratunek, który już teraz niebawem także zawiedzie...

Idą tak, idą. Przekraczają granice między życiem i śmiercią, mijają przesmyk między dniem teraźniejszym a nieśmiertelnością... Nikt już ich nie zawróci z tej drogi.

Ze wszystkich prac, dążeń, twórczych porywów artysty i reformatora Janusza Korczaka, ze wszystkich wyrze-

czeń i wysiłków Stefanii Wilczyńskiej, z zabaw, uśmiechów i nadziei dwustu chłopców i dziewczynek — pozostanie już na zawsze ta jedna, ostateczna droga, jak wypadkowa, która przeskoczyła śmiałym rzutem fakt zbrodniczego morderstwa.

Zespoleni w tej gromadce, dzieci i dorośli pod skrzydłami Janusza Korczaka dostępują w glorii wielkiej łaski pamięci wśród setek tysięcy innych, których imiona niesprawiedliwy los zagubił w chaosie ogólnej zagłady.

Widzimy ich wciąż jeszcze idących godnie, powoli i spokojnie — najbliższych Doktorowi, sekundujących mu do słońca w ostatniej warcie na gorzkiej, straconej reducie getta: Stefanię Wilczyńską, starego pana Henryka Asterbluma wieloletniego buchaltera Domu, Feliksa i Balbinę Grzybów, Nacię Poz, Różę Sztokman, Sabinę Lejzerowicz, Dorcę Solnicką, czterech Moniusiów, Haneczkę z odną płuc, Julka chorego na wysięk, płomiennookiego Abraszę, który nie dawno jeszcze grał tak pięknie rolę umierającego dziecka.

A obok nich tych wszystkich, tak samo męźnych i heroicznych w pracy dla dziecka i w getcie, i w śmierci razem z nim: ofiarny personel wychowawczy i lekarski z internatów z Dzielnej, Ceglanej, Twardej, Dzikiej, Mylnej, tysiące dzieci, setki wychowawców i lekarzy, których imieniem i symbolem wśród tych zapomnianych i bezimiennych ofiar i bohaterstw stała się legenda Janusza Korczaka.

Pod trzepotem zielonego sztandaru iść tak już będą zawsze, bez końca przez wszystkie czasy i miejsca ziemi z kaźni getta w kierunku dymiących krematoriów Trebłinki — prostą drogą do wieczności.

ZAKOŃCZENIE

— Co zrobię po wojnie? — roi Janusz Korczak w getcie.

— Może powołają mnie do współpracy w budowie nowego ładu w świecie albo w Polsce? Jest to bardzo wątpliwe, ale nie chcę tego. Musiałbym urzędować, więc niewola urzędowych godzin i kontaktów z ludźmi. Jakieś gdzieś biurko, fotel i telefon. Strata czasu na bieżące powszednie, małe sprawy i zwalczanie małych ludzi z ich małymi ambicjami, protekcjami, hierarchią i celem. W sumie kierat. Wolę na własną rękę.

Ten indywidualizm i przekorna niezależność określają wzajemny stosunek systemu Korczaka i obecnej, powojennej rzeczywistości.

Organizacja domów dziecięcych w Polsce, wraz z ogólną przebudową ustroju poszła nową drogą, silniej związała się z zagadnieniami społecznymi, zaledwie w części uznała i zastosowała wieloletnie zdobycze Korczaka.

Jego system pedagogiczny okazał się niepowtarzalny, związany z minioną epoką i nieistniejącymi dziś ludźmi. Przepadł na krwawym egzaminie nieszczęścia.

Korczak nie pozostawił dzieci własnej krwi, utracił dzieci swej idei, oraz prawie wszystkich swych wychowalców.

Dzisiaj tylko nieliczne książki i piękna legenda są jedy-

nym dziedzictwem tego cichego i twórczego życia o tragicznym wzniosłym końcu.

Ale nawet ta pośmiertna legenda — szerząca się wraz z pierwszą wieścią o bohaterskim zgonie wywołała obok uwielbienia i czci także protesty.

Przyznając bohaterstwo Korczakowi — nieliczni żywi świadkowie katastrofy getta upominali się o równą sławę dla wielu innych pedagogów, bojowników — którzy zginęli ofiarnie i męczeńsko — cytując nazwiska: dr Dąbrowskiego, Regi Kowalskiej, Rai Abel czy dr Noemi Weissman i innych.

Powołujemy się na zdanie samego Korczaka w tej trudnej sprawie.

„Nauczyciel, który pokazał mi pomnik bohaterów poległych w Tel-Chaj, powiedział — „nazywają go pomnikiem Trumpeldora. — Przecież nie on jeden wówczas padł!“ — powiedział to z żalem. Ułatwiamy sobie, jeżeli pomijamy milczeniem nazwiska nieznanych, na rzecz jednostek, które walczyły dla sprawy. Ze względów pedagogicznych jest to szkodliwe. Gdyby mnie pytano — wyjaśniłbym jak wielka jest to szkoda, niesprawiedliwość i zdrada z punktu widzenia historycznego“ („Nowa epopea“).

Tyle Korczak o swej przyszłej sławie... Cóż kiedy historia w swej niesprawiedliwości żąda skrótów i syntez, jego nazwisko dała sprawie i jej bezimiennym bohaterom.

Taka jest bowiem konieczność dziejowa. Imiona bohaterów są rzadkie, wybrane spośród tysięcy i one to mają uosabiać treść i podniosły cel wielkich idei.

Korczak osobiście wielką wagę przykładła do kwestii oddziaływania przez przykład biografii.

Jako wyrostek pisze w swym uczniowskim pamiętniku o zamiarach napisania książki o wielkich reformatorach

wychowania, Spencerze, Pestalozzim, Freblu. „Kiedys i moje nazwisko znajdzie się w tym szeregu“ dodaje.

W ostatnich planach przed śmiercią podaje w pamiętniku szereg nazwisk sławnych i wybitnych ludzi, których życiorysy chciałby napisać.

We wstępie do książki J. Śniadeckiego „O fizycznym wychowaniu dzieci“ pisze o wielkich ludziach:

„Dlaczego ci jedni wśród wielu wybiegają, wyprzedzają, idąc na przódzie, sobą i za sobą ciągną bierną masę współczesnych? Czemu tragicznym wysiłkiem dźwigają sztandary nad miarę przeciążeni i samotni? Pisze się życiorysy na modłę wypracowań szkolnych, gdzie wielkiemu nieboszczykowi — istocie nadprzyrodzonej wybijają się nie szczere pokłony, wielbi a nie naśladowe.

Przestańmy być pasożytami zasłużonych wodzów, pozycujmy się ich współobywatelami, na życiu ich jak na trupie uczmy się anatomii własnego...

Niech wie każdy chłop, wyrobnik, robotnik, mały i skromny szeregowiec pracy armii ludzkiej, że dzieckiem swym mierząc w przyszłość, dostąpić może buławy. Niech odnajdzie w sobie zbiorowe tętno, solidarną odpowiedzialność, twarde poczucie łączności z wieloma dziś i jutro.

Życie wyjątkowych w narodzie powinno być nakazem dla wszystkich. Inaczej — po co nam życiorysy?!“

Tak mówił Korczak pedagog i społecznik.

Inna rzecz, że zarówno dotychczasowa forma wspomnienia, jak i ustalone zewnętrzne formy uczenia nie zdawały się Korczakowi słuszne.

„Urządzenie akademii żałobnej w dniu śmierci — to mało i źle — pisał Korczak. — Robota, aby zbyć i spełnić obowiązek na sposób europejski. Kult grobów poprzednich

pokoleń jest sprawą przyszłości. Na razie czas nie jest w naszym ręku. W naszych klasztorach zajęci jesteście modlitwą pracy, i snami o równości...”

Z tego klasztoru zamyślenia, z modlitwy pracy i równości czerpie Korczak mądrość wtajemniczenia, wiedzę o trwaniu i nieprzemijaniu życia.

Korczak filozof zbyt dobrze rozumiał znaczenie ciągłości w ogromnym życiu ludzkości i świata.

Związany z przeszłością i przyszłością czuł się mgnięciem w pracy następujących po sobie pokoleń. W tym ujęciu śmierć była tylko chwilowym rozstaniem.

„Nowonarodzone dziecko żyło już rozproszone, zawieszony miliardem pyłów po szerokim świecie wówczas, gdy rozległ się krzyk — zwalić Bastylię! Żyło, gdy lud szeroką ławą płynął, by niewiernym odebrać grób pokalany Chrystusa, gdy wieńczono laurem skroń Sofoklesa, gdy batogami smagani niewolnicy wznosili dumne groby faraonów, żyło jeszcze i jeszcze dawniej, gdy miało dziesięć tysięcy lat czekać na swoje urodzenie. I miało żyć w pracy i tęsknocie tysięcy przyszłych pokoleń“. („Bobo“).

Pisząc w ostatnim okresie swego życia „Dzieci Biblii“ i starając się odcyfrować poprzez trwanie tysięcy lat dziecinstwo Mojżesza — usiłuje Korczak zgłębić owe tajemnice mijania i trwania, wieczną sprawę czasu. Jest to szukanie nie szybkiej, nie lekkiej, ale trudnej prawdy zawartej w słowach: Byli, Są, Będą... Pocieszające stwierdzenie, że „słowo pisane żyje przez wieki i przez tysiące lat“...

Gdzie indziej w ostatnim zamyśleniu nad samotną starością robi Korczak inny pocieszający bilans życia na zasadzie wartości i prac. Nie darmo pisał w listach, że tylko to, co zrobił i może zrobić ma znaczenie dla świata.

„Rozdałeś, rozdzieliłeś swe życie? Iles bronił, o co walczył? Samotna starość i pamiętnik, i spowiedź — i bilans,

i testament. Troska, by przekazać co komu? Sztandar? Poniesie go w życie uczeń — jedynak...

— Prawda, że dobra wiele więcej na świecie — ciche, skromne nie przeczuwa potęgi swojej?

Prawda, że nie tak znów ważne jedno pokolenie?“ („Samotność starości“).

W tym stwierdzeniu samotnego zamyślnego nad życiem człowieka zawiera się wyższość Korczaka ponad czasem, który go zabił, ponad potworną zbrodnią, którą zdrugotała jego życie, jego dzieło, jego spadkobierców.

Spoza grobu, bez miejsca i napisu, spoza trujących dymów zagłady i ponurej nienawiści majaczy jego uśmiech rozumienia i wybaczenia, jego słowo wiary w przyszłość świata.

„Przyjdą małe krzywdy — nie warto płakać. Przyjdą wielkie krzywdy — zapomniawsz płakać.

A pokolenia płyną, płyną“.



UTWORY JANUSZA KORCZAKA:

- „Koszałki - opałki“, Warszawa 1905.
„Dziecko salonu“, Warszawa 1906.
„Jośki, Mośki, Srule“, 1910.
„Józki, Jaśki, Franki“, 1911.
„Sława“, 1912.
„Bobo“ (Bobo, Spowiedź motyla, Feralny dzień), 1914.
„Momenty wychowawcze“, 1919.
„Jak kochać dziecko“, t. I, 1920.
„Jak kochać dziecko“, t. II, 1921.
„O gazetce szkolnej“, 1921.
„Wstęp do J. Śniadeckiego“, „Rozprawy o wychowaniu fizycznym“, 1922 r.
„Sam na sam z Bogiem“, Modlitwy ludzi, którzy się nie modlą, 1922 r.
„Kiedy znów będę mały“, 1925.
„Bezwstydnie krótkie“, 1926.
„Król Maciuś I“, 1928.
„Prawo dziecka do szacunku“, 1929.
„Prawidła życia“, 1930.
„Król Maciuś na wyspie bezludnej“, 1931.
„Uparty Chłopiec“, (O Ludwiku Pasteurze), 1937.
„Ludzie są dobrzy“, 1938.
„Trzy wyprawy Herszka“, 1938.
„Refleksje“, 1938.
„Pedagogika żartobliwa“, 1939.
- II tom wydania hebrajskiego pism Korczaka, wyd. Hakibuc Hamenhad. Ajn Harod (Palestyna), zawierający utwory: „Religia dziecka“, „Dzieci Biblii“, „To i owo o dzieciach“. „Z ust do ucha“, „Listy“ (r. 1925—1939). „Wrażenia palestyńskie“, „Nowy epos“. Artykuły z „Gazety Domu Sierot“ i „Małego Przeglądu“.
- Pamiętnik, pisany w okresie od maja do lipca 1942 r. (w rękopisie).
- Artykuły w czasopismach „Głos“ (1902—1905), „Społeczeństwo“ (1907—1908), „W Słońcu“ (1918—1926), „Mały Przegląd“ (1920—1929), „Szkoła specjalna“ (1924—1939) oraz w „Gazecie Domu Sierot“ i „Gazecie Naszego Domu“.

Biblioteka Główna
Akademii Sztuki Wojennej

1457/2



12-001457-000-0